Evgeniy Devyatkin

GORKY-17:
Operacja O.D.I.U.M.

Na podstawie gry wideo Gorky-17

Gorky-17: OPERACJIA “O.D.I.U.M.”
Author: Evgeniy Devyatkin

Podziękowania: mój przyjaciel Arnoldowi i mojej żonie Ksenii.

Ostrzeżenie: tekst zawiera wulgarny język i sceny przemocy przeznaczone dla osób powyżej 18 roku życia.

Przedmowa autora:

Po raz pierwszy zagrałem w Gorky-17 w 2001 roku – i gra zrobiła na mnie ogromne wrażenie. Mroczna, przytłaczająca atmosfera, intrygująca fabuła, groteskowe potwory, od których ciarki przebiegały po plecach... Wszystko to sprawiło, że zakochałem się w tej grze od pierwszych sekund.
Minęły lata, ale Gorky-17 nie dawało mi spokoju. Podobnie jak Snowball i Goblin w swoim czasie, postanowiłem na nowo przemyśleć historię gry — ale nie po prostu ją opowiedzieć, tylko złożyć na nowo. Zagłębiłem się w fabułę, przerobiłem prequel, dodałem nowe postacie i konflikty, aby wydarzenia zyskały większą spójność i dramatyzm.
Nie jest to literackie przejście gry. Wiele wątków fabularnych, motywów bohaterów, a nawet sama natura katastrofy zostały przepisane. Można powiedzieć, że macie przed sobą alternatywną wersję uniwersum Gorky-17, swego rodzaju literacki remake, w którym znane elementy splatają się w nową historię.
Mam nadzieję, że spodoba się wam efekt końcowy.

PROLOG
18 PAŹDZIERNIKA 2035 ROKU

Uciekać. Nie zwalniać. Nie oglądać się za siebie. Nigdy się nie oglądać.

Joan McFadden pędziła przez koszmar, potykając się o śmieci rozrzucone po asfalcie. Gdzieś za nią, w czarnej otchłani między budynkami, ono ją ścigało — niewidzialne, nieuchwytne, ale śmiertelne. Puste okna bloków gapiły się jak puste oczodoły czaszek. Gdzieś w ich głębi poruszały się cienie — Joan wiedziała, że to tylko gra światła, ale mimo to po plecach przebiegały jej ciarki. Przed oczami znów stanął Leif: jego twarz wykrzywiona przerażeniem, skóra pokryta czarnymi żyłkami, palce wpijające się w gardło tak mocno, że paznokcie rozrywały skórę...

„Nie myśl. Biegnij!”

Skręciła w wąską uliczkę. Ściany pokryte graffiti zbiegały się nad jej głową, tworząc tunel. Gdzieś z tyłu rozległ się metaliczny zgrzyt — jakby coś ciężkiego spadło na dach samochodu.

„Skaczą. Jak pająki. Boże, jak one skaczą...”

Serce waliło jej tak gwałtownie, że wydawało się, iż zaraz rozsadzi żebra. Joan wpadła w podwórko-studnię, plącząc się nogami w rozrzuconych odpadkach, i przywarła plecami do ściany pokrytej gigantycznym graffiti — dwumetrowy potwór w koszulce Sepultury, wyszczerzający kły. Na sekundę wydało jej się, że drgnął.

„Oddychaj. Wdech. Wydech. Wdech. Wydech.”

Zamknęła oczy, próbując stłumić panikę.

Joan przycisnęła się plecami do zimnego betonu, ściskając w drżących dłoniach pistolet.

Jej rude włosy, zwykle spięte w ciasny kucyk, teraz lepiły się od potu. Twarz — blada, o ostrych kościach policzkowych i wąskich, zaciśniętych w cienką linię ustach. Oczy — zielone, ale teraz niemal szare od strachu. Mundur — poplamiony błotem i krwią. Kamizelka kuloodporna z lekkich polimerów trzeszczała przy każdym ruchu. Opaska z czerwonym krzyżem na ramieniu — wytarta, ale dumna. Ostatni symbol człowieczeństwa w tym piekle. Torba medyczna przy pasie.

Była najlepszą sanitariuszką polową. Szyła rany pod ostrzałem, reanimowała żołnierzy, którzy stracili twarze.

Ale dziś... dziś była bezsilna.

Kroki. Blisko.

Ścigały ją. Ile ich było? Kilka par? Dziesięć? Nie potrafiła określić — dźwięk rozchodził się jak echo w tunelu. Raz głuche uderzenia o asfalt, raz drapanie po metalowych drzwiach klatek schodowych, raz skoki po dachach samochodów. Bliżej. Bliżej.
Joan zamarła.

„Wdech nosem. Wydech ustami."

Ale oddech jej nie słuchał. Serce waliło jak oszalałe, jakby chciało wyrwać się z piersi.

Przycupnięta za śmietnikiem, wtapiała się w ścianę, starając się z nią zlać. Serce łomotało tak głośno, że wydawało się, iż słychać je na kilometr.

Ono weszło na podwórze.

Dwumetrowy cień poruszał się nienaturalnie — nie krokami, ale jakby prześlizgiwał się między plamami ciemności. Powietrze wypełnił zapach mokrej sierści.

Joan zamknęła oczy. W głowie pojawiło się pytanie: gdzie wycelować lufę? W to… czy sobie w skroń? Nie bała się śmierci. Bała się, że w ostatniej chwili ogarnie ją obłęd, tak jak Leifa.

Stwór zwolnił przy rozbitym lustrze. Rozległ się chrzest — pochylił się, przyglądając swojemu odbiciu. Przez szparę między kontenerami Joan zobaczyła:

Skórę pokrytą pulsującymi pęcherzami.

Zbyt długie palce z pazurami, drapiącymi własną twarz.

Coś w rodzaju ust, rozwierających się pionowo.

Jej palce same zacisnęły się na pistolecie. Ale wtedy wzrok wychwycił ratunek — półotwartą bramę do sąsiedniego podwórza. Tylko piętnaście metrów sprintu...

W tej chwili gdzieś niedaleko rozległy się serie z karabinu.

„Kristensen!" — myśl przemknęła jak błyskawica. Stwór zawył i rzucił się w przeciwną stronę, zostawiając po sobie cuchnący ślad.

Bez zastanowienia Joan pognała do bramy. Nogi się uginały, ale strach dawał siłę. Plac budowy powitał ją złowrogą ciszą: nieruchome koparki z łyżkami pełnymi ziemi, stosy zardzewiałych rur ułożonych w dziwaczne rzeźby.

I co najważniejsze — ani śladu ludzi. Gdzie się podział strzelec?

— Joan! — ochrypły szept wyrwał się z ciemności.

Dziewczyna drgnęła, niemal upuszczając pistolet, zanim rozpoznała wynędzniałą twarz kapitana Nilsa Kristensena. Ale to już nie był ten sam zimny, niewzruszony dowódca, którego znała. Doświadczony żołnierz o zrogowaciałej twarzy — surowe rysy, złamany w kilku miejscach nos, szorstki tygodniowy zarost. Oczy przyzwyczajone do niebezpieczeństwa teraz gorączkowo skanują przestrzeń, zdradzając strach, który desperacko próbuje stłumić. Jest przerażony. Naprawdę. Ale nie pozwala sobie na drżenie.

— Nils! Myślałam, że... — jej głos załamał się.

— Cicho! — chwycił ją za ramię, palce wpiły się w materiał munduru. — Do kanałów. Natychmiast.

Właz był zasypany śmieciami. Nils, warcząc przez zęby, odrzucił zardzewiałą oponę.

— Sprawdź, co na dole — jego głos był ochrypły, niemal łamiący się. Sam osłaniał ją, lufa karabinu błądząc od dachów do klatek schodowych. Cisza. Zbyt głucha... W celowniku mignęła brudna lalka w rozbitym oknie . Kristensen poczuł, jak po plecach przechodzi mu dreszcz.

— Czysto! Nikogo! — Joan odetchnęła, ale natychmiast znów się spięła.

Kapitan odwrócił się gwałtownie i wcisnął jej w ręce zniszczoną teczkę:

— Zachowaj to. Za wszelką cenę.

Dokumenty. Jedyny dowód. Joan wcisnęła teczkę do plecaka, czując, jak palce drżą.

— A teraz — na dół! Ja za tobą...

Nie zauważyła, jak jego wzrok zatrzymał się na czymś za jej plecami.

Na tym, czego nie można zobaczyć... dopóki nie jest za późno.

Joan była już na zejściu, gdy powietrze za Kristensenem zadrżało — jak nad rozgrzanym asfaltem. Zrozumiał.

— McFadden, uciekaj! Nie czekaj! — jego krzyk był tak ostry, że instynktownie chciała zawrócić.

— Zamknij właz! — rzucił się do przodu, ale niewidzialne szpony już wbiły się w jego ramiona, odrzucając go do tyłu.

Klapa zatrzasnęła się z hukiem. Seria z karabinu. Chrzest łamanych kości. Odgłos rozdzieranej плоти.

Joan przywarła plecami do mokrego betonu, gryząc pięść, by nie krzyczeć. W uszach dzwoniło.

„Za… wszelką… cenę…”

Zgrzyt metalu po betonie sprawił, że drgnęła. Ten piskliwy, nienaturalny dźwięk, jakby ktoś drapał paznokciami po tablicy, momentalnie przywołał Joan do brutalnej rzeczywistości. Dłoń sama sięgnęła po pistolet przy udzie, palce nerwowo zacisnęły się na rękojeści. Trzy głębokie wdechy – nosem, wydech ustami, jak uczono ją na kursach przetrwania.

"Nie teraz, do cholery, nie teraz..."

W półmroku po lewej mignęły metalowe drzwi, pokryte rdzą. Joan ruszyła ku nim, oceniając wzrokiem: zawiasy zgniłe, zamek zardzewiały, ale da się wyważyć. Zamachnęła się – kopnięcie wojskowym butem trafiło idealnie pod zamek. Z trzaskiem drzwi ustąpiły, odsłaniając wąskie przejście do sąsiedniego pomieszczenia.

"Zbierz się, Joan! – krzyczała w myślach, przeciskając się przez szczelinę. – Kolektor prowadzi do schronu. Możesz doczekać tam wsparcia."

Długi korytarz powitał ją smrodem stęchłej wody i czegoś jeszcze – może gnijących ciał. Joan automatycznie przycisnęła kołnierz kurtki do nosa, ale to niewiele pomogło. Po ścianach ciągnęły się rury, pokryte dziwnymi, śluzowatymi naroślami.

W połowie drogi rozległo się głuche burczenie – rura po prawej napęczniała jak przepełnione jelito. Joan ledwo zdążyła odskoczyć, gdy zardzewiały metal pękł, uwalniając kłęby gorącej pary. Oparzająca fala uderzyła ją w twarz.

"Cholera! Cholera! CHOLERA!"

Potoczyła się po mokrej podłodze, oślepiający ból wycisnął łzy z oczu. Gdy wzrok nieco się wyklarował, przed nią pojawił się nowy problem – korytarz zasłaniała ściana syczącej pary.

Z tyłu zgrzyt stał się głośniejszy. Bliższy.

Drżącymi rękami Joan chwyciła za następne drzwi. Zamknięte. Dwa celne strzały – i zamek rozleciał się na kawałki.

Tunel za drzwiami był jeszcze węższy, z niskim sklepieniem, które zmuszało do pochylenia się. Woda pod nogami chlupała dziwnie gęsta, jakby zmieszana z czymś lepkim.

Gdy wyszła na kanał ściekowy, w końcu mogła się wyprostować. Tu powietrze było nieco czystsze – stare filtry wciąż działały, usuwając najgroźniejsze gazy. Oparła się o platformę, czując, jak drżenie przebiega przez jej wyczerpane mięśnie.

"Pierdony azyl... Pierdony Dublin... Pierdony wybór..."

Myśli wirowały, czepiając się przeszłości, byle tylko nie myśleć o tym, co mogło być teraz za jej plecami.

Przed oczami rozbłysły wspomnienia.
Przytułek św. Brygidy.

"Jesteś twarda, Joan. Przeżyjesz." — słowa siostry Marii, gdy jako dwunastolatka odebrała starszym chłopakom swoją kolację. Wtedy po raz pierwszy zrozumiała: świat daje tylko tym, którzy sami biorą.

"I teraz też... Przeżyję."

Jej palce drżały, przeładowując pistolet w biegu.

Żołnierska codzienność.

"Korpus medyczny? Serio?" — śmiał się instruktor, patrząc na jej drobną sylwetkę. Rok później ten sam wąsaty twardziel klęczał przed nią, gdy pod ostrzałem wyniosła jego pluton z pola walki.

"Ratowałam ich przed kulami... A teraz mam się ratować przed TYM?!"

Gdzieś w ciemności coś upadło z mokrym plum.

Pierwsza śmierć. Ściska dłoń swojej matki.

"Wtedy przysięgłam... Nigdy więcej nikogo nie stracić."

A teraz Leif i Trotti... Krzyki wciąż dzwoniły jej w uszach.

"Ale jak ratować przed czymś, czego się nie rozumie?!"

Zatrzymała się gwałtownie, opierając się o wilgotną ścianę. Serce waliło tak mocno, że wydawało się, iż zaraz rozsadzi jej żebra.

"Ogarnij się, McFadden. Nie jesteś już tą małą z przytułku. Nie jesteś tą sanitariuszką, która bała się krwi. Jesteś..."

Z ciemności dobiegło szuranie.

"...jedyną, która została przy życiu."

Palce zacisnęły się na pistolecie.

Prawy policzek palił – skóra była zaczerwieniona, ale oparzenie wydawało się płytkie. Dziewczyna przetarła twarz dłonią, ścierając pot i brud, po czym sprawdziła broń: trzy naboje w lufie, dwa pełne magazynki przy pasie.

Na przeciwległej ścianie migotało coś białego. Latarka wydobyła z mroku podartą mapę tuneli. Joan podeszła bliżej, ścierając warstwy brudu z plastikowej powierzchni.

"Dobra... Więc jestem tutaj..."

Palec drżał, gdy śledziła trasę. Zboczyła z drogi, ale nie krytycznie. Najważniejsze – tunel pięćdziesiąt metrów stąd powinien wyprowadzić ją prosto do...

Nowy dźwięk zmusił ją do gwałtownego obrotu. Tym razem – mokry, chlupoczący krok gdzieś w ciemności za nią. Bliżej niż wcześniejszy zgrzyt. O wiele bliżej.

"Nie patrz w ciemność. Nie wpatruj się. Coś może patrzeć z powrotem."

Woda chlupała pod butami, zimna wilgoć przesiąkała przez gumowaną tkaninę. Awaryjne lampy, rzadkie jak gwiazdy w deszczową noc, migotały, rzucając na ściany pulsujące cienie. I wszędzie – ślady. Głębokie rysy, jakby zostawione przez coś masywnego, co regularnie przeciskało się przez te wąskie przejścia. Metal był zdrapany do połysku na wysokości ludzkiego wzrostu.

"Aligator?" – przemknęło jej przez myśl, i Joan natychmiast przeklęła siebie za głupotę. – "W polskiej kanalizacji?"

Ryk rozległ się nagle, sprawiając, że krew ścięła się w żyłach. To nie był dźwięk, tylko jakieś wypaczenie natury – jakby ktoś przepuścił nagranie gada przez syntezator, dodając do niego brzęczenie wysokiego napięcia. Dochodził ze wszystkich stron naraz, odbijając się od rur, wzmacniając, wypełniając tunel potworną kakofonią.

Cień przemknął przed nią – ogromny, bezkształtny, na moment zasłaniając światło dalekiej latarni. Joan przywarła do kolumny, czując, jak zimny pot spływa jej po plecach. Jej palce same odnalazły zardzewiałą klamkę.

Drzwi nie ustępowały, jakby wrosły w framugę. Joan oparła się ramieniem, czując, jak zardzewiałe zawiasy skrzypią, kruszą się, ale w końcu ustępują. Wcisnęła się w szczelinę, w ostatniej chwili słysząc, jak coś ciężkiego pluska się w wodzie tuż za jej plecami.

Kotłownia powitała ją grobową ciszą. Ciemność była tu absolutna, jak materialna substancja. Latarka wydobyła z mroku tylko najbliższe rury, pokryte grubą warstwą jakiegoś śluzu.

"Niedaleko już" – pomyślała, próbując się uspokoić. W tej samej chwili coś małego i zwinnego wbiło się jej w nogę.

Ból był natychmiastowy – ostry, palący, wyrywający okrzyk bardziej z zaskoczenia niż z cierpienia. Noga sama szarpnęła się w odpowiedzi, a ciemność przed nią eksplodowała piskiem, gdy stworzenie uderzyło w kocioł.

Latarka oświetliła przemijający sylwetek – coś pomiędzy szczurem a jaszczurką, mignęły pazury, ogon. Kula uderzyła w beton, obsypując oboje odłamkami. Drugi strzał trafił w cel – rozległ się mokry plask, i ciemność znów pochłonęła wszystko.

Kostka płonęła ogniem. Joan wyczuła dziurę w bucie – kły przebiły nawet kevlarową wkładkę. Pistolet ze strzykawką kliknął, wstrzykując środek przeciwbólowy. Chłód rozlał się po żyłach, tłumiąc ból, ale nie strach.

"Nie patrz na ranę. Nie myśl o zakażeniu. Dotrzyj do schronienia – wtedy pozwól sobie się bać."

"Trzy kroki. Jeszcze trzy. Przeżyłaś gorsze. Tego dnia w Syrii... W przytułku, gdy..."
Fala bólu wyrwała ją ze wspomnień z powrotem do rzeczywistości.

Joan zaciśnęła zęby, przeładowując pistolet drżącymi rękami. Naboje wchodziły opornie — palce ślizgały się po metalu, pokryte lepką mieszanką krwi i potu.

"Ruszaj się... Po prostu ruszaj się..."

Opierając się o zimną betonową ścianę, powlokła się w stronę ledwo widocznego prześwitu na końcu tunelu.

Nawet własny oddech wydawał się ogłuszająco głośny. Joan zatrzymała się przy kracie wentylacyjnej, przyciskając plecami do ściany.

Serce waliło jak oszalałe.

I wtedy to USŁYSZAŁA — chrapliwe, mokre sapanie po drugiej stronie kraty. Coś dużego. Coś głodnego.

Krata wypadła z hukiem, który rozdarł ciszę. Z czarnego otworu wentylacji wypełzły łapy — nie ręce, nie, coś kościstego, pokryte szorstkimi naroślami. Palce z pazurami wbiły się w jej ramię, rozrywając tkaninę i skórę.

"NIE!" — jej krzyk odbił się echem po tunelach.

Pistolet wystrzelił na oślep — pocisk rykoszetem odbił się od sufitu, obsypując ich iskrami. Bestia warknęła, a ten dźwięk był jak z najgorszych koszmarów — niski, głęboki, z bulgoczącym posmakiem.

Czuła, jak ciągnie ją w czarną czeluść wentylacji. Nogi bezsilnie uderzały o metalowe ściany szybu, pazury wpiły się w twarz — ciepła krew zalała prawe oko. W uszach dzwoniło, mieszając się z jej własnymi wrzaskami, a cuchnący oddech potwora parzył skórę.

Strzały. Jeden. Drugi. Trzeci.

Głuche, stłumione przez ciasną przestrzeń. Bestia zawyła — dźwięk, od którego krew krzepła w żyłach.

Cisza.

Tylko krople jej krwi spadały na metal. Gdzieś w ciemności szemrała woda.

A potem — kroki.
Nie jej. Nie ludzkie.

TYDZIEŃ PÓŹNIEJ
Kanada. Toronto. Wczesny poranek.

Cole Sullivan obudził się, gdy butelka, którą ściskał w dłoni, wyślizgnęła się i rozbiła o podłogę. Lepka whisky rozlała się po drewnianych deskach, mieszając z kurzem i odłamkami szkła. Nawet nie drgnął, żeby to posprzątać. Po co? I tak nikt nie przyjdzie.

W sąsiednim pokoju telewizor mamrotał doniesieniami reportera:

—…nowe przypadki zakażeń we Wschodniej Europie. Liczba ofiar wirusa «Dexter» przekroczyła 15 tysięcy. Dziś w Hadze odbędzie się proces jednego z przywódców «Nowej Ziemi»…

Retrospekcja. Rok 2030. Wieczór.

Stał w drzwiach szpitalnej sali, zaciskając w dłoniach papier. "Kod 451. Wirusowe zapalenie płuc. Rokowanie niepomyślne."

— To zwykła grypa! — prawie krzyknął. — Co za cholerna sprawa?!

Lekarz, zmęczony mężczyzna w kombinezonie ochronnym, tylko pokręcił głową.

— Kiedyś to była zwykła grypa. Teraz to wyrok śmierci.

Cole nie wierzył. Nie mógł uwierzyć. Ale trzy dni później jego żona, Sarah, udusiła się na OIOM-ie.

Tydzień po niej — syn Jacob.

Retrospekcja.
Wiadomości, rok 2030.
Ekran telewizora migotał w ciemności pustego domu.

"…grupa «Nowa Ziemia» wzięła odpowiedzialność za serię ataków w dużych miastach. Według ONZ terroryści rozpylili nieznany patogen, który…"
Kadry zmieniały się: ludzie w maskach, płonące laboratoria, zwłoki w szpitalnych korytarzach.

"…wirus wchodzi w reakcję ze zwykłymi infekcjami dróg oddechowych, przekształcając je w śmiertelne choroby. Śmiertelność sięga 60%…"
Cole wyłączył telewizor.

Wrócił do teraźniejszości. Ścisnął głowę w dłoniach, jakby próbując zmiażdżyć tępy szum w skroniach — mieszankę kaca, zmęczenia i nienawiści do samego siebie.
Krótkie, czarne włosy, niegdyś starannie przycięte według wojskowego regulaminu, teraz sterczały w nieładzie, jakby i one miały dość tego wszystkiego. Twarz — spierzchnięta, o ostrych rysach, poorana zmarszczkami głębszymi, niż powinny być u czterdziestolatka.

Ale najbardziej rzucał się w oczy blizna.

Gruba, biała kresa przecinała lewy policzek, od kości policzkowej niemal do brody — pamiątka z Północnego Kaukazu, odłamek przeszłości, którego nigdy nie zdołał wyrwać. Czasem, w rzadkich chwilach trzeźwości, łapał się na tym, że przesuwa palcami po tej bliznie, jakby próbując ją zetrzeć. Ale blizny — tak jak wspomnienia — nie da się wymazać.

Nie był już żołnierzem. Nie był bohaterem. Teraz był tylko pustą skorupą.

Pięć lat. Minęło pięć lat, odkąd świat się zmienił. Pięć lat, odkąd «Nowa Ziemia» wypuściła tego przeklętego wirusa.

Nazywali siebie «zbawcami planety». Mówili, że ludzkość to choroba, a oni — lekarstwo.

Ich przywódca, niejaki Doktor Emil Dexter, oznajmił w swoim manifeście:

"Nie zabijamy ludzi. Tylko przyspieszamy naturalną selekcję."

Naturalna selekcja.

Cole zaciśniętą pięścią uderzył w stół. Jego rodzina nie była «słabym ogniwem». Oni po prostu żyli. A teraz ich nie było.

A świat?

Świat staczał się w przepaść. Wirus mutował. Naukowcy nie nadążali z tworzeniem szczepionek. Co roku — nowa epidemia. Co miesiąc — nowe zgony.

Ludzkość wymierała. A Cole…

Cole tylko wegetował. Dnie zlewały się w alkoholową mgłę. Koszmary nocne. Puste butelki.
Aż do dziś.

Sięgnął po kolejną butelkę, ale jego palce natknęły się na oprawione zdjęcie. Oni. Żona — uśmiechnięta, słońce igrało w jej kasztanowych włosach. Syn — zaledwie ośmiolatek, z przerwą między zębami, w czapce «Blue Jays». Cole gwałtownie odwrócił fotografię twarzą w dół.

Bzzz… Bzzz… Bzzz…

Drażniący dźwięk. Gdzieś w pobliżu wibrował telefon. Nie odebrał. Głowa rozsadzała mu się, jakby od środka powoli eksplodował granat. Zamknął oczy, nie chciał widzieć tego świata. Dzwonek powtórzył się. Piąty raz. Cole warknął, złapał telefon.

— Kto?!

— Sullivan. Tu Lamar.

Głos generała był twardy, pozbawiony emocji. Cole zastygł.

— Jestem na emeryturze, sir.

— Wiem. Ale jesteś mi potrzebny.

— Odpuść. Nie jestem już żołnierzem.

— Będziesz tu gnił, aż zdechniesz?

Cole milczał. Wpatrywał się w zdjęcie.

— Nie będę cię błagał. Jest misja. Albo wsiądziesz do gry, albo dalej będziesz się topił w tym gównie. Twój wybór.

— Jaka misja?

— Nie przez telefon. Po ciebie jadą. Będą za dwadzieścia minut.

Cole chciał rzucić słuchawkę, ale…

— Dlaczego ja?

— Dlatego, że jesteś jednym z nielicznych, którzy wyszli cało z tej mięsarnii na Północnym Kaukazie. Dlatego, że gówno obchodzą cię przepisy. I dlatego że…

Znów cisza. Generał wzdycha.

— Dlatego, że jeśli ty się nie podejmiesz, to kto?

Cole patrzy na pustą butelkę. Potem na zdjęcie.

— Niech będzie.

Rzuca telefon na łóżko. Wstaje, podchodzi do okna. Za nim — pusty dom, puste życie.

A przed nim — walka z niewiadomą. Czarny terenówka już czeka pod blokiem.

Polska. Rzeszów. Bar „Grizzly".

„Życie jest jak bagno — idzie się ciężko" — ta myśl kotłowała się w głowie Jarka Ovitza, gdy sięgał po kolejny kieliszek późną nocą.

Bar był wypełniony po brzegi: gęsty dym papierosowy, wrzask rozmów, chrapliwy rock z głośników. Ovitz siedział przy barze w kącie, otoczony swoimi ludźmi — byłymi „wilkami" takimi jak on. Świętowali udaną akcję: likwidację grupy najemników, którzy próbowali ukraść towar z wojskowego magazynu. Operacja poszła gładko, bez pytań. A to znaczyło — można było się ostro nawalić.

Jego jasne, wypłowiałe od słońca włosy sterczały krótkimi kosmykami, jakby obcięte nożem. Blizna nad prawą brewią — stara, biała, przecięta kiedyś odłamkiem albo kastetem — odcinała się na opalonej skórze jak pamiątka dawnych burd. W jego niebieskich oczach, zwykle zimnych jak lutowy wiatr nad polami, teraz migotał pijany ogień.

Ciało miał twarde, żylaste, bez zbędnego tłuszczu, ale i bez napompowanych mięśni — siłę miał robotniczą, wykuwą w wiejskiej biedzie, a potem w koszarach i najemnych porachunkach. Dłonie w zadrapaniach i siniakach, paznokcie połamane, jakby wciąż coś grzebał, naprawiał albo dusił wrogów za gardło. Nawet w zniszczonej skórzanej kurtce i rozciągniętym swetrze wyglądał jak kawał twardziela — niby wyrzeźbiony toporem z dębiny i zapomniany w warsztacie. Pod swetrem widoczne były blade blizny — ślady wszczepionych implantów. Lekko błyszczały na nadgarstkach i obojczykach, jakby przypominając, że pod tą skórą znajduje się nie tylko ciało, ale także broń.

Miał głos chropawy, z charakterystycznym świstem — jak mieszanka papierosów i starego koniaku. Mówił głośno, z rubasznym humorem, ale w każdym słowie czuć było bystrość. W końcu lingwista. Potrafił cytować Mickiewicza między dwiema bójkami, a zaraz potem opowiedzieć sprośny kawał o sierżancie i pielęgniarce.

Jarek był już solidnie wstawiony — wódka, whisky, piwo — wszystko zlało się w gorący zamęt. Obok niego siedziała dziewczyna z nienaturalnie jaskrawymi rudymi włosami i ustami pomalowanymi tanim błyszczykiem. Jarek od pół godziny próbował ją poderwać, ale ta tylko chichotała, zerkaąc na swojego chłopaka — tępego drabę z krzywym nosem i wężem wytatuowanym na karku.

— Hej, laleczko! — Ovitz wstaje, lekko się chwiejąc, i podchodzi do niej. — Jesteś przypadkiem z jednostki specjalnej? Bo właśnie wysadziłaś mi serce.

Dziewczyna się uśmiecha, ale jej towarzysz gwałtownie wstaje, uderzając kolanem w stół.

— Spierdalaj, gnidzie — warczy, popychając Ovitza w ramię.

Cios w nos — szybki, precyzyjny. Chrupnięcie chrząstki, krew chlusta na stół. Chłopak wali się na podłogę, a jego trzech kumpli zrywa się z miejsc.

— Oj, sorry, odruch warunkowy — uśmiecha się Jarek.

Pierwszy — niski, ływy — rzuca się z pięściami. Ovitz, nie tracąc równowagi, łapie butelkę ze stołu i wbija mu ją w skroń. Szkło pęka, facet osuwa się, charcząc.

Drugi — chudy, z kolczykiem w brwi — próbuje go złapać od tyłu. Jarek obraca się błyskawicznie, chwyta go za kołnierz i rzuca w okno. Szyba pęka, ciało wylatuje na zewnątrz w wrzaskach gości.

Trzeci — największy — już zamachnął się pięścią. Ovitz łapie jego rękę, szarpie w dół i z rozmachem wbija mu głowę w blat. Raz, drugi. Facet osuwa się nieprzytomny.

— No to co? Ktoś jeszcze chce mnie uczyć manier? — Jarek ociera dłoń o spodnie, rozglądając się po barze.

Barman — siwy dryblas z tatuażami na rękach — tylko wzdycha.

— Znowu ty, kurwa, Ovitz?

— Wyluzuj, staruszku — Jarek wyciąga plik banknotów i walna nim w bar. — Za wszystko płacę.

Dopija resztę whisky, głośno beknię i chwiejnym krokiem kieruje się do wyjścia.

Zimne powietrze uderza w twarz. Jarek zapala papierosa, wciągając dym głęboko w płuca. Głowa huczy, ale jeszcze trzyma fason.

— Panie Ovitz.

Głos suchy, bez emocji. Z cienia wychodzi mężczyzna w mundurze — nie polskim, ale z naszywkami ONZ. Chudy, krótko ścięty, oczy jak u snajpera — zimne i nieruchome.

— O… kolejny ochotnik na wpierdol? — Jarek chwieje się lekko, ale natychmiast prostuje, próbując zebrać myśli.

— Pańskie umiejętności są imponujące — mówi nieznajomy, ignorując jego słowa. — Mamy dla pana propozycję. Ważna misja. Ściśle tajne.

Ovitz prycha, puszczając kółko dymu.

— Służbę już odsiedziałem. No i jestem w ciągu.

— Wiemy. Ale pan jest jedynym, kto mówi po rosyjsku, ukraińsku i jeszcze w pięciu językach. Plus pańskie… unikalne doświadczenie.

— Aha, unikalne — śmieje się Jarek. — Czyli potrzebujecie kogoś, kto potrafi strzelać i przeklinać w wielu językach?

Wojskowy się nie uśmiecha.

Jarek zastyga na sekundę, po czym gwałtownie odrzuca niedopałek.

— Okej. Gdzie mój helikopter? — wybucha śmiechem, ale w jego oczach nie ma już pijanego błysku.

— Proszę wsiadać do auta, panie Ovitz.

Jarek przez chwilę się zastanawia. W końcu spluwa, wyciąga kolejnego papierosa, zapala go i, machając niedbale ręką na pożegnanie swoim zszokowanym kumplom w barze, wkracza do czekającego wozu.

— No cóż… Wygląda na to, że gra się zaczyna.

Francja. Nantes. Zamknięte laboratorium „Onirique Industries”.

Przygaszone neony migotały pod sufitem, odbijając się w mętnych kolbach z płynami. Powietrze nasycone było zapachem sterylizatorów i chemiczną goryczą — jakby ktoś zmieszał wybielacz z przepaloną plastikową zabawką. Na środku sali stała masywna, szczelna komora ze wzmocnionego szkła i stali, wewnątrz której wciąż unosił się bladożółty dym.

„Dezynfekcja zakończona” — rozległ się mechaniczny głos z głośników.

Drzwi komory rozsunęły się z sykiem, wypuszczając na zewnątrz postać w niezdarnym kombinezonie ochronnym, przypominającym bardziej skafander kosmiczny. Jego ruchy były powolne, jakby walczył z nieważkością. Otoczyli go naukowcy w białych kitlach, odkręcając śruby, ściągając rękawice, sprawdzając czujniki.

Gdy w końcu zdjęto hełm, spod niego wyłoniła się chuda twarz o ostrych kościach policzkowych i bladej, spoconej skórze. Thiery Trantigne, 30 lat, jeden z czołowych biochemików kompleksu. Jego głowa była całkowicie ogolona — nie dla estetyki, ale z powodu protokołów bezpieczeństwa. Szaro-niebieskie, zmęczone oczy natychmiast zmrużyły się w ostrym świetle.

— M-moment, Jeanne — lekko się zająknął, nerwowo przesuwając dłonią po twarzy, jakby sprawdzał, czy wszystkie rysy są na miejscu. — Trzeba wpisać dane do protokołu. F-faza trzecia testów zakończona sukcesem. Neutralizacja gazu — 98,7%. Powtórki jutro.

Kobieta z ciasnym, brązowym warkoczem skinęła głową, szybko notując w tablecie. Thiery wciągnął głęboko powietrze.

Zrzucił kombinezon, pozostając w przepoconej, szarej roboczej odzieży, i wyciągnął z kieszeni okrągłe okulary w cienkiej metalowej oprawce. Gdy je założył, wyglądał od razu bardziej skupiony — jakby szkła były jego tarczą przed światem.

Skierował się w stronę awaryjnego wyjścia — wąskich metalowych drzwi na końcu korytarza. Obiecywał sobie rzucić palenie po śmierci ojca. Rak płuc. Sześć lat temu. Ale stres zawsze wygrywał.

Chłodne wieczorne powietrze uderzyło go w twarz, gdy otworzył drzwi. Dach laboratorium był pusty — tylko wentylacyjne kraty i kilka reflektorów oświetlających teren. Thiery wyciągnął pogniecioną paczkę „Gitanes” i zastygł, wpatrując się w nią.

— Obietnice to tylko słowa, co nie? — mruknął pod nosem, zapalając.

Dym szczypał w płuca, ale zaciągnął się głębiej, zamykając oczy. Na moment przywidział mu się ojciec — ten sam chudy, łysiejący mężczyzna w okularach, kaszlący krwią w szpitalnym łóżku.

— Gratuluję sukcesu, doktorze — rozległ się za jego plecami niski głos z lekkim akcentem.

Thiery drgnął i odwrócił się gwałtownie. W drzwiach stał wysoki mężczyzna w mundurze ONZ, ale narzucony na niego biały kitel sprawiał wrażenie, jakby właśnie wyszedł z sali operacyjnej. Jego twarz była w cieniu, ale Thiery dostrzegł zimne szare oczy i bliznę przecinającą brew.

— M-można wiedzieć, kim pan jest? — Thiery próbował ukryć nerwy, ale palce znów sięgnęły do płatka ucha.

Nieznajomy postąpił krok naprzód, a światło reflektora wydobyło z mroku odznakę na jego piersi — czarną tarczę z napisem „UNSOG” (United Nations Special Operations Group).

— Kapitan Reyes — przedstawił się. — Mogę prosić o ogień?

Thiery w milczeniu podał paczkę. Reyes złapał papierosa, zapalił i zaciągnął się głęboko.

— Zrobiliście imponującą robotę. Wasza formuła neutralizuje gaz w kilka minut. Nawet Amerykanie nie mają takich wyników — powiedział, wypuszczając dym.

Thiery milczał. Komplementy zawsze go peszyły.

— Ale mam do was inną sprawę — Reyes wyciągnął tablet i włączył go. Na ekranie mignęła mapa Polski z oznaczeniem „Gorky-17”. — Dostajecie przydział do grupy specjalnej. Misja — najwyższy priorytet.

Thiery poczuł, jak zimny pot spływa mu po plecach.

— Ja… ja nie jestem żołnierzem. Jestem naukowcem — wydukał.

— Właśnie dlatego jesteście potrzebni — Reyes uśmiechnął się krzywo. — Jest tam coś, co wymaga waszego… eksperckiego spojrzenia.

Podał Thiery’emu czarny żeton z wygrawerowanym „B-07”.

— Wasz zespół już wie. Samolot odlatuje za trzy godziny.

Thiery zastygł. Wiedział, że to nie prośba.

— A jeśli odmówię?

Reyes powoli zgasił papierosa, miażdżąc go obcasem.

— Czytaliście kontrakt z Onirique, prawda, doktorze? — jego głos stał się cichszy, ale twardszy. — Sekcja 17-B. Personel naukowy może zostać zmobilizowany w przypadku globalnego zagrożenia. A to, co jest w Gorky-17… Zrobił pauzę. „To właśnie zagrożenie.

Thiery ścisnął żeton w dłoni.

— Co tam się dzieje?

Reyes odwrócił się do wyjścia, ale zanim zniknął, rzucił:

— Koniec świata, doktorze. I od was zależy, czy pomożecie go zatrzymać… czy staniecie się jego częścią.

Drzwi zatrzasnęły się. Thiery stał sam, patrząc na dogasającego papierosa. Cisnął nim przez barierkę i zgniecioną paczkę wbił w kieszeń. Obietnice mogły poczekać.

Baza wojskowa „Walter", granica Polski i Niemiec.

Południe. Słońce prażyło niemiłosiernie, zamieniając asfalt placu w rozgrzaną patelnię. Wzdłuż ogrodzenia maszerowali nowi rekrutów, ich buty uderzały rytmicznie w takt komend sierżanta. Gdzieś w oddali warczały silniki opancerzonych pojazdów szykujących się do ćwiczeń.

Ryk motoru. Czarny wojskowy van z przyciemnionymi szybami wjechał na teren bazy, wzbijając tumany kurzu. Za nim, jak cień, podążały dwa dżipy z uzbrojoną ochroną.

Drzwi się otworzyły. Z vana wysiadł Cole Sullivan. Przez chwilę stał, mrużąc oczy w słońcu, po czym wyjął papierosa, zapalił i powoli wypuścił dym, obrzucając wzrokiem koszary, hangary, zasieki z drutu kolczastego.

„Jakby nic się nie zmieniło."

Tylko on się zmienił.

Cole skierował się w stronę budynku sztabu — masywnego betonowego bloku z kolumnami i flagą NATO przy wejściu. Wartownicy rozpoznali go od razu — po spojrzeniu, postawie, po tym, jak się poruszał, jakby nawet teraz był gotowy na strzelaninę. Zasalutowali. On nie odpowiedział.

Korytarze sztabu. Chłód. Zapach kawy, prochu i stali.

Cole szedł długim korytarzem, jego ciężkie buty głucho odbijały się od linoleum. Na ścianach — portrety generałów, mapy operacji, zdjęcia „bohaterów". Nie patrzył na nie. Drzwi na końcu. Otworzył je ramieniem i wszedł.

Sala odpraw. Chłodny półmrok. Duży ekran. Stół z mapami.

Thiery Trantigne nie spuszczał wzroku z Sullivana. Słyszał o nim — nie tylko plotki, ale i dossier, które jako konsultantowi ONZ raz pokazano. Major Cole Sullivan. Były komandos, operacji — bez liku, odznaczeń — nie zliczysz. Genialny taktyk, zimny, wyrachowany. Ale pięć lat temu zrezygnował. Po tym, jak „Nowa Ziemia" zabiła jego rodzinę.

Oprócz nich w sali byli też inni żołnierze:

Anton Vasovsky — szczupły medyk z podniszczoną apteczką i wiecznie zmęczonym spojrzeniem.

Seamus Tartakovsky — ponury strzelec z tatuażem „GROM” na przedramieniu. Weteran, który palił za dużo i mówił za mało.

Mark Novak — brodaty karabinier, wyglądający jak niedźwiedź w kamizelce kuloodpornej.

Generał Lamar szykował się do odprawy.

Ciszę przerwał Jarek Ovitz, rozwalając się na krześle, jakby to był bar, a nie narada przed misją o poziomie zagrożenia „Czarny Feniks”.

— No dobra, i po co tu jesteśmy? Somalki porwały jakąś bogatą córeczkę?

Jego głos rozległ się echem po pomieszczeniu, a Mark Novak, masywny brodacz, parsknął, zakrywając usta dłonią. Cole tylko lekko drgnął kącikiem ust. Znał Jarka — służyli razem. Za błaznowaniem krył się zimny profesjonalista, który z zamkniętymi oczami rozłożyłby i złożył karabin maszynowy.

Generał Gordon Lamar, chudy, o orlim profilu, jakby nie słysząc uwagi, nacisnął przycisk projektora. Na ekranie pojawiły się zdjęcia satelitarne — ruiny Gorky-17, otoczone drutem kolczastym i znakami „BIOHAZARD”.

— Miasto oficjalnie nie istnieje. Według mediów — wyciek broni chemicznej — głos Lamara był suchy jak raport. — Ale trzy tygodnie temu odebraliśmy anomalne sygnały radiowe ze strefy. Potem przyszła wiadomość — fragmenty o „niekontrolowanych eksperymentach”. Grupa „Alpha” poszła na zwiad. Ich ostatni sygnał — strefa portowa. Wasze zadanie — znaleźć ich i wyjaśnić, co tam się stało.

Jarek odwrócił się do Thiery’ego, złośliwie mrużąc oczy:

— A co, jajogłowych też zaprosili?

Novak i Seamus parsknęli. Thiery powoli podniósł głowę. Jego oczy zwęziły się, jakby właśnie odkrył pod mikroskopem wyjątkowo paskudną bakterię.

— „Putain militarisé” (kurwa w mundurze) — warknął przez zęby.
Lamar gwałtownie przerwał panującą atmosferę:

— Monsieur Trantigne to jeden z najlepszych specjalistów od broni biochemicznej. Jeśli coś tam rzeczywiście wydostało się na wolność, jego wiedza będzie nam potrzebna.

Thiery wziął głęboki oddech, zmuszając się do skupienia. Na marginesie notatnika jego dłoń automatycznie naszkicowała karykaturę: potworny mutant odrywał głowę ludzikowi ze spuszczonymi spodniami, pod którym widniał podpis: „Ovitz”.

— Zadanie jasne? — Gordon powiódł wzrokiem po pomieszczeniu.

— Tak jest! — chórem odpowiedzieli żołnierze.

— Ovitz, wszystko zrozumiałeś?

Polak cmoknął językiem:

— Tak, na razie pytań nie ma. Jarek Ovitz gotowy do akcji!

Generał powoli skinął głową, po czym dodał, ściszając głos:

— Przygotujcie się na najgorsze.

Jarek wyszczerzył się:

— Na najgorsze? Oho, chłopaki, może w końcu postrzelamy!

Trącił łokciem Seamusa, a ten zachichotał ochryple. Mark tylko pochmurno sapnął. Cole nie przyłączył się do śmiechu. Jego wzrok przemknął po twarzach pozostałych:

Anton Vasovsky, medyk — w milczeniu sprawdzał apteczkę, jakby już widział rany, które przyjdzie mu opatrywać.
Thiery wciąż zaciskał pięści, ale jego oczy już analizowały mapy na ekranie.
Tylko Jarek zachowywał się, jakby to była zwykła misja. Ale Cole wiedział — za tą brawurą kryło się coś więcej.

Zanim ich wypuścił, Lamar dodał:

— I jeszcze jedno… Jeśli zobaczycie coś… niewytłumaczalnego — nie próbujcie działać na własną rękę. Wycofujcie się i meldujcie.

W jego głosie zabrzmiała nuta, której Cole wcześniej u niego nie słyszał. Strach.

„Coś tu nie gra” — pomyślał Cole, patrząc na drżący projektor. „Coś przed nami ukrywają… Co oni tam, do cholery, znaleźli?”

Gdzieś za bazą zawył wiatr, jakby ich ostrzegając.

Jutro zejdą do piekła.

26 PAŹDZIERNIKA 2035, 04:00
Gęsta, mleczna, martwa mgła spowiła port jak całun. Nie wisiała w powietrzu — pełzała, oblepiała skórę, wdzierała się do płuc, zostawiając na wargach posmak stali i zgnilizny.

Warkot silnika — cichy, stłumiony — przeciął ciszę. Z białej zawiei powoli wyłoniła się motorówka.

— Novak, zwolnij do minimum — Cole nie podniósł głosu, ale każde słowo brzmiało jak komenda przed szturmem.

Uniósł termowizor, wpatrując się w bielmo. Ekran migotał, pokazując rozmyte zarysy — porzucone łodzie, przewrócone kutry, coś jeszcze… Ale sygnał falował, zniekształcony, jakby sama mgła była żywa i zakłócała sprzęt.

Thiery siedział skulony. Jego palce drżały — nie tylko z zimna. Nawet hermetyczny kombinezon nie pomagał. Mróz wżerał się w kości, gryzł mięśnie. Wzdrygnął się, gdy w wodzie — tuż przy łodzi — coś się poruszyło. Nie ryba. Większe. Wolniejsze.

Zamknął oczy, potrząsnął głową. „Wyobraźnia. Tylko wyobraźnia".

Ale gdy je otworzył, na powierzchni wciąż były kręgi.

Nie powinien tu być. Był biochemikiem, doktorem nauk, człowiekiem, który jeszcze trzy lata temu analizował struktury białek w sterylnym laboratorium z klimatyzacją i ekspresem do kawy. A teraz? Ten przeklęty port. Dlaczego on? Dlaczego nie wysłali kogoś innego?

Jarek drzemał, rozwalony na siedzeniu, jego ciężka głowa kołysała się bezwładnie. Reszta milczała. Seamus zaciskał dłonie na karabinie. Anton wpatrywał się w mgłę pustym wzrokiem, jakby już widział to, co ich czeka.

Łódź cicho przybiła do nadgryzionego zębem czasu pomostu. Deski skrzypiały pod ich ciężarem, uginały się, jakby zgniłe od środka.

Cole pierwszy zszedł na ląd, sprawdził teren — żadnych śladów.

„Gdzie jest 'Alfa'? Gdzie w ogóle ktoś?"

Mark podniósł radiostację:

— „Puzon", tu „Flet". Odbiór. Grupa „Beta" na miejscu. Jak słyszycie?

Cisza. Tylko szum — syk, zgrzyt, coś… Jak czyjś oddech.

— Nie ma sensu — Thiery przejął radiostację, przekręcił pokrętła. — Zakłócenia elektromagnetyczne. Wszystkie częstotliwości zagłuszone.

Mark spróbował jeszcze raz:

— „Puzon", odbiór!

Żadnej odpowiedzi. Tylko echo jego głosu, wchłonięte przez mgłę.

Nad wodą gęstniała jak żywa ściana, ale na lądzie rzedła, pozostawiając lepką, drgającą poświatę, przez którą wyłaniały się zarysy martwego miasta.

— Masz rację — mruknął Mark, wciąż wpatrując się w zakłócenia. Palce Thiery'ego nerwowo przestawiały częstotliwości, ale poza białym szumem i urywanymi, zniekształconymi głosami (jakby dobiegającymi spod wody) nie było nic.

Jarek wyszczerzył się, rozwalony na zardzewiałej skrzyni, i walnął kolbą w metal, zwracając na siebie uwagę:

— No tak, teraz Profesor X potrze jaja i połączy się telepatycznie, co? Wszystko załatwi?

Thiery nie podniósł wzroku, ale ścisnął radiostację tak, że zatrzeszczał plastik.

— Tak, pierwsze, o co go poproszę, to żebyś w końcu nauczył się żartować.

Potrząsnął urządzeniem, jakby wierząc, że to naprawi zakłócenia, po czym westchnął:

— Za silne. Potrzebujemy wzmacniacza sygnału.

Jarek uniósł brew, drwiąco oceniając naukowca:

— Mamy taki, profesorze?

Thiery nie odpowiedział od razu. Zamiast tego powoli wyciągnął rękę i wskazał wysoką wieżę radiową, górującą nad dachami opuszczonych magazynów.

— Nie. Ale możemy podłączyć się do… tej wieży.

Stała w oddali, nienaturalnie prosta wśród zrujnowanych budynków. Ale coś było nie tak.

— Jest przykryta brezentem — mruknął Thiery, poprawiając okulary.

Dziwne. Po co ktoś miałby się tam wspinać i ją zakrywać? I to w taki sposób — jakby coś ukrywał?

Cole podszedł, klepnął go w ramię, przerywając rozmyślania:

— Monsieur Trantigne, pewien, że przez nią da się połączyć z bazą?

Thiery wyciągnął urządzenie — niezgrabne, z migającymi czujnikami, przypominające coś między wykrywaczem duchów a prowizorycznym nadajnikiem.

— Mój miernik wskazuje… 70% szans na powodzenie.

Cole uśmiechnął się krzywo:

— No cóż, cieszę się, że nie 7%.

Rzucił okiem na grupę, a jego głos stał się twardy:

— Słuchajcie wszyscy. Idziemy do wieży. Żadnego odstępowania. Żadnych „tylko szybko sprawdzę”. Wszyscy na widoku.

Miasto milczało. Potłuczone szyby gapiły się jak puste oczodoły. Graffiti na ścianach — krzykliwe, bezładne symbole, jakby malowane w panice. Wraki statków rdzewiały przy nabrzeżu, ich szkielety sterczały z wody niczym kości olbrzyma.

Ale przede wszystkim – cisza. Zbyt głucha. Nawet wiatr nie dawał znaku życia. I to uczucie... Uczucie, że nie są sami. Coś tu było. Niewidzialne. Ukryte w mgle. Obserwujące.

Rozwalone ulice, spowite toksycznym oparem, przypominały wnętrzności jakiegoś gigantycznego, martwego zwierza. Oddział „Beta” poruszał się w milczeniu, gęsiego, przywarłszy do ścian budynków.

Cole szedł pierwszy, jego termowizor wyłapywał z szarej zawiei rozmyte zarysy – opuszczone samochody, powywracane śmietniki, coś... Coś, co szybko zniknęło za rogiem.

Potłuczone witryny. Szkło chrupało pod butami jak kości.

– Przerwa – Cole machnął ręką, a żołnierze rozproszyli się po terenie, sprawdzając klatki schodowe, okna, mroczne przejścia.

Thiery przysiadł pod ścianą, wyciągnął swoją samoróbkę – pudełko pełne kabli – i zaczął podłączać je do radiostacji.

Przewody nie stykały się. Złącze nie pasowało.

„Merde..."

Jarek oparł się o mur obok, wyciągnął papierosa (wbrew zakazowi Cole'a) i wyszczerzył zęby w uśmiechu:

– Tak samo się męczysz z babami, profesorze? Czy tylko ze sprzętem?

Thiery nie podniósł wzroku, ale jego palce ścisnęły kabel tak mocno, że skóra zbiegła się biało.

– Skoro już tu jesteś... – odwrócił się gwałtownie, podając Ovitzowi goły przewód. – Potrzymaj. Trzeba przepiąć. Jarek bez zastanowienia wziął go w dłoń.

TRACH.

Prąd przemknął przez jego ciało, szarpając mięśniami. Thiery szybko wyrwał kabel, zakładając gumową rękawicę.

– Zauważyłem w tobie implanty Onirique Industries. Świetnie przewodzą prąd. Akurat potrzebowałem źródła zasilania. Jarek zastygł. Jego oczy błysnęły wściekłością, ale po chwili zachichotał ochryple, pokazując zęby:

– Pierdolony mózgowniczu. Po kiego chuja ty nam tu w ogóle jesteś potrzebny...

W tej samej chwili Thiery coś zobaczył. Kątem oka. Mgła drgnęła. Tam, między rozbitymi latarniami, stał człowiek.

Albo nie człowiek.
Kontury były niemal prawidłowe... ale zbyt wysokie. Zbyt nienaturalne. Ovitz też to zauważył.

– Co do... – przykucnął gwałtownie, chwytając za karabin. – Major! Mamy tu „cywila"!

Cole odwrócił się, unosząc dłoń – znak ciszy.

Postać się nie poruszała. Tylko mgła wiła się wokół niej, jakby omijając coś niewidzialnego.

Najpierw wydawało się, że jest po prostu ranny.

Blada, niemal szara skóra, pokryta wrzodami i żółtymi, sączącymi się naroślami wzdłuż kręgosłupa. Jego plecy falowały, pulsowały, jakby pod skórą roiło się od czegoś żywego.

– Nie podchodzić! – Cole gwałtownie uniósł rękę, sygnalizując zatrzymanie.

Oddział natychmiast zastygł, lufy karabinów skierowały się w stronę dziwnej postaci.

– Nazywaj się – warknął Cole.

W odpowiedzi tylko bulgoczący pomruk, jakby gardło stwora było wypełnione płynem.

– Chyba ma szok – Anton, nie czekając na rozkaz, rzucił się do przodu, chwycił nadgarstek stworzenia, szukając pulsu. Jego twarz wykrzywiła się.

– Nie ma tętna, majorze...

I wtedy palce „człowieka" zacisnęły się wokół jego dłoni.

– KURWA! – Anton wrzasnął, próbując się wyrwać, ale uścisk był nieludzki.

Skóra stwora zaczęła się poruszać. Pęcherze. Wybrzuszenia. Pęknięcia.

– Słyszałeś, co ci powiedziano, zjebie? – Jarek już celował, palec na spuście.

– Nie, nie strzelaj! – Thiery rzucił się naprzód, ale było za późno.

Strzał. Kula wbiła się w czoło z mokrym, chlupiącym dźwiękiem. Ale stwór nie upadł. Jego gardło rozdarło się na szwach, odsłaniając podwójny rząd ostrych, zakrzywionych zębów, jak u głębinowej ryby.

– CO TO, KURWA, JEST?! – Jarek odskoczył, zaciskając dłonie na karabinie.

Stwór wbił zęby w ramię Antona. Chrup kości. Krew trysnęła na asfalt, gęsta, niemal czarna. Anton zawył, szarpiąc się jak oszalały, ale potwór nie puszczał.

Cole strzelił – raz, drugi, trzeci. Ciało drgnęło, ale nie przestało się poruszać.

Mutacja przyspieszyła. Głowa rozłupała się na pół, wywracając, przeobrażając w coś pomiędzy jaszczurką a modliszką, z fasetkowymi oczami migającymi jak potłuczone szkło.

Plecy wybrzuszyły się, kości łamały się i przebudowywały, wyciągając w długi, segmentowany ogon pokryty chitynowymi kolcami.
Skóra pękła, odsłaniając mięśnie, śluzowate błony, pulsujące żyły. Stanęło na czterech kończynach, jego nowe łapy wyginały się w odwrotną stronę, jak u szarańczy, wydając przenikliwy, nieludzki pisk.

Sfinks. Koszmar z krwi i kości. I patrzyło prosto na nich.

Stworzenie – teraz już w pełni ukształtowane w koszmarnego Sfinksa z ciała i chityny – rzuciło się w stronę oddziału.

Jego łapy wbijały się w asfalt, zostawiając lepkie ślady.

– OGNIA!

Cole nie krzyczał – jego głos przeciął powietrze jak brzytwa. Ściana ołowiu runęła na bestię. Pociski rozrywały jej ciało, wyrywając kawały mięsa, ale ona wciąż się poruszała, jakby ból był jej obcy.

Anton, wijąc się z bólu, podniósł pistolet –

Dwa strzały w głowę. Czaszka pękła, ale stworzenie tylko drgnęło, zanim runęło na ziemię.

– A-a-a, suko, jak to piecze, kurwa...

Anton ściskał rozdartą rękę, krew sączyła się między palcami. Thiery stał z pistoletem, jego twarz była biała jak śnieg. Wszyscy milczeli. Nawet Ovitz.

– Święta Matko Boska! – Tartakovsky pierwszy przerwał ciszę, jego głos drżał. – Co to, u diabła, jest?!

Cole powoli przeładowywał karabin, jego wzrok nie odrywał się od zwłok potwora.

– To właśnie to "najgorsze", na co czekaliśmy.

Wziął głęboki oddech.

– Nie wiemy, do czego są zdolne. I ile ich tu jest. Jeden fałszywy krok – a jesteśmy trupami.

Thiery i Mark byli już przy Antonie, opatrywali ranę. Anton drżącą ręką wstrzykiwał sobie morfinę, mamrocząc:

– Tylko nie amputacja... Tylko nie amputacja...

Ovitz klepnął go po ramieniu:

– Nie pierdol, Wazowski. Z ręką będzie git. Jeszcze się babom na cycki rzucisz. A jak nie – nasz jajogłowy zrobi ci protezę. Będziesz jak Terminator.

Anton uśmiechnął się przez ból.

I wtedy – Wycie.

Gdzieś blisko. Jeszcze jedno. I kolejne. Cole gwałtownie podniósł głowę:

– Nasza strzelanina je przywabiła.

Szybko ocenił sytuację:

– Trantin, Nowak – wy z Antonem. Ovitz, Tartakovsky – ze mną. Tartakovsky, tył osłaniasz.

Ovitz uśmiechnął się, sprawdzając amunicję:

– Co, szefie, zadyma jak za starych czasów?

Cole wsunął nowy magazynek do karabinu.

– Na to wygląda.

Gdzieś we mgle coś się poruszyło.

Oddział przemieszczał się krótkimi przebieżkami, osłaniając się nawzajem. Mgła gęstniała, zamieniając się w mleczną zasłonę, przez którą ledwo przebijały się zarysy opuszczonych domów.

Szuranie butów po mokrym asfalcie i urywany oddech Antona, który, zaciśniętymi zębami, poprawiał zakrwawiony bandaż.

– Trzymaj się, stary – szepnął Mark, rozglądając się.

Ale coś już ich obserwowało. Tartakovsky uniósł pięść – sygnał "stop".

– Sprawdzę teren – rzucił i gwałtownym ruchem ruszył w stronę wozu z drewnem, który stał w poprzek drogi.

Drzewo zgniło, napęczniało od wilgoci, pokryło się czarną pleśnią. Seamus przywarł do kabiny, nasłuchując. I wtedy – metal zaskrzypiał.

Samochód drgnął. Powoli podniósł głowę.

Na dachu siedziało TO. Trójkątna głowa obróciła się na nienaturalnie długiej szyi, oczy – jak kałuże benzyny, mieniące się w przygaszonym świetle.

Warczało. Zauważyło go.

– KONTAKT, ÓSMA GODZINA! – Tartakovsky wyrzucił karabin do przodu, otworzył ogień.

Trzy strzały. Trafienie. Pociski wbiły się w tors i grzebień na głowie, rozbryzgując gęstą czarną maź.

Bestia zawyła, zeskoczyła z wozu prosto przed niego. Seamus nie zdążył przeładować – ogon świsnął w powietrzu, zwalając go z nóg. Cios był miażdżący. Ciało odrzuciło na drzwi samochodu, plecy zdrętwiały z bólu. Paszcza pełna zębów otwarła się, pryskając śliną.

– Masz, pierdolony Sfinksie!

Wojskowy but uderzył w pysk kreatury, łamiąc chrząst. Cole już biegł, karabin gotowy do strzału.

– Ognia!

Lawina ołowiu. Pociski rozdarły nieosłonięty grzbiet mutanta, rozrzucając kawałki mięsa. Tartakovsky poderwał się, wpakowując serię prosto w głowę. Czaszka eksplodowała, bryzgi czarnej mazi obryzgały asfalt.
Bestia drgnęła w ostatnim spazmie i zastygła.

Cole podszedł, kopniakiem przewrócił zwłoki.

– Rada na przyszłość, Tartakovsky – powiedział, wymieniając magazynek. – Następnym razem – wołaj mnie.

Seamus otarł krew z ust, uśmiechnął się:

– Tak jest, sir.

Cole ledwo zdążył krzyknąć "Rozchodzić się!", gdy dwaj Sfinksi błyskawicznie wparowali między żołnierzy, odcinając Tartakovsky'ego i Cole'a od reszty grupy. Ich ruchy były nienaturalnie płynne, jakby stawy obracały się o 360 stopni.

Thiery, wyłączając bezpiecznik na swoim pistolet, strzelił praktycznie na wprost. Pocisk przeleciał centymetr od lewego Sfinksa, zostawiając za sobą zapach prochu i dzwonienie w uszach.

– Merde! – zaklął, czując, jak dłonie stają się wilgotne od potu.

Prawy mutant wykorzystał ten moment. Trzy skoki – pierwszy na beczkę, drugi na ścianę, trzeci prosto na Ovitza. Runęli na ziemię z hukiem, wzbijając chmurę kurzu. Jarek znalazł się pod bestią, czując jej gorący, cuchnący oddech.

– Co, gnido, myślisz, że na mnie wejdziesz?! – jego głos zamienił się w zwierzęcy ryk.

Lewą ręką zablokował kły, o włos od gardła, prawą wyrwał nóż bojowy. Chrup rozcinanego mięsa, struga ciepłego śluzu i półstrawionej masy zalała jego kamuflaż.

– Masz, zadław się!

Gwałtownym ruchem obrócił ostrze o 90 stopni i pociągnął w dół, rozpruwając brzuch. Wnętrzności wylały mu się na klatkę z mokrym plum.

– Strzelaj już, jajogłowy! – warknął Jarek, odtaczając się na bok.

Thiery, wziąwszy głęboki oddech, przyjął stabilną postawę. Drugi strzał – celne trafienie w wypukły, fasetkowy wzrok. Soczewka pękła, uwalniając strugę żółtawej cieczy.

Mutant zawył, ale nie ustąpił. Już szykował się do skoku, gdy seria z karabinu dosłownie przeszyła go od tyłu. Cole i Tartakovsky, przebijając się przez otoczenie, otworzyli celny ogień.

Thiery podszedł na trzy kroki, przyłożył lufę do podstawy czaszki.

– Au revoir, monstre.

Strzał. Głowa rozleciała się na kawałki jak przejrzały owoc. Ciało drgnęło w ostatnim konwulsjach i zastygło. Cole szybko ocenił sytuację:

– Status?

Jarek, wycierając zakrwawiony nóż o spodnie:

– Wszystko w porządku, szefie. Tylko sobie przypomniałem młodość – walka wręcz, krew, adrenalina...

Anton siedział oparty o ścianę, ściskając zakrwawiony bandaż na ręce:

– Ręka... drętwieje. Gorączka rośnie. Ale przeżyję.

Cole skinął głową, wydając rozkazy szybko i precyzyjnie:

– Ovitz, Tartakovsky – sektor A. Nowak – sektor B. Trantin – ze mną. Osłaniać doktora. Przebieżkami, odstępy 5 metrów.

– Thiery, z tyłu. Nie odchodź.

Naukowiec skinął, zaciskając dłoń na pistolecie. Wóz z drewnem wyglądał, jakby nie został po prostu porzucony – ale rzucony z potworną siłą. A za nim... Rów. I w nim – ciała.

Cole machnął ręką, wskazując Thiery'emu, by został przy wozie, sam zaś przycupnął, posunął się do przodu, karabin gotowy. Chlupot wody pod butami.

Podszedł bliżej, obejrzał pierwsze zwłoki.

– Hej, chłopcy! Tutaj! – jego głos przebił martwą ciszę. – Wygląda na to, że to "Alfa".

Butem swojego buta przewrócił zwłoki. Twarz. Spuchnięta.
Zielonkawo-szara, z popękanymi naczynkami, zastygła w niemym krzyku.

Cole przyglądał się jej uważnie.

— To... Leif Sorensen.

Był jednym z najlepszych techników. Teraz był martwy, a jego oczy wpatrywały się w nicość.

"Boże... Saro... obyś ty przynajmniej nie skończyła tak."

Gwałtownie potrząsnął głową, odpędzając myśli.

— Co się tu, do cholery, dzieje?

Drugie zwłoki w postrzępionym mundurze ONZ leżały twarzą w ziemi. Thiery, marszcząc brwi, przewrócił je — i zastygł.

Thiery (cicho, jakby do siebie):
— Giancarlo... Cholera.

Giancarlo Trotti, niegdyś twardy, opanowany Włoch, teraz leżał w nienaturalnej pozycji, twarzą w błocie.

— Znałeś go? — spytał Cole, opuszczając broń.

— Tak. Uczyliśmy się razem na uniwersytecie. Był uosobieniem spokoju — Thiery zaciśniętą pięść. — Potrafił grać w szachy pod ostrzałem moździerzy i się śmiać. Nic go nie wyprowadzało z równowagi.

Jarek, stojący nieco dalej, prychnął.

— No cóż, twój kumpel chyba w końcu się uspokoił.

Thiery powoli się odwrócił. Jego twarz była jak maska.

— Powtórz.

Jarek uśmiechnął się szeroko i bezczelnie.

— Co, słuch zawodzi? Mówię, twój koleś w końcu się…

Cios przyszedł niespodziewanie. Thiery wykonał pełny obrót — lewa noga do przodu, bark w ruchu, pięść, wyćwiczona w miejskich bójkach, wbiła się w szczękę Ovitza z mokrym trzaskiem.

Polak odleciał do tyłu, uderzając plecami o zardzewiały samochód. Splunął krwią, powoli podnosząc głowę. W jego oczach nie było złości — tylko szacunek.

— Nieźle walisz, sukinsynu.

— Następny żart, a wyrwę ci język. — warknął przez zęby Francuz.

Thiery już robił krok do przodu, ale między nich gwałtownie wparował Cole. Jego twarz była wykrzywiona wściekłością.

— DOSYĆ! — jego głos rozdarł ciszę jak wystrzał. — Żadnych samosądów w moim oddziale!

Thiery ciężko oddychał, jego pięści wciąż były zaciśnięte.

— Jak on śmie tak mówić o moim martwym towarzyszu…

— Narażasz nas wszystkich, urządzając bijatykę na otwartym terenie! — syknął Cole. — Jeśli chcecie się napierdalać, zróbcie to po misji.

Jarek powoli wstał, otarł krew z ust.

— Dobra, dobra…

Jarek się wycofał, ramiona miał spięte. Thiery zaciął zęby, ale opuścił ręce. Cole gwałtownie odwrócił się do zwłok.

— Przyjrzyjcie się lepiej. Coś tu jest nie tak…

Jarek spojrzał na Francuza, po czym nachylił się, wpatrując się uważnie.

— Skóra… Cała zielona. To nie zwykły rozkład.

Thiery przykucnął, dotknął ciała, odruchowo cofając dłoń.

— Jest… lepka. I zimna.

Seamus zesztywniał.

— Co się, u diabła, z nimi stało?

Wiatr zaszeleścił w trawie, niosąc zapach chemikaliów i gnijącego mięsa. Odpowiedzi nie było. Tylko martwi wpatrywali się w nich pustymi oczami.

Cole powiódł dłonią po twarzy, ścierając krople cudzej krwi. Jego głos brzmiał głucho, jakby wydobywał się z głębi kopalni:

— Dobre pytanie. Jeśli tacy twardzi żołnierze skończyli w ten sposób… kto wie, co czeka nas.

Tartakovsky, przykurczony, szybko przejrzał teren przez celownik swojej karabinu. Jego palce nerwowo stukały w kolbę.

— Grupa „Alfa" — czterech żołnierzy. Brak ciał McFadden i Kristensena. — Jego głos był opanowany, ale oczy biegały od cienia do cienia.

Cole gwałtownie zaciśniętą pięść: — Znaleźć ich. Tylko żywych. To rozkaz.

Jarek, podnosząc się z kolan, jadowicie dodał: — To miasto wyraźnie nie lubi gości. Zwłaszcza żywych.

Zanim Cole zdążył odpowiedzieć, świat eksplodował.

WYSTRZAŁ.

Precyzyjny. Zimny. Profesjonalny.

Głowa Novaka rozpadła się jak przejrzały owoc. Kości czaszki rozleciały się wachlarzem, zamieniając się w deszcz ostrych odłamków. Mózgowa masa z pluskiem opadła na asfalt, a ciepła krew obryzgała Thiery'ego i Tartakovsky'ego.

Francuz zastygł, jego oczy rozszerzyły się w szaleństwie. Twarz, szyja, klatka piersiowa — wszystko było w purpurowych plamach. Nie oddychał, nie mrugał — tylko patrzył na to, co sekundę temu było jego towarzyszem.

WYSTRZAŁ. Potem jeszcze jeden.

Tartakovsky zareagował na granicy odruchu — jego dłoń wpiła się w ramię Thiery'ego, z siłą rzucając naukowca na ziemię. Kula przemknęła tam, gdzie sekundę temu była głowa Francuza, pozostawiając po sobie zapach rozgrzanego metalu.

— SNEJPER! KRYĆ SIĘ! — ryk Cole'a rozdarł ciszę.

Ruchy doprowadzone do automatyzmu:

Cole i Jarek przewrócili się za przewróconego „Trabanta”, metal zadźwięczał od uderzeń. Tartakovsky przygniótł Thiery’ego, wpychając go w błoto. Anton wczołgał się pod ciężarówkę, jego ranna ręka zostawiała krwawy ślad.

Trzeci strzał

Pocisk uderzył w zardzewiałą karoserię, wytryskując snop iskier centymetr od głowy Cole’a. Nie drgnął, tylko przymrużył oczy, analizując:

Dźwięk strzału — stłumiony, czyli tłumik.

Interwały — równe, przeładowanie w 3-4 sekundy.

Trajektoria... Stamtąd. Dwu piętrowiec z wybitymi oknami. Drugie piętro.

Jarek, nie odrywając wzroku od celownika, syknął:
— Co za chuj czeka ze strzałem?
Cole powoli pokręcił głową:
— Nie czeka. On...

Cień w oknie. Błysk soczewki.

— ...przeładowuje.

Huk wystrzałów rozrywał ciszę martwego miasta. Odłamki cegieł i szkła sypały się na asfalt po każdym pocisku rozrywającym.

Jarek Ovitz przywarł do rozbitej płyty betonowej.
— Ten skurwiel na drugim piętrze, piąta klatka — warknął, przeładowując magazynek. — Strzela z AS Val z rozrywającymi. Po dźwięku widać, że lufa ma taki syf, że zaraz się zaciśnie.

Cole skinął głową, oceniając sytuację.
— Magazynek na trzy pociski, przeładowanie 15 sekund. Dajemy mu strzelić — i od razu wchodzimy.

Kolejny strzał. Rozrywający pocisk wbił się w beton pół metra od Jarka, obsypując go odłamkami.
— No dobra, ścierwo, koniec zabawy!

Ovitz wychylił się gwałtownie i posłał serię w okna drugiego piętra. Szkło rozprysło się, gdzieś w środku coś runęło.
— Zaciął się! — Cole ruszył do przodu, przetaczając się w stronę klatki.

Jarek osłaniał go, zalewając okna trzeciego piętra szalonym ogniem.
— Przykryjcie nas! — wrzasnął do pozostających w ukryciu żołnierzy.

Cole rozbił drzwi do klatki ramieniem. Smród uderzył w nozdrza — rozwalona kanalizacja, pleśń, coś słodkawo-zgniłego. Z góry dobiegały strzały — snajper próbował strzelać przez ścianę, rozrywając tynk.

Schody. Ciemność. Trupy.

Na podestu między drugim a trzecim piętrem leżało kilku mutantów.

Sfinks — jego ogon był odstrzelony, głowa rozwalona pociskiem dużego kalibru. Coś w brudno-zielonym kolorze, z czterema odnóżami przypominającymi szczypce modliszki i wygiętym pod nienaturalnym kątem wyrostkiem, podobnym do ogona — twarz z dziwnymi naroślami, zniekształcona dziurą w czaszce. Humanoid w jakichś łachmanach, obok leżała kosa — wnętrzności wylały się na podłogę jak robaki. Stwór podobny do szerszenia z ludzką głową i żądłem — w piersi gapila się ogromna dziura.

Cole ścisnął pistolet, posuwając się dalej.

Mamrotanie. Z mieszkania napród dochodził stłumiony szept, chrapliwe łkanie. Jarek podążał za nim, przestępując przez martwe ciała.

Cole dał znak — Cisza.

Wyciągnął granat gazowy. Wyciągnął zawleczkę.

Rzut. Głuchy bum, biały dym wypełnił pokój.

Spazmatyczny kaszel w środku. Wpadli do mieszkania.

Jarek wkroczył pierwszy, kolbą ogłuszając oszalałego człowieka, który charczał, drapiąc się po gardle. Karabin zadźwięczał o podłogę, złapany w locie.
— Cole, spójrz na to! — Jarek odskoczył, celując.

Człowiek siedział w kącie, drgając. Jego skóra była usiana czarno-żółtymi plamami, jak gnijące mięso. Oczy — mętne, łzawiące, ale palił w nich jakiś przerażający błysk świadomości.

Ściany porysowane — nie nożami, a pazurami. Meble przewrócone, połamane. W powietrzu unosił się smród — odchody, rozkład, coś słodkawego, jak zepsuty miód.

— Osiodłaj węża, osiodłaj węża, ma siedem mil długości... — mamrotał, kołysząc głową, śliniąc usta.

Cole powoli przykucnął, trzymając palec na spuście.
— Kim jesteście? Czemu strzelaliście?

W odpowiedzi — wymioty. Gęste, czarne, z kawałkami czegoś, co się ruszało. Ovitz i Cole odskoczyli.
— Kurwa mać!

Człowiek zakaszlał, zaśmiał się, zaczął mówić — a jego głos brzmiał nienaturalnie.
— Wszystko będzie dobrze... Wszystko w porządku... Ja muszę żyć... a wy umrzecie.

— Co to za pierdole?! — Cole odsunął lufę, próbując zrozumieć, czy to majaczenie, czy groźba.

— Osiodłaj węża... wznijdź do klejnotów... koniec jest blisko...

I wtedy szarpnął zawleczkę.

— GRANAT!

Koł uderzył Jarka w ramię, powalając go na ziemię. Eksplozja. Huk. Ciepła zasłona krwi i kawałków mięsa oblepiła ich obu.

— Ja pierdolę... mać... — Jarek wypluwał resztki śliny, otrzepując się z wnętrzności.

Koł podniósł się, lustrując pomieszczenie. Zwłoki rozerwane na strzępy. Ale coś jednak zostało.

Torba. Brudny mundur. Pudełko amunicji. Koł podniósł kurtkę, przeczytał nazwisko na rękawie:

— Kristensen.

— To ten... trzeci z „Alfy”? — Jarek przetarł twarz, zostawiając krwawe smugi.

— Ten sam. — Koł skinął głową w stronę pustych ampułek i rozsypanych tabletek. — Trzymał się zastrzyków. Aż się nie rozsypał.

Ściany. Zadrapania. Nieludzkie. Podłoga. Krew. Okno. Zbite deskami. Od środka.

— Nie uciekał. Sam się tu zabarykadował.

Koł chwycił karabin, sprawdził magazynek.

— Bierzemy broń i amunicję. Ruszamy.

Koł zastygł przy oknie, jego palce mimowolnie wpiły się w parapet.

— No nie, kurwa, żarty sobie robicie?

Głos suchy, niemal pozbawiony emocji, ale Jarek od razu zrozumiał — coś jest nie tak. Podszedł bliżej.

— Co tam, staruch?

I zamilkł. Radiowa wieża.

Ale nie zwykła wieża.

— No ja pierdolę... — Jarek gwizdnął przez zęby, na sekundę się cofnął, po czym znów wpatrzył się w konstrukcję.

Koł wyszedł pierwszy, przykurczony, z gotowym do strzału automatem. Jego wzrok nie odrywał się od radiostacji sterczącej w oddali.

Gest ręką — „czysto”.

Oddział ruszył, rozproszony — Ovitz i Seamus osłaniali tyły, Anton, blady, ale na nogach, trzymał pistolet w zdrowej dłoni.

— Jak Anton? — Koł nie odwracając się, sprawdzał magazynek.

— Ręka zdrętwiała, ale stabilnie — Anton próbował się uśmiechnąć, ale wyszedł z tego grymas. — Nie tak źle, jak myślałem.

— Cudownie. — Koł przeładował broń. — Sprawdzić ekwipunek. Przeliczyć amunicję.

— Trantigne. — Koł skinął w stronę wieży. — Mówiłeś, że z nią coś nie tak.

— Tak, majorze. I co?

Koł wydechnął, patrząc mu prosto w oczy:

— To nie kawał brezentu… To coś, kurwa, żywego.

Thiery sięgnął po lornetkę, wycelował.

Coś w kształcie płaszczki oblepiało ją całkowicie — masywne, pulsujące, w brudnoniebieskim kolorze, jak rozkładające się mięso rekina. Poruszało się powoli, falisto, jakby oddychało.

Wokół — iskry statyki, migoczące powietrze, jak nad rozgrzanym asfaltem.

— Niesamowite... — Thiery wyszeptał, oczy mu rozszerzyły. — To generuje pole elektromagnetyczne! Dlatego nie działa łączność!

Jarek przeładował swój karabin:
— No to zwalamy tę pierdołę, o czym tu gadać.

Koł odwrócił się do naukowca, oceniając jego reakcję. W oczach Thierrego widać było wyraźny konflikt — naukowa ciekawość walczyła z instynktem samozachowawczym.

— Myślę, że to może zadziałać — w końcu wykrztusił Thiery, nerwowo przecierając zaparowane okulary.
— Ale to taki cenny okaz dla nauki...

Jarek prychnął:
— Ej, profesor, nie jesteśmy na wycieczce w zoo. To gówno przeszkadza w misji. Zwalimy je — jeśli coś zostanie, możesz zabrać na badania.

Koł skinął głową, jego głos brzmiał jak stal:
— Ovitz ma rację. To sprzeczne z celem misji. I nic nie wiemy o tych stworzeniach.

Zrujnowane podwórka witały ich przytłaczającą ciszą. Odbite tynki z bloków, puste oczodoły okien, rozbite „Żigule", zardzewiałe huśtawki — wszystko oddychało zapomnieniem.

Gdy ukazał się budynek radiostacji „Zorza", Koł zatrzymał grupę gestem.

— Plan taki: ja, Thiery i Tartakovsky wchodzimy po drabinie przeciwpożarowej. Ovitz, ty z Vasovskim zostajecie na dole — osłaniasz nas.

Jarek odbezpieczył snajperkę:
— Jasne, szefie. — Podał Thiery'emu automat: „Trzymaj, profesor. Tylko nie odstrzel mi niczego ważnego."

Przed wspinaczką Koł pochylił się do Jarka:
„Bądź czujny. Czuję, że te bestie są gdzieś blisko.”

Zardzewiałe schody skrzypiały pod ich ciężarem. Na drugim piętrze Cole gwałtownie uniósł pięść – sygnał, by się zatrzymać. Zza rogu dobiegło bulgoczące warczenie.

Zanim Cole przywarł do ściany, COŚ z hukiem wyleciało przez okno.

"KONTAKT!"

Potwór był gorszy niż poprzednie. Jego mętnozielona skóra łuszczyła się, odsłaniając sine mięśnie. Głowa nienaturalnie się wydłużyła, dolna szczęka zwisała, odsłaniając rzędy ostrych zębów. Długie ręce o wykręconych stawach czepiały się ścian.

Trzy strzały Cole’a przeszyły klatkę bestii, ale ta tylko zawyła i wbiła zęby w jego ramię. Ostry ból przeszył ciało – jakby wstrzyknięto mu wrzący elektrolit.

Na wąskim podeście nie było miejsca na manewry. Zaciśniętymi zębami Cole wyrwał nóż. Ostrze rozpruło brzuch potwora, uwalniając strumienie czarnego śluzu.

Odrzucona bestia o mało nie spadła z poręczy. Cole nie dał jej szansy – seria z automatu roztrzaskała głowę, posyłając ciało w dół, ku czekającemu Jarkowi.

— Czysto — mruknął Cole, ścierając z twarzy krople krwi. Jego ramię pulsowało bólem, ale misja była ważniejsza.

Thiery przyglądał się miejscu walki z chorobliwą fascynacją naukowca, w którego oczach walczyły przerażenie i ciekawość.

Thiery przycisnął kolbę karabinu do ramienia, czując chłód metalu nawet przez kamizelkę kuloodporną. Jego palce drżały, ale nie ze strachu – z adrenaliny. W krzyżu celownika mignęła wykrzywiona morda goryloida, pokryta guzami i sączącymi się wrzodami.

"Wdech... Wydech..."

Strzał.

Odrzut uderzył w ramię, zmuszając go do zachwiania, ale kula znalazła cel – głowa stworzenia rozleciała się na kawałki jak przejrzały owoc. Ciało runęło obok Jarka, oblewając go lepką czarną mazią.

Thiery natychmiast rzucił się do aparatury, palce zręcznie łącząc kable.

— Seamus, osłoń mnie!

Prąd przepłynął przez antenę, iskry zatańczyły po metalu. Stworzenie przypominające płaszczkę zawrzasło, odrywając się od konstrukcji, ale...

Głowa bestii eksplodowała jak worek z ropą, a piętnastometrowy kadłub zachwiał się i runął w dół – prosto na Jarka, który stał na chwiejnym, niedokończonym moście.

Jarek podniósł głowę i zobaczył nadciągającą masę:

— Wy kurwa sobie żartujecie?!

Rzucił się w bok, ledwie zdążył odskoczyć. Most jęknął, podpory runęły, a Jarek poleciał w dół, w ciemność.

Jarek ocknął się od przeszywającego bólu w nodze.

«Zwichnięcie... Albo gorzej.»

Spróbował wstać, ale ostry przypływ bólu zmusił go do upadku z powrotem, z zaciśniętymi zębami.

Głosy z góry:

— Ovitz! Trzymaj się, już schodzimy! – Seamus, daleki, jakby przez wodę.

— Cholera! Ruszcie te swoje dupy, nie chcę zdechnąć w tej dziurze! – jego własny głos brzmiał przez zęby, mieszając się z echem.

Szmer. Tuż obok. Jarek zastygł, ręka sięgnęła po pistolet. Ze sterty gruzu wypełzło coś. Człowiek? Nie.

Kombinezon ochronny rozdarty, skóra pokryta strupami i wrzodami. Oczy – żółte, płonące jak u głodnego zwierza. Respirator wrósł w szczękę, stając się częścią twarzy.

Plecy wygięte potwornie, na nich – zardzewiały "pancerz", przypominający śmietnikowy kontener. Prawa ręka – hak owinięty krwawymi szmatami. Lewa – zdeformowana kleszcza, pokryta drgającymi naroślami.

Stworzenie odwróciło głowę, wzrok padł na Jarka. Był bez karabinu. Ledwo mógł się ruszać.

Pistolet drżał w jego dłoni. Strzał. Drugi. Kule odbiły się od pancerza, zostawiając tylko zadrapania.

Jarek zgrzytnął zębami:

"Ty skurwysynu... Opancerzony jak czołg..."

Ból w nodze wbił się jak rozżarzony nóż, ale Jarek zacisnął zęby, wstrzyknął sobie morfinę i zmusił ciało, by pełzało naprzód.

Wzrok przemknął po otoczeniu, szukając czegokolwiek przydatnego w tym piekle z metalu i brudu.

I wtedy – trup.

Półrozkładające się zwłoki, zastygłe w przedśmiertnej agonii, martwe palce wczepione w postrzelany KS-23.

Ocalenie.

Pod stertą złomu – koparka, betonowe płyty, zbrojenie. Przez rozjechany traktor – osłona przed bezpośrednim strzałem. Do trupa.

Jarek ruszył gwałtownie, schylając się w tej samej chwili, gdy hak potwora świsnął mu nad głową, wgryzając się w pręty z metalicznym zgrzytem.

Iskry. Upadł, wtoczył się pod rozbity koparkę, słysząc, jak potwór rozrywa metal szczypcami, torując sobie drogę. Twarz mutanta mignęła w szczelinie między płytami – wykrzywiona, obłąkana.

Nienawiść przez odrazę. Czysta, zwierzęca. Jarek splunął w jego stronę, zaczął czołgać się dalej. Dopadł do trupa, wyrwał mu z rąk strzelbę.
Błoto, wnętrzności, rdza – ale zamek działał, naboje na miejscu.

— Tą malutką lufą waliliśmy i większych.

HUK.

Koparka eksplodowała, rozlatując się na kawałki od uderzenia organicznego napalmu. Płonące odłamki spadły obok, obsypując Jarka iskrami. „Strzela zapalającą się szmatą… Więc potrzebuje przeładowania. Nie zdąży drugi raz."

Bestia go zobaczyła. Ruszyła. Powoli. Bez pośpiechu. Pewnie. Jarek nie strzelał. Czekał. „Bliżej… Jeszcze bliżej…"

5 metrów. Hak uniósł się do ciosu. 4 metry. 3 metry. Strzał.

Pierwszy. Śrut wbił się w pierś kreatury, odrzucając ją o krok, ale nie zabił. Drugi strzał.

Pudło. Część śrutu odbiła się od pancerza.

— Kurwa!

Trzeci.

Mutant podniósł szczypce – pancerz osłonił głowę, śrut odskoczył głucho, jak od czołgu. Jarek odtoczył się, czując, jak morfina w końcu rozlewa się po ciele, tłumiąc ból.

„Teraz moja kolej."

Bestia warknęła, szykując się do ataku. Ale teraz Jarek miał plan. Nie zdążył wystrzelić czwarty raz.

Zardzewiały hak przeleciał centymetry od jego skroni, wbijając się w betonową płytę za nim. Odłamki posypały się na twarz, zostawiając krwawe zadrapania.
Przekoziołkował, próbując poderwać się na nogi, ale potwór był szybszy. Szczypce uderzyły go w twarz z dźwiękiem rozdzieranego mięsa. Krew zalała prawe oko.

Świat na sekundę rozmył się, ale instynkty zadziałały wcześniej niż świadomość. Hak świsnął ponownie – Jarek gwałtownie odchylił głowę, ale za mało. Ostrze wbiło się w ramię, przebijając mięśnie na wylot.

Ból przeszył ciało jak rozżarzony gwóźdź.

— A-arrgh!

Nie wypuścił strzelby. Zaciął zęby. Wyklnął.

Stwór zasyczał, uniósł drugą szczypcę – tam, w rozdętym worku skóry, zakipiała pomarańczowa maź. Ładowanie napalmu.

— Uwielbiam zapach napalmu o poranku…

Strzał w punkt. Pierś potwora rozdarła się, odsłaniająj pulsujące wnętrzności. Bestia zawyła, zatoczyła się – prosto w beczki z paliwem.

Jarek nie strzelał. „Czekaj… Czekaj…"

Potwór otrząsnął się, warcząc, znów podniósł szczypce, gotów spalić Jarka. Tym razem – prosto w głowę.

— No dalej, skurwysynu… Moja kolej!

Strzał. Płonąca pułapka. Beczki eksplodowały w tej samej chwili, gdy napalm w szczypcach zaczął się zapalać. Huk.
Płomienie pochłonęły mutanta, rozrywając go od środka. Krzyk – nie zwierzęcy, nie ludzki – coś zupełnie innego. Płonąca masa rzucała się w agonii, padając na ziemię.
Jarek dowlókł się do niej, przezwyciężając ból. Morfina nie dawała rady.

Przeładowanie. Uniesienie lufy. Strzał w głowę.

Zwycięstwo.

— Zero dla opancerzonego gnida, jeden dla Jarka.

Warknięcie z tyłu. Sfinks. Szykuje się do skoku. Strzelba wypadła z rąk. Nóż w dłoni.

— Też masz ochotę, kurwo?

Skok. Strzał. Czaszka Sfinksa rozpryskuje się.

Tartakovsky stał z dymiącą lufą, szczerząc się. Zszedł po stosie gruzu, ledwie utrzymując równowagę. Jego twarz była umazana sadzą, a na czole widniała świeża rana.

— Pierdolone ścierwa… – otarł czoło rękawem, – Nieźle się namęczyłem, żeby do ciebie dotrzeć.

Jarek, oparty o rozbitą płytę, uniósł brew:

— Namęczyłeś? – jego głos brzmiał celowo powoli, – Jakoś nie widzę potu.

Tymczasem Cole lustrował pobojowisko – zwęglone szczątki mutanta, rozjebaną koparkę, ślady krwi Jarka.

— A ty, widzę, nie próżnowałeś – rzucił sucho.

Jarek uśmiechnął się, ściskając rozdarte ramię:

— No… właśnie załatwiłem takiego samego grubego skurwiela jak ty. Ból skrzywił jego twarz, ale szybko zamaskował go grymasem. Cole klepnął go w zdrowe ramię, skinął na Antona:

— Medyk, załatw coś z naszym bohaterem.

Thiery przykucnął przy zwęglonych szczątkach, wpatrując się w dziwne narośle na szczypcach. Tartakovsky zapalił obok, puszczając dym w stronę martwego potwora.

— Ovitz mówi, że to gówno strzelało w niego jakąś łatwopalną mazią, coś w stylu napalmu, prosto ze szczypiec.

Seamus, skrzyżowawszy ręce, zaśmiał się:

— Majaczy?

Thiery nie odrywał wzroku od trupa, przeciągając dłonią po zwęglonej płycie pancerza.

— Nie, nie majaczy. – westchnął, – I, obawiam się, to dopiero początek.

Anton skończył opatrunek, mocno zaciskając opaskę na ramieniu Jarka.

— Gotowe. Wytrzymaj, aż dotrzemy do bazy.

Jarek zapalił, marszcząc się od piekącego jodyny, spojrzał na Cole'a:

— Tutaj chociaż ciekawiej niż w tej afrykańskiej dziurze, co, Cole?

Cole prychnął, poprawiając pas od karabinu:

— To mało powiedziane, stary.

Thiery znów próbował nawiązać łączność, kręcąc pokrętłem radia. Szum. Zgrzyt. Syk.

Ledwo słyszalny głos przedzierał się przez zakłócenia:

— „Puzon… tu… Flet… odbiór… odbiór…"

Thiery ścisnął radiostację, powtarzając kody, ale odpowiedzi nie było.

— Cholera! – przetarł oczy, czując, jak zmęczenie ciąży na powiekach.

Seamus warknął:

— Wygląda na to, że ta latająca pizda uszkodziła antenę. I wszystko na nic, ja pierdolę.

Thiery pokręcił głową:

— Nie. Próbowałem na różnych częstotliwościach. To nie przez Stingraya. Coś innego zagłusza sygnał.

Cole spojrzał na niego uważnie:

— Thiery, dasz radę wysłać sygnał kodowany?

Trantigne wykręcił zaszyfrowaną kombinację, ale nawet nie miał nadziei, że to zadziała. Bez sensu.

Cole westchnął, podniósł się:
— No dobra, chłopaki, nie rozklejajmy się. Musimy znaleźć ocalałych z "Alfy". Z bazą rozprawimy się później.

Jarek wstał, przeładowując strzelbę:
— Dobra.

Oddział ruszył w stronę wyjścia z mostu, gdy nagle Anton zastygł, wpatrując się w dal.
— Majorze! Patrzcie!

Wskazał palcem na jeden z pięciopiętrowców. W oknach piątego piętra migało światło — trzy krótkie, trzy długie, trzy krótkie. SOS.

Cole zmrużył oczy, po czym gwałtownie skinął głową:
— Chodźmy.
— Chyba znaleźliśmy "Alfę" — cicho powiedział Cole. — Sprawdźcie amunicję.

Jarek zaśmiał się:
— Cole, a co jeśli to pułapka?

Cole nawet się nie odwrócił:
— Dzisiaj widziałem już tyle dziwnego gówna, że wątpię, żeby te bestie były na tyle mądre, żeby nadawać nam sygnały latarką.

Oddział posuwał się powoli, zabezpieczając sektory, lufy gotowe do strzału.
Cole szedł pierwszy, osłaniając grupę. Jego palce spoczywały na spuście, a oczy skanowały okna, klatki schodowe, zaułki.
Thiery maszerował w środku, trzymając w rękach przenośny detektor promieniowania — igła drgała, ale nic nie wskazywała.
Jarek osłaniał tyły, strzelba na ramieniu, wzrok zimny jak brzytwa. Seamus poruszał się na skrzydle, sprawdzając każdy kąt, każdy cień.
Anton kuleł, ale trzymał się — rana na ręce już zczerniała, lecz milczał.

Nic. Żadnego dźwięku. Żadnego ruchu.
Tylko wiatr, szeptający między rozbitymi szybami, i skrzypienie zardzewiałych szyldów. Ale napięcie było tak gęste, że powietrze zdawało się zaraz eksplodować.

Drzwi niezamknięte. Skrzypienie zawiasów zabrzmiało jak strzał. Schody. Ciemność. Zapach pleśni.
Krok. Jeszcze krok. Piąte piętro. Drzwi do mieszkania uchylone. Cole i Seamus wpadli do środka, automaty gotowe.

Ciemność. Kurz. Rumowisko. A w kącie — postać. Starzec. Siedzi przyciśnięty do ściany. Brudny szary sweter. Czarne spodnie. Twarz — w siniakach, w pyle, w strachu. W jednej ręce nóż. W drugiej — latarka.

— Nie strzelajcie! Jestem człowiekiem! — głos ochrypły, drżący.

Oddział się tego nie spodziewał. Lufy wciąż wycelowane w niego.
A jeśli to nie człowiek? Jeśli to... ono?

— Ręce za głowę! — Cole nie opuszczał automatu. — Kto pan jest? Co pan tu robi?

Starzec łapał powietrze, słowa plątały się:
— Nazywam się... W-Wasilij... Wy... kim wy jesteście? Amerykanie?

Jarek opuścił strzelbę o cal:
— Nie wszyscy. Ja jestem Polakiem...

Cole ostro przerwał:
— Jesteśmy zespołem ratunkowym. Więcej panu nie musimy mówić. Jak pan przeżył?

Wasilij przełknął ślinę, oczy biegały od jednego do drugiego:
— Szczerze... sam nie wiem. Wszystko stało się tak szybko...

Zamilkł, po czym mówił dalej, jakby przedzierał się przez koszmar:
— Widziałem, jak moi przyjaciele, sąsiedzi... na moich oczach zamieniali się w te... potwory. Z najgorszych snów...

Oddział wymienił spojrzenia.
Bestie... to byli ludzie. Mieszkańcy miasta.

Thiery przysiadł obok, głos cichy, spokojny:
— W porządku. Mów pan dalej.

Wasilij przełknął, otarł twarz brudnym rękawem:
— Te... kreatury... Zabarikadowałem się w mieszkaniu, ale... pomyliłem się. Musiałem uciekać tutaj.

Znów zamilkł, wzrok utkwił w pustce.
— Widziałem... dwóch mężczyzn. Walczyli z... czymś. Albo ze sobą. Albo... z niewidzialnym wrogiem. Potem... ich skóra zzieleniała. Łapali powietrze... i umarli. Od razu.

— Mieli mundury? Takie jak nasze?

Cole nie opuszczał lufy, oczy zmrużone, palce na spuście. Wasilij drżącymi rękami chwycił za kamuflaż majora, porównując kolory.
— Tak... tak, taki sam. — Starzec zakaszlał. — Było ich tylko dwóch...

Thiery wymienił z Cole’m spojrzenie — nie wierzy.

— Jeśli tu zostanę, te bestie w końcu mnie znajdą. — Wasilij otarł pot z czoła. — Pomogę wam. Znam tu każdy zaułek.

Cole skinął głową, chwytając starca za przedramię i podnosząc go.
— Trzymaj się z tyłu. Jeden fałszywy ruch — i będziesz na linii ognia. — Chwila ciszy. — Jest pan pewien, że tych dwóch było samych? Żadnej kobiety?

— Absolutnie pewien. — Starzec potrząsnął głową. — Wy... jesteście pierwszymi żywymi ludźmi od...

Ryk. Nieludzki. Gdzieś za oknem.

— O Boże! Idą! — Starzec przywarł do ściany, oczy wyszły z orbit.

— Spokój, dziadu.

Jarek już podniósł strzelbę, przeładowując z charakterystycznym klik-klak. — Teraz Ovitz rozniesie tych Freddy'ch Kruegerów, mać ich.

— Są na ścianach! — krzyknął Seamus, odskakując od okna.

Szyby rozleciały się w drobny mak. Wpada ono.

Pomarańczowe. Krępe. Pysk — zespawane w grymasie blachy, oczy — dwie czerwone szparki.

Szpony. Długie jak maczety, sterczą z nadgarstków. Wasilij wrzeszczy, pada na plecy, szpony wbijają się w podłogę centymetr od jego gardła.

Strzał. Głowa mutanta rozpryskuje się w krwawą miazgę, kawałki mózgu oblepiają ścianę. Truchło spada w dół, roztrzaskując dach zardzewiałego Trabanta.

— Jest ich więcej — Jarek przywarł do framugi, strzelba oparta na ramieniu. Ściany domu ruszają się. Cienie. Pełzają. Czepiają się pazuremi cegieł.

— Ja pierdolę...

Strzał. Śrut zdziera kawałek barku jednego z nich, ale bestia nie ustaje. Nie czuje.

— W głowy! Celujcie w głowy! — ryczał Cole, obracając się ku drzwiom. Mutanty wdzierają się przez okna.

— Do korytarza! Przegrupowanie! — Cole ciągnie Wasilija, Thiery rzuca granat dymny.

Jarek przeładowuje broń, palce mu drżą. Nie ze strachu. Z wściekłości.

— No dalej, ścierwa...

Czeka, aż pierwsza głowa pojawi się w celowniku. Sypialnia. Okna wybite. Ciemność na zewnątrz oddycha.

Jarek przeładowuje strzelbę, dosyłając nabój do komory.

— Dobra, chłopaki, tam jest jeszcze masa tych kreatur. Spadamy, póki nie jest za późno.

Głos ochrypły, ale twardy. Anton przyciska zranioną rękę do piersi, wciąga powietrze przez zęby:

— Ile ich?

— Naliczyłem pięciu.

TRZASK!
Szyba w sąsiednim pokoju rozpryskuje się w drobny mak. Vasilij przyciska się do ściany, drżące palce ściskają nóż.

— Są w środku. — Szept prawie bezdźwięczny. — Widzieli mój sygnał... Idą po was.

Zgrzyt! Pazury rysują drewno. Drzwi drgają — ostre, zakrzywione szpony przebijają je na wylot, jak gorący nóż masło. Seamus nie czeka.

Pistolet uniesiony — trzy ślepe strzały przez drzwi. Piski. Wściekłe, nieludzkie.

Drzwi wylatują do środka, rozpadając się w drzazgi.

Kolejny hybryd wpada do pokoju — krępy, z krzywymi zębami, ze skórą jak mokra guma.

— Cholera! — Seamus odskakuje, przeładowując. — Dzisiaj to zdecydowanie nie mój dzień.

Jarek się śmieje:

— Przypomina zasadzkę w Kaszmirze...

Cole strzela, nie odwracając się:

— Hindusi byli milsi. I lepiej pachnieli.

Vasilij rzuca się w stronę szafy, wyciąga "koktajl Mołotowa", krzesze zapalniczką. Butelka leci, rozbija się prosto w mordę potwora. Wrzask. Płomienie ogarniają ohydną skórę.

"Kruger" miota się, uderza o ściany, ale po chwili — atak Seamusa.

Sześć strzałów w plecy. Kule rozrywają kręgosłup. Stwór warczy, pada i rozwalają stół przy oknie. Ogień pełznie po zasłonach. Dym. Żar.

Cole krzyczy:

— Oddział, wycofać się!

Zanim zdążyli wybiec na klatkę schodową, przez okna do mieszkania wdzierają się potwory. Dwóch "krugerów" — i coś nowego. Stwór z brudno-żółtą skórą, pokrytą czarnymi żyłami. Cztery wężowate wyrostki wiją się na jego głowie, a tam, gdzie powinna być dolna szczęka, ziała linia ostrych jak u piranii zębów. Przypominał szalonego arlekina z koszmarów.

Thiery rzucił się do drzwi, zatrzaskując je w chwili, gdy kostne ostrza, wysuwające się z nadgarstków potwora, wbiły się w drewno centymetr od jego twarzy. — Łom! Dajcie łom! — wrzasnął. Seamus podsunął metalowy pręt, a Thiery zaryglował drzwi.

Za drzwiami rozległ się wściekły ryk. Pazury znów przebiły drewno, ale drzwi wytrzymały. — To nas zatrzyma tylko na chwilę — szepnął Thiery. — Ale mamy jakieś dziesięć minut.

Trzecie piętro. Zniszczone mieszkanie. Drzwi wybuchają do środka, rozpryskując się w drzazgi.

Sfinks — ze skórą pokrytą bliznami — wdziera się na klatkę schodową, odsłaniając rzędy krzywych zębów.

Vasilij nie drgnął. Nóż błysnął — raz, dwa, trzy ciosy w szyję. Czarna krew trysnęła na ściany, ale bestia nie ustąpiła. Łapa z pazurami zamachnęła się — starzec krzyknął, odlatując w stronę ściany, ale zdążył jeszcze wbić nóż.

W tej samej chwili Jarek, zamachnąwszy się, uderzył kolbą w głowę potwora, tak by nie trafić Vasilija. Czaszka chrupnęła, ale stwór wciąż się szamotał. Dwa celne strzały w punkt — i wreszcie Sfinks runął, konwulsyjnie szarpiąc pazurami.

— Żyjesz? — Jarek chrypi, podciągając Vasilija.

Starzec ściska bok, krew sączy się spomiędzy palców, zalewając kamuflaż.

— On... mnie... dorwał...

— Do emerytury się zagoi — Jarek ciągnie go do wyjścia, ale jego oczy już szukają kolejnego zagrożenia.

Podwórze. Piekło na ziemi.
"Kruger" i "Arlekin" wyskakują zza rogu, poruszając się szarpnięciami jak pająki. Pierwszy rzuca się na Thierrego — pazury świszczą centymetr od jego twarzy. Francuz instynktownie skoczył do przodu, wbijając nóż w plecy potwora. Ostrze weszło po rękojeść, ale mutant szarpnął się z taką siłą, że ostrze pękło, zostawiając naukowca z kikutem w dłoni.

Cofając się, Thiery wyrwał karabin. Trzy strzały — pierwszy rozszarpał szczękę, drugi wszedł w oczodół, trzeci w końcu powalił bestię. Pusty zamek klikał bezwładnie, gdy potwór runął u jego stóp. Te trzy naboje uratowały mu życie — Thiery wiedział to z całą pewnością, czując, jak drżenie ogarnia jego dłonie.

Cole i Seamus już podzielili drugiego pazuratego między strefy ostrzału. Krzyżowy ogień — kule rozrywają mutanta na strzępy, ale wciąż próbuje się czołgać, nawet bez nóg. Seamus dobija go strzałem w głowę, rozrywając jeden z wyrostków na strzępy.

— Trzeba odwrócić ich uwagę! — krzyknął Anton, strzelając krótkimi seriami, trzymając potwory na dystans. Rana pulsowała bólem, ale trzymał się w szeregu.

Cole rozgląda się:

— Pomysły?

Seamus już grzebał w plecaku, wyciągnął plastyd, przykleił do zardzewiałej "Wołgi".

— Trzydzieści sekund!

Podwórza. Ciemne. Wąskie. Za plecami — ryk, tupot, szczęk pazurów. Kulisty płomień strzela w niebo, rozrywając dwóch "Arlekinów" na strzępy.

Reszta cofa się, sycząc, ale nie na długo. Starzec krzyczy:

— Na portowy targ! Tam jest magazyn!

Oddział rzuca się do przodu, zostawiając za sobą tylko krew i trupy. Ostatni zakręt — i wpadają na opustoszały plac dawnego targu portowego. Łamiący się oddech i dźwięk opróżnionych magazynków w uszach.

Vasilij osuwa się na rozbity stragan, zaciśnięte zęby zdradzają ból. Jego twarz — popielata jak sweter, dłonie drżą jak w febrze.

— My… prawie dotarliśmy... ech… — jęk wydziera się przez skurcz.

Cole skinął na Antona:

— Zajmij się nim.

Strzykawka z morfiną wbija się w żyłę. Bandaże nasiąkają krwią, ale rana w końcu jest opatrzona.

— Jak się czujesz? — Anton klepnął starca po ramieniu.

Tamten przewrócił oczami, mamrocząc:

— Okropnie… trzęsę się… byliśmy o włos…

Cole przysiadł obok, położył dłoń na jego ramieniu:

— Ale wciąż żyjemy.

Vasilij nagle drgnął, sięgnął do kieszeni.

— Majorze… macie… coś…

Z zabłoconych spodni wyciągnął dyktafon — stary, porysowany, i notatkę, poplamioną czymś ciemnym. Cole wziął, obrócił w dłoniach, spojrzał pytająco na starca:

— Przeszukaliście zwłoki?

Starzec wykrzywił się w krzywym uśmiechu:
— Bez jedzenia… nie przeżyjesz… myślałem, że znajdę chociaż naboje…

— Dzięki, Wasilij. — Cole schował znalezisko do plecaka. — Sprawdzę to później.

Starzec podniósł się, opierając się na ramieniu Cole'a:
— Już prawie jesteśmy.

RYNEK.
Kiedyś tętnił życiem — krzyki handlarzy, zapachy przypraw, przemyt. Teraz — martwa strefa. Rozbite witryny, przewrócone stragany. Wasilij poprowadził ich między ruinami, mamrocząc:
— Znałem jednego… nazywali go „Sędzią"… miał tu swoją budę…

Zatrzymał się przed zardzewiałymi drzwiami z zamkiem szyfrowym.
— Miał pokój… na czarną godzinę…
W jego oczach błysnęła przebiegłość.
— Myślę… że się przyda…

Sklep z artykułami gospodarstwa domowego i radiotechniką „Fala Radiowa" przedstawiał przerażający obraz zniszczenia. Półki przewrócone, szklane gabloty roztrzaskane w drobny mak, a pod nogami chrzęściły odłamki i poszarpane układy scalone — jak wnętrzności mechanicznego zwierzęcia.

Wzrok przykuły masywne, metalowe drzwi w głębi sali, zasypane gruzem i pudłami.

— Oto one.

Nad drzwiami kołysał się wyblakły plakat — wyrwana z „Playboya" strona z półnagą dziewczyną, jej uśmiech już wyblakł, a oczy były przepalone papierosem.

— Ale z ciebie naiwniak, dziadu — Jarek prychnął, plując pod nogi. — Myślisz, że te drzwi jeszcze ktoś nie otworzył?

Wasilij, ignorując drwiny, powoli ruszył naprzód, rozgarniając butami śmieci.
— Wątpię, żeby zdążył skorzystać ze swoich zapasów. — Otrzepał kurz z panelu szyfrowego.

— Owicz, odwal się — Cole rzucił Polakowi ostrzegawcze spojrzenie, ale ten tylko wzruszył ramionami, odchodząc do rozbitej lady.

Starzec zastygł, wpatrując się w cyfry.
— Mam nadzieję, że znacie kod — Thiery poprawił okulary, wzdrygając się, gdy gdzieś w oddali zaskrzypiał metal.

— Tak, oczywiście… — Wasilij zamknął oczy, przypominając sobie.

Ciszę przerwało ciche nucone:
— „Pleasure, little treasure…"

Nagle jego palce ożyły, przebiegając po klawiaturze.
7-5-3-2-7-8-7-3.

Zamek zaskoczył. Drzwi otworzyły się z ciężkim skrzypieniem.

Anton, zaglądając do środka, ledwo nie gwizdnął:
— A „Sędzia" nieźle się zaopatrzył…

Pokój był zapchany po sufit. Broń. Amunicja. Apteczki. Konserwy. Prawdziwy arsenał ostatniej nadziei.

Wasilij westchnął:
— Kiedy w mieście zaczęły się dziwne rzeczy, wielu robiło takie zapasy. Ale nie wszyscy zdążyli z nich skorzystać…

Cole przeładował pistolet, oceniającym wzrokiem ogarniając łup.
— Świetnie. To się przyda.

Rozległ się metaliczny zgrzyt — Wasilij przeładowywał Magnuma, jego palce drżały, ale ruchy były precyzyjne, wyćwiczone.
— Mam nadzieję, że wiesz, jak tego używać — Cole obserwował go, nie mrugając.

Klik obrotu bębna.
— Bądź spokojny. — Głos starca był suchy jak proch. — Wiem.

I nagle — kaszel. Głęboki, mokry, jakby wydzierający się z rozerwanych płuc. Potem mamrotanie, niewyraźne, jak u pijanego lub umierającego. Oddział zastygł.

— Nie jesteśmy tu sami. — Cole podniósł dłoń, gest: „sprawdzić".

Jarek i Seamus przełączyli bezpieczniki, ruszyli w stronę barykady z gruzu i cegieł.

Krok. Drugi. WYCIE.
Wściekłe, zwierzęce, rozdzierające ciszę jak szpony — mięso. Ściana eksploduje do środka, cegły lecą, pył wzbija się pod sufit.

— ODDZIAŁ, COFAĆ SIĘ! NA ZEWNĄTRZ! — Cole krzyczy, ale głos ginie w huku.

Wyrzuceni ze sklepu, potykają się, padają, podnoszą. Pył opada.

I ono wychodzi. Ciało — pokręcone, wykrzywione, ze zwichniętymi stawami. Szyja — zniekształcona, nabrzmiała ropniami, z których sączy się gęsty śluz. Twarz — spalona, skóra zwisła, odsłaniając żółte zęby i oczy jak u gnijącej ryby.

Brak lewej ręki. Prawa — spuchnięta, dwukrotnie większa od reszty ciała, skóra pękła, odsłaniając gwoździe, wkręty, odłamki szkła wrośnięte w mięso.

Żywa maczuga. Broń mutacji.

— Boże… — Wasilij cofnął się.

— ODDZIAŁ, OGNIA!

Automaty zaryczały serią. Pociski wbijają się w skórę, ale nie przebijają — zbyt gęsta, zbyt zwarta.

„Sędzia" ryczy, rzuca się do przodu, maczuga wznosi się do ciosu.

Anton i Seamus odskakują — śmiertelna masa rozłupuje ladę, rozrzucając odłamki.
Drewno pęka, metal się zgina. Ledwo uszli. „Sędzia" odwraca się, oczy płoną nienawiścią.

Nie zatrzyma się. Nigdy się nie zatrzymuje.

Jarek pierwszy ruszył do przodu, KS-23 huknął, plując śrutem w plecy Sędziego.
— My was kryjemy, chłopcy!

Ale Sędzia się odwrócił. Jego szyja nabrzmiała, ropnie pękły, a z nich wystrzeliło sześć potwornych owadów — bezskrzydłych, z pyskami pirani, zębami jak brzytwy.

Skoczyły.
Pierwszy wpił się w Jarka, ale ten kolbą wybił mu zęby, nożem rozpruł brzuch.
— Aha, a oto i ławnicy!

Drugi wgryzł się w Wasilija. Starzec zawył, zdarł bestię z ręki, zostawiając krwawą ranę. Owad upadł na grzbiet, łopocząc odnóżami, a Wasilij wpakował mu kulę w głowę z rewolweru.

Trzeci i czwarty zaatakowali Cole'a i Thiery'ego.
— Nie spuszczajcie ich z oka! — Thiery odskoczył, strzelając na oślep.
— Rozwalmy te ścierwa i pomóżmy reszcie! — Cole warczał, strzelając do jednego z owadów z bliska.
— To ścierwo nas ściga! — Anton toczył się, strzelając Sędziemu w głowę.
— Dawaj, skończmy go! — Seamus prażył seriami w plecy.

Pociski wbijały się w gnijące mięso. Sędzia jęknął, runął na kolana.
— Masz, ścierwo!

Klik. Pusty magazynek.
— Kurwa!

Seamus sięgnął po nowy, upuścił go. Tej sekundy wystarczyło. Sędzia poderwał się, maczuga świsnęła w powietrzu, waląc Tartakowskiego w klatkę piersiową. Chrzest łamanych żeber. Seamus zwalił się na ziemię, wypuszczając karabin z dłoni.

Sędzia przydeptał go butem i zwalił na niego maczugą. Raz. Drugi. Trzeci. Krew trysnęła na kamienie.

— SEAMUS!
— ODDZIAŁ, OGNIA!

Lawina ołowiu spadła na Sędziego. Pociski wbijały się w jego masywne ciało, rozrywały mięśnie, wybijały kawały chitynowego pancerza. Chwiał się jak pijany olbrzym, z paszczy ciekła mu czarna maź zmieszana z czymś na kształt krwi.

Ostatnia seria — i potwór runął, zwalając się obok ciała Seamusa, jakby sama śmierć postanowiła położyć się obok swojej zdobyczy.

Wasilij podszedł bliżej. Jego twarz była jak maska.
— Żegnaj, gnido.

Huk wielkokalibrowego pistoletu na moment ogłuszył wszystkich. Pocisk wszedł w oko Sędziego, przebił czaszkę, wyrzucając kawał potylicy wraz z odłamkami kości.

Stwór drgnął po raz ostatni — i zastygł.

— Anton, do Seamusa! Szybko!

Medyk rzucił się ku towarzyszowi, ale po chwili jego ramiona opadły.
— Majorze… Seamus nie żyje.

Tartakowski leżał w nienaturalnej pozie. Jego ciało wyglądało jak lalka rzucona przez rozszalałe dziecko. Żebra sterczały z rozprutego munduru, twarz zamieniła się w krwawą miazgę. Jedno oko, ocalałe, wpatrywało się w pustkę, zastygłe w ostatnim zdumieniu.

Cisza zawisła jak ciężki całun.

Cole stał nad ciałem, jego twarz była kamienna. Tylko lekki grymas szczęki zdradzał, co działo się w środku. Sięgnął po dziennik polowy, odnotował datę i godzinę śmierci.
— Siódma trzydzieści.

Odwrócił się gwałtownie, jakby bał się, że jeszcze chwila — a nie powstrzyma wściekłości.
— Pomysły, gdzie szukać reszty z "Alfy"?

Wasilij otarł zakrwawione dłonie o spodnie.
— W mieście jest bunkier. Na wypadek nalotów. Jeśli ktoś przeżył — są tam.
— Jak daleko?
— Przez linię metra. Ale…

Zawahał się, spoglądając na resztę.
— Dzielnice dookoła są zrujnowane. Albo roją się od tych potworów. Najkrótsza droga — przez las przy cmentarzu.

Anton mruknął, nie odrywając oczu od celownika:
— Wyboru nie mamy. Zgubić się w lesie albo dać pożreć.
— Znam te tereny — warknął stary. — Wyprowadzę.

Cole westchnął.
— Pięć minut na sprawdzenie ekwipunku. Potem — ruszamy.

Jego wzrok znów wrócił do zmasakrowanego ciała Seamusa. Tym razem nie odwrócił się od razu.

Ciemna komórka z zapasami śmierdziała kurzem, smarem i śmiercią. W ciężkim milczeniu Cole podniósł znaleziony miotacz ognia — zimny, ciężki, śmiertelny. Jego palce prześlizgnęły się po chropowatym metalu, sprawdzając połączenia węży.

— Weź — głos Cole’a był głuchy, jakby dochodził spod ziemi. Podał broń Thiery’emu, nie patrząc mu w oczy. — Spal ciało Seamusa.

Thiery zastygł na moment, jego naukowy umysł natychmiast zaczął szukać alternatyw:
— Ale majorze, może powinniśmy… moglibyśmy…
— Rozkaz! — Cole przerwał ostro, w końcu podnosząc wzrok. W jego oczach nie było ani gniewu, ani żalu — tylko stalowa determinacja. — Nie mamy czasu na ceremonie. Tym bardziej — na groby.

Thiery skinął głową w milczeniu. Jego dłonie drżały, gdy podłączał węże do zbiornika. Cofnął się na bezpieczną odległość, przeżegnał i szepnął:
— Au revoir, mon ami.

Ognista trąba wyrwała się z dyszy z syczącym rykiem, pochłaniając ciało towarzysza. Płomienie lizały czerniejące mięso, skręcające się w żarze. Smak spalonego ciała mieszał się z gryzącym dymem. Thiery stał nieruchomo, jego twarz wykrzywiał grymas — nie od gorąca, lecz od świadomości tego, co robi.

Październikowy las przywitał ich grobowym chłodem. Nagie gałęzie splatały się nad głowami jak kości gigantycznego szkieletu. Każdy krok po chrzęszczących liściach brzmiał zbyt głośno w tej przytłaczającej ciszy. Cole i Anton szli przodem, z karabinami gotowymi do strzału. Wasilij wlókł plecak Seamusa — dodatkowy ciężar, ale wyrzucić go znaczyłoby zdradzić. Jarek i Thiery zamykali kolumnę, nasłuchując każdego szelestu.

— Umieram, a tak mi się kawy zachciewa... — Anton próbował żartować, ale głos mu drżał.

— Nie zapeszaj. — Cole rzucił przez ramię, nawet się nie odwracając.

— Hej, Susanin, długo jeszcze będziemy się tu błąkać? — Jarek wykrzywił się w krzywym uśmiechu, patrząc na Vasilija.

— Nie, nie, już prawie... — Vasilij urwał, nasłuchując ciszy. — Dziwne. Byłem pewien, że w tym lesie na pewno czają się kłopoty.

— Ty też nie zapeszaj. — Cole odparł sucho, ale w głosie słychać było zmęczenie, nie złość.

Las nagle się przerzedził, odsłaniając polanę zawaloną wrakami maszyn. Zardzewiałe kadłuby, poskręcane metalowe szkielety, roztrzaskane skrzynie — cmentarzysko cywilizacji.

A pośrodku, niczym ostrzeżenie, leżał strącony Mi-24. Jego kadłub był rozerwany, śmigła połamane, a kabina — ciemna jak oczodół czaszki. Runął z taką siłą, że przeorał ziemię, zostawiając za sobą bruzdę z błota i gruzu.
— Ja pierdolę... — Anton zastygł, wpatrując się w śmigłowiec.

Thiery podszedł bliżej, jego okulary odbijały martwy metal.
— Ani ciał, ani śladów walki — szepnął.

Las wokół nagle zamilkł. Nawet wiatr przestał poruszać gałęziami. Cole powoli uniósł dłoń — sygnał do absolutnej ciszy. Śmigłowiec leżał przed oddziałem, jego poszarpany kadłub nienaturalnie wygięty, jakby coś próbowało się z niego wydostać.

Cole nie spuszczał wzroku z wraku. Coś było nie tak.

— Ovitz, sprawdź.

Polak niechętnie postąpił krok do przodu, z gotowym strzelbą.

— A może Profesor to sprawdzi? To miły gość, i...

— To nie była prośba, żołnierzu! — Cole odwrócił się gwałtownie, jego głos ciął jak brzytwa.

Tymczasem Thiery był już bliżej, jego naukowa ciekawość wzięła górę nad ostrożnością.

— Ślady korozji... — przejechał palcem po poszyciu. — Ale nie zwykłej. To wygląda jak... biologiczny rozkład.

Ovitz podszedł do kabiny, przywarł do mętnej szyby. Zwłoki pilota.

Wysuszone, pokryte dziwnym nalotem — nie pleśnią, nie mchem, tylko czymś żywym, pulsującym.

I nagle... Zwłoki drgnęły.

— Co za kurwa?! — Ovitz odskoczył, podnosząc lufę.

Kabina śmigłowca zatrzęsła się. Metal zaskrzypiał, zajęczał, jakby coś łamało go od środka.

Kabina zaczęła oddzielać się od kadłuba. Nie tak, jak powinna. Nie tak, jak to bywa przy katastrofie. Powoli. Celowo. Jakby... odrywała się kończyna.

— Pierwszy raz widzę, żeby kabina rozbitego śmigłowca odpadła sama — Cole nie odrywał wzroku, jego palce już zaciskały się na automacie.

— Niech to szlag... — Ovitz cofał się, celując w poruszającą się masę.

Kabina zmieniła kształt. Macki. Długie, giętkie, pokryte metalową łuską, z szponami na końcach — jak u raptora. Przednia część odpadła, odsłaniając paszczę — szeroką, usianą ostrzymi jak brzytwa zębami.

Poszycie pękało, odpadało, odsłaniając czerwoną, lśniącą skórę z pulsującymi zielonymi żyłami. Stwór uniósł się, wyłaniając z wraku śmigłowca jak wąż zrzucający skórę.

— To jest żywe... — Thiery zastygł, jego głos drżał. — Ja... nie rozumiem. To organizm cybernetyczny?!

Bestia stanęła przed nimi — hybryda metalu i mięsa, koszmar inżyniera i biologa. Stwór odwrócił w ich stronę swoją nową "głowę". Oczy mu nie rosły. Tylko paszcza. I stuk szponów o ziemię. Wiedział, gdzie są.

Kadłub Mi-24 rozpełzł się, rozdarł, splótł ze zmutowaną tkanką, jakby śmigłowiec wykiełkował z ciała jakiegoś gigantycznego pasożyta. Ale najgorsze było w kabinie.
Pilot. Jego twarz była zniekształcona, zrośnięta z deską rozdzielczą. Przewody wrosły w skórę, rurki sterczały z rozprutej piersi.

— Ta przeklęta rzecz nie tylko że żyje, ale ewidentnie nie jest po naszej stronie — wyszeptał Ovitz, nie odrywając wzroku od tego koszmaru.

Pilot drgnął, jęknął — a wtedy paszcza pod kabiną rozwarła się, odsłaniając rzędy zardzewiałych, ale wciąż ostrych zębów.

Gatling M197, wrośnięty w podbródek potwora, zadrżał i zaczął się obracać.

Powoli. Z wyczekiwaniem.

— O-o-o-o!!! Cholera!!! — Ovitz odskoczył, instynktownie przygarbiając się.

— WSZYSCY DO KRYJÓWKI!!! — Cole rzucił się za najbliższe drzewo, jego głos utonął w huku pierwszych strzałów.

Ołów deszczem. Drzewa eksplodowały odłamkami, kora fruwała jak odłamki, ziemia wzbijała się fontannami pyłu. Vasilij przywarł do pnia, zatkał uszy, zamknął oczy — ale dźwięk był wszędzie, wdzierał się w kości, w mózg, w duszę.

Anton i Ovitz schowali się za grubym pniem, czując, jak każda seria wbija w drzewo nowe dziury wielkości pięści. Jeszcze chwila – a kule przejdą przez nich na wylot. Ale nagle – cisza. Gatling umilkł. Ovitz ostrożnie wyjrzał, obserwując potwora.

Bestia zastygła. Lecz pilot w kabinie drgał, jakby w konwulsjach, jego palce zaciskały się na dźwigniach, wargi poruszały się – lecz nie wydawały dźwięku. A potem – ryk. Głuchy, metaliczny, jak zgrzyt hamulców pociągu.

Stwór ruszył naprzód, jego szczypce drapały ziemię, zostawiając głębokie bruzdy.

Zmierzał w stronę pnia, za którym krył się Vasilij.

— Musimy wyeliminować pilota – szepnął Ovitz do Antona. – To on steruje tą maszynerią.

Anton skinął głową, patrząc, jak potwór zbliża się do starszego mężczyzny. Vasilij skulił się w kłębek, jego oddech był szybki, urywany, palce wpiły się w ziemię. Słyszał, jak mechaniczne stawy bestii terkoczą zaledwie metr od niego.

— Poczekajmy, aż podejdzie jeszcze trochę – wyszeptał Anton. – Wtedy odsłoni nam tyły.

Czekali. Jeszcze krok. Jeszcze jeden.

— TERAZ!

Ovitz i Anton wyskoczyli z ukrycia, unieśli broń, pociągnęli za spust. Pociski uderzyły w kabinę – ale odbiły się od pancernych szyb, zostawiając tylko białe rysy. Pilot gwałtownie odwrócił głowę. Jego spojrzenie spotkało się ze wzrokiem Ovitza.

I Gatling znowu zawarczał. Las eksplodował ogniem i rykiem.

Anton ruszył pierwszy, rzucając się w osłonę obok Vasilija. W tej samej chwili drzewo, za którym stali przed sekundą, rozleciało się w drzazgi pod gradem kul.

— Uciekamy!

Odłamki kory i gorące łuski posypały się wokół nich jak deszcz. Ovitz dopadł do Cole’a, który przywarł do wraku rozbitego Mi-24.

— Co, chciałeś załatwić to gówno zwykłym kałachem?! – warknął Cole, przeładowując magazynek.

Jarek ostrzeliwał się, nie odrywając wzroku od potwora, który powoli czołgał się w ich stronę, rozrywając ziemię pazurami.

— Potrzebujemy czegoś mocniejszego. Co mamy?

Cole szarpnął za zamek plecaka, przeszukując wnętrze:

— Granaty RGD-5. Osiem sztuk. Ale nie przebiją pancerza.

Ovitz zmrużył oczy, oceniając bestię.

— Nie muszą. Widzisz? – Wskazał palcem na szybę kabiny pilota, która migotała w dymie. – Jeśli ją rozbijemy, możemy wrzucić granat prosto w brzuch tej kreatury.

Francuz nasłuchiwał ich rozmowy, wzrok biegł po ruinach.

I wtedy dostrzegł ją – wśród porzuconego sprzętu wojskowego, ratunek: wyrzutnię rakietową. FGM-300.

— Nom de Dieu... – wyszeptał, nie wierząc własnym oczom. – Przecież to już wycofane z użycia...

Ale dwie rakiety wciąż były na miejscu.

Plan ułożył się w jednej chwili. Dokręcił regulator miotacza ognia, zwiększając zasięg strumienia. Potem wziął głęboki wdech. I wyskoczył z ukrycia.

— Pour toi, monstre!

Ognisty wir buchnął z dyszy, uderzając w pysk potwora. Płomienie lizały pancerz, wpełzały w szczeliny, paliły oczy pilota.

Bestia zawyła, zatrzęsła się, ale nie mogła zaatakować – ogień oślepiał ją, zmuszając do bezładnego miotania się.
— Trantigne, co ty kombinujesz?! – głos Cole’a przebił się przez huk walki.

Francuz, nie odrywając wzroku od potwora, krzyknął:

— Ktoś szybko do wyrzutni! – gwałtownie skinął w stronę porzuconego sprzętu. – Tam musi być boczna panel! Zewrzyjcie przewody! Czerwony i...

Miotacz ognia zasyczał, zacharczał, a ostatnie krople paliwa wytrysnęły żałosnym strumieniem.

— Merde...

Stwór, cały w sadzy, ryczał ślepo, wymachując macką zakończoną szczypcami, ale nie widział — płomień zaczernił szkło jego kabiny pilota.

Jarek już pędził w stronę wyrzutni, zdarł boczną panel uderzeniem kolby. W środku — cztery kable: niebieski, zielony, czerwony, żółty.

— No i który, kurwa, przecinać?! — rzucił przez ramię w stronę Thiery'ego, który odtaczał się od potwora, próbując przeładować broń.

— Ovitz, zielony! — wrzasnął naukowiec.

— No jasne, że zielony, a to bym sam nie wpadł! — Ovitz warknął przez zaciśnięte zęby, jego palce zwinnie splatały przewody. W powietrzu zawisło napięte milczenie, przerywane tylko nerwowym piszczeniem ładowanego systemu.

Rozległ się ogłuszający huk — rakieta z ładunkiem kumulacyjnym wystrzeliła z wyrzutni, zostawiając za sobą smugę dymu. Śmiertelny pocisk wbił się w bok potwora, rozrywając chitynowy pancerz jak zgniłą tkaninę. Fala uderzeniowa odrzuciła stworzenie na bok, jego szponiaste kończyny bezradnie zatrzepotały w powietrzu. Odłamki rozbitej kabiny posypały się na ziemię jak grad. Cole, nie tracąc ani chwili, poderwał się z ukrycia — jego ruchy były wypolerowane latami walk. Granat, rzucony z chirurgiczną precyzją, wpadł w rozdziawioną czeluść kabiny.

Eksplozja rozszarpała paszczę monstrum na strzępy, wyrzucając kawały czarno-czerwonej tkanki. Pancerz wokół kabiny zaczął się topić, bulgocząc i spływając na ziemię rozżarzonymi kroplami. Ogień błyskawicznie przeniósł się na amunicję karabinu maszynowego.

— Szybko, wynosimy się! Zaraz wybuchnie! — Cole ruszył do przodu, nawet nie oglądając się, czy reszta za nim podąża.

Pędzili przez gąszcz, potykając się o korzenie i łapiąc ustami zimne powietrze. Za nimi rozległ się kolejny wybuch — na moment las rozbłysł oślepiającą łuną, cienie drzew wygięły się w konwulsyjnym tańcu.

— Już prawie jesteśmy przy cmentarzu! — Vasilij, dysząc, wskazał przed siebie. Jego palec drżał — ze zmęczenia czy strachu, trudno było powiedzieć.

Płot wyłonił się przed nimi nagle, jak widmo z mgły. Zardzewiałe pręty, oplecione drutem kolczastym, wydawały się jednocześnie ocaleniem i nową pułapką.

Anton potknął się o coś miękkiego i ciężkiego. — Ja pierdo...le-e-e... — jego przekleństwo przeciągnęło się w mrożącym krew w żyłach olśnieniu. Przed nim leżał ogryziony trup — świeży, jeszcze ciepły. Jelita zostały wyrwane przez rozpruty brzuch, twarz zniekształcona do niepoznania.

— Anton, wszystko w porządku? — Cole był już przy nim, jego oczy zwęziły się na widok szczątków.

— Jeden z mieszkańców miasta? — Thiery poprawił okulary, starając się nie patrzeć na zakrwawione resztki.

Ovitz kopnął porzucony obok podarty plecak, z którego wysypały się skradzione przedmioty.
— Nie, raczej jakiś pechowy szabrownik.

Cole w milczeniu przeszukiwał plecak przy trupie, jego palce natrafiły na naboje — ciężkie, zimne, znajome. — Rewolwerowe. Pasują. — Przeliczył je automatycznie — sześć w opakowaniu, jeszcze trzy luzem. Za mało. Ale lepsze to niż nic.

Za jego plecami Ovitz coś mamrotał, przeglądając zdobyczną prowiant. Konserwy, suchary, czekolada.
— Przynajmniej coś ludzkiego w tym piekle.

Ale las odpowiedział im wyciem. Nie zwierzęcym. Nie wiatrem. Czymś innym. Cole nie drgnął, ale w piersi coś się ścisnęło — zimne, ciężkie. Są blisko.

— W porządku, żołnierze, nogi za pas i ruszamy, zanim podzielimy los tego gościa.

Skinął głową w stronę trupa przy bramie. Może jeden z tych, których szukamy? A może tylko pechowiec, który nie zdążył uciec? Nieważne. Martwi nie odpowiadają na pytania.

Plac przed nimi wyglądał jak po bombardowaniu. Samochody – przewrócone, z wyrwanymi drzwiami. Domy – z pustymi oczodołami okien. Jakby przeszła tędy gigantyczna dłoń, ciskając wszystko, co napotkała.

— Vasilij, w którą stronę stacja metra?
— Najbliższa – kilka domów stąd.

Cole skinął głową, ale kątem oka dostrzegł ruch. W zaułku. Śmietnik przewrócił się sam.

Nie. Nie sam. Coś tam było. Nie teraz. Nie tutaj.

Gwałtownym ruchem dał znak ręką – "Naprzód, szybko!" – i oddział ruszył, przygarbiony, starając się nie stukać butami po asfalcie.

"Jeśli nas nie widzi... jeśli zdążymy..."

Ale Cole wiedział – byli już na krawędzi.

Stacja "Metropolis" powitała ich gęstą, niemal namacalną ciemnością.

Przed zejściem do metra Thiery przełożył ładunek — miotacz ognia wisiał teraz na plecach starca, pozostawiając mu wolne ręce na karabin.

Ovitz wysunął się pierwszy, z gotowym do strzału shotfunem. Snop światła z latarki drżał w jego dłoni, wyłapując z mroku rozbite płytki, porozrzucane papiery, ciemne plamy na ścianach.

— Czysto.

Cole się nie rozluźnił. "Jest zbyt cicho."

Zdjął plecak, wyciągnął ładunki wybuchowe.
— Ovitz, Trantigne – naprzód. Vasilij, na środek. Anton, zamykasz.

— A co z panem? – głos Antona zadrżał.

Cole już mocował kable, jego palce pracowały szybko, precyzyjnie. "Stary nawyk. Nigdy nie odejdziesz daleko bez pułapki."

— Te ścierwa na pewno pójdą za nami. I wpadną na naszą niespodziankę.

Ovitz uśmiechnął się krzywo:

— Sprytnie.

Cole nie odpowiedział. Jego myśli były już tam, dalej – w ciemnych tunelach metra.

"Ile ich jest? Dokąd prowadzą te tory? I co, do cholery, znajdziemy na końcu?"

Ale drogi powrotnej nie było. Tylko naprzód. W ciemność.

Zastygła ruchoma schody, niczym skamieniały wąż, wiodły w dół, w nieprzeniknioną otchłań. Metalowe stopnie skrzypiały pod butami, każdy dźwięk odbijając się echem w kamiennym wnętrzu stacji. Latarki przypięte do ramion żołnierzy wyłapywały z mroku odpadający tynk, rozbite bramki, podarte plakaty – nieme świadki dawnego życia.

Cole zatrzymał oddział w holu, jego głos zabrzmiał głucho, jakby stłumiony przez samą ciemność:
— Sprawdzić broń i amunicję. Walka pod ziemią to nie spacer po parku.

Anton nerwowo przesunął dłonią po twarzy, otrzepując nieistniejącą pajęczynę. Przypomniały mu się katakumby pod rodzinnym miastem, gdzie w młodości włóczył się z kumplami – te same wilgotne ściany, ten sam gniotący strach. "Cholera, nienawidzę metra", mruknął, zaciskając dłoń na kolbie.

— Nie mamy wyboru – krótko rzucił Cole, już kierując się w stronę zejścia do tunelu.

Ciemność pochłonęła ich natychmiast, gdy tylko zeszli na tory. Latarki, zwykle tak niezawodne, teraz wydawały się żałosnymi świeczkami wobec absolutnego mroku. Światło drżało na ociekających wilgocią ścianach, wyłaniając z ciemności raz rdzawe rury, raz zerwane kable, raz... coś, co mignęło i zniknęło.

Kroki roznosiły się echem po tunelu, mieszając się z kroplami wody spadającymi ze stropu. Zdawało się, że sama stacja oddycha – czy to od przeciągu, czy od czegoś bardziej żywego.

Po wiecznym marszu wyszli na stację techniczną. Cole gwałtownie uniósł dłoń – sygnał do zatrzymania. Jego latarka powoli sunęła po ścianach, jakby czegoś szukała.

— O co chodzi, majorze? – szepnął Ovitz, podchodząc bliżej.

— Ściany... Coś z nimi nie tak.

Polak skierował tam swój snop światła. Na początku nic – zwykła betonowa powierzchnia. Ale przy bliższym spojrzeniu...

— Ktokolwiek z was, ścierwa, oglądał "Obcego"? – jego głos brzmiał nienaturalnie spokojnie.

— Pierwszego czy drugiego? – automatycznie doprecyzował Thiery, jeszcze nie rozumiejąc.

— Bez różnicy. Jeśli oglądałeś – zrozumiesz.

I wtedy naukowiec zobaczył. Ściany i sufit pokryte były dziwną substancją – czymś pomiędzy żywicą a żywą tkanką. W niej majaczyły zarysy kokonów, jakby gigantyczna osa założyła tu gniazdo. Materia pulsowała słabym, ledwo dostrzegalnym ruchem.

— To... ulej – wyszeptał Thiery, a jego głos drżał. W głowie przemknęły kadry z filmów – te sceny z ksenomorfami. Ale to było kino. A tu, w tej lepkiej ciemności...

Ovitz mocniej ścisnął shotfun. *"Pytanie, gdzie teraz jest gospodyni tego "przytulnego" gniazdka."

Tunel nagle wypełnił się mdlącym, gnilnym smrodem – słodkawym i odpychającym, jak rozkładające się mięso zmieszane z oparami chemikaliów. Powietrze stało się gęste, jakby nasycone śluzem. Vasilij trząsł się jak osika. Jego palce kurczowo ściskały rewolwer, kostki pobielały.

— O Boże... O Boże... – jego szept był urywany, jakby brakowało mu tchu.

Cole poczuł, jak po plecach spływa mu zimny pot, ale jego głos pozostał stalowy, równy, dowódczy:

— Bez paniki.

Sam nie był pewien, czy to zadziała. Ale jeśli zaczną wpadać w szał – są martwi.

— Rozglądać się. Cicho. Idziemy dalej.

Ale kokony... Wisiały na ścianach, suficie, pulsowały, poruszały się, jakby coś w środku drapało, próbując się wydostać. Ovitz wycelował, jego palec drgnął na spuście.

— Cholera, niech chociaż...

— Nie strzelać! – ostro syknął Cole.

Tunel zadrżał. Ona nadeszła.

Najpierw słabe wibracje, jak od dalekiego trzęsienia ziemi. Potem silniejsze. Ściany zatrzeszczały, z sufitu posypał się pył.

— Coś... coś nadchodzi... – Anton przywarł do ściany, jego głos zdradliwie zadrżał.

Ovitz gwałtownie się odwrócił, lufa shotguna skierowała się w stronę wyłomu w ścianie.

— Ruch w przejściu!

Cole też wycelował, ale nie strzelał.
— Nie strzelać. Dopóki nie dam znaku...

I wtedy rozległ się dźwięk. Warknięcie. Ale nie zwierzęce. Nie ludzkie.

Coś pomiędzy – kobiecy głos, zniekształcony, rozdzierany, zmieszany z cykaniem świerszczy i bzyczeniem muchy.

Z wyłomu wyłoniła się... ręka. Ludzka. Ale za długa. Palce – cienkie, kościste, z czarnymi pazurami zamiast paznokci. Potem druga. Wpiła się w krawędź przejścia i z siłą je rozszerzyła. I wtedy wypełzła.

Głowa – jeszcze przypominała kobietę, ale oczy... Było ich za wiele. Fasetkowe, migoczące jak potłuczone szkło, wpatrzone w ciemność. Usta – za szerokie, rozciągnięte, z ostrymi zębami. Dolna szczęka jeszcze nie w pełni uformowana – nowe kły przebijały skórę, sącząc czarną krew.

Ciało – górna część zachowała ludzkie rysy, ale skóra była szara, pokryta chitynowymi płytkami. Brzuch – już całkowicie owadzi, rozdęty, pulsujący, z segmentami jak u gnojarza. Nogi – długie, członowane, z kolcami wbijającymi się w beton. Skrzydła – małe, niedorozwinięte, drżące jak u larwy.

Wyprostowała się, ogromna, wypełniając połowę tunelu.
Jej gardło zadrżało, wydając ten sam dźwięk – cykanie, syczenie, coś na kształt mowy.

"Jestem w domu..."

Ovitz zastygł w bezruchu, jego usta poruszyły się bezgłośnie:

— No i ta suka jest brzydka...

Cole powoli cofnął się za kolumnę, przyciskając wszystkich do ściany.

— Spokojnie... — jego szept był ledwo słyszalny. — Ona nas nie widzi...

Ale Królowa Much odwróciła głowę. Jej oczy migotały, wyłapując ruch. Powąchała powietrze.
I zrobiła krok do przodu. Ovitz odsunął się powoli, jego strzelba drżała w dłoniach, ale wzrok pozostawał zimny.

— I lepiej, żeby ta suka w ogóle nas nie zobaczyła — wyszeptał, nie odrywając oczu od ciemnego wyłomu w ścianie, skąd dobiegało ciche, obrzydliwe bzyczenie.

Za plecami Wasilija coś chrupnęło. Starzec odwrócił się — i zastygł. Jeden z kokonów drgnął, jego powłoka pękła, a z wnętrza wypełzło coś.
Larwa.

Ale nie zwykła. Półczłowiek, półmucha.

Nagą, wilgotną czaszkę pokrywała cienka warstwa śluzu. Zniekształcone, fasetkowe oczy, ale za to ogromna paszcza z rzędami maleńkich, ostrych zębów. Pisnęło. Dźwięk był przenikliwy, nienaturalny, jak drapanie paznokciami po szybie.
Wasilij wrzasnął, wyrwał rewolwer i wpakował w potwora ładunek ołowiu. Ciało eksplodowało, rozbryzgując żółtą maź.

— Stary dziadu! — Ovitz nie zdążył nawet krzyknąć, gdy ciemność przed nimi drgnęła.

Królowa Much ich zobaczyła. I zobaczyła swoje martwe dziecko. Zaryczała, aż mury zadrżały. Rzuciła się do przodu, miażdżąc wszystko na swojej drodze.

— ODDZIAŁ, W TYŁ! — Cole warknął, otwierając ogień.

Pociski wbijały się w chitynowy pancerz, ale ona nie zwalniała. Barierka rozleciała się w drzazgi, gdy przełamała ją jednym uderzeniem. Wasilij ledwo uniknął ciosu, przewracając się na ziemię.

— OGIEŃ!

Ovitz wyszczerzył się, podnosząc strzelbę.

— Na to czekałem.

Śrut wbił się w pysk Królowej Much. Zawyła, zakryła twarz szponami, cofnęła się.
Ale nie na długo. Piski.
Przenikliwe, rozdzierające bębenki, wzywające posiłki. Skoczyła na sufit, wczepiła się pazurami i zniknęła w mroku.

Ovitz przeładowywał broń, rozglądając się.

— To ścierwo porobiło sobie przejścia...

I wtedy kokony ożyły. Najpierw jeden. Potem dziesięć. Potem... setki.
Pękały, otwierały się, a z ich wnętrz wypełzały larwy. Niemowlęta z ciałami owadów.

Pełzające. Piszczące. Głodne.

Cole zastygł, patrząc na to morze pokracznych stworzeń.

— Jasna cholera...

Z ciemności dobiegł nowy wrzask Królowej Much. Wzywała je. Wszystkie. A one nadchodziły.
Tunel metra drżał od tupotu setek chitynowych odnóży. Latarki wyłapywały z mroku tylko przerażające zarysy — lśniące pancerze, rozwarte szczęki, oczy migoczące w blasku strzałów.

— Ta suka dała im sygnał! — głos Jarka przebił się przez huk broni.

Królowa Much wydała przenikliwy świst, a armia potworów ruszyła do ataku. Płynęły falą — po ścianach, suficie, torach — ich ciała zlewały się w jedną, pulsującą masę.

— Ognia! Wszystkim, co macie! — Cole przywarł ramieniem do betonowej kolumny, krótkimi seriami kosząc pierwsze szeregi.
Ale na każdego zabitego natychmiast wypełzało pięcioro nowych. Grupa "Beta" cofała się w głąb tunelu, wykorzystując każdą osłonę:

Thiery i Anton — torowali drogę, metodycznie strzelając w szczeliny, skąd wypełzały kolejne larwy.
Wasilij — osłaniał tyły, jego dłonie drżały, ale palce nie puszczały spustu. Ovitz i Cole — trzymali główną falę, ostrzeliwując się w ruchu.

— Włażą ze szczelin w ścianach! — Thiery krzyknął, wskazując pęknięcia, z których sączyły się nowe bestie.

— Tam! — machnął gwałtownie w stronę wąskiego tunelu technicznego.

Jarek zawahał się: "A jeśli to ślepy zaułek?"

— Gorzej już nie będzie! — Thiery odciął, wrzucając w główną ciżbę granat.

Tunel zwężał się, zamieniając w gniazdo szerszeni. Ściany były żywe — poruszały się, pokryte larwami.

Przed nimi — przewrócony wagon, blokujący drogę. Obok leżała drabinka przeciwpożarowa.

"Przez wagon! Szybko!" — Cole odwrócił się, osłaniając resztę. Ovitz został ostatni. Jego strzelba kliknęła na pusto.
"Kurwa!" — wcisnął ostatnie naboje, zdążył oddać jeden strzał.

Larwy były już metr od niego.

"JAREK! BIEGNIJ!" — Cole wyciągnął rękę, w ostatniej chwili wyrywając go spod szczypców.

Z wyłomu w ścianie wypełzła Królowa Much.

Jej skrzydła, podarte i sklejone, drżały z wściekłości. Oczy świeciły w ciemności, śledząc każdy ruch oddziału.

Nowy rój kłębił się u jej stóp.

— Ta suka wciąż ma nieskończone rachunki, jak widzę. — Cole zeskoczył z wagonu.

Grad ognia — Cole, Anton i Thiery otworzyli ogień, celując w oczy, połączenia pancerza.
Obejście — Cole i Thiery próbowali zaskoczyć ją od tyłu, używając wagonów jako osłony.

Żądło — Królowa Much odwróciła się, uderzyła jadowitym kolcem, zmuszając ich do ostatniego uniku.
Anton rozejrzał się — tunel się zamykał, droga odwrotu odcięta.

— Jesteśmy w pułapce!

— Przebijemy się! — Jarek wystrzelał ostatnie naboje i chwycił nóż szturmowy.

Ostrze błysnęło w przygaszonym świetle.
Królowa Much zasyczała, stanęła na tylnych odnóżach, rozpostarła skrzydła — ostatni skok.
Cole rzucił granat.

— Wszyscy na ziemię!

Eksplozja wstrząsnęła tunelem. Ciemność zmieszała się z krzykami, sykiem, dźwiękiem pękającego chityny.

Walka trwała. Jarek stał, szeroko rozkraczony, jego nóż migotał w blasku latarek, rozcinając powietrze ze świstem śmierci.

— No, kurwy, która pierwsza?!

Nie ustępował. Nie krył się. Rąbał — jakby chciał rozciąć samą ciemność.

Larwy skakały na niego falami, ale każdą witał ciosem — w dół, w bok, na ukos. Krew i śluz bryzgały na ściany, na jego twarz, do ust. Pluł, śmiał się, ciął dalej.

— No dalej, ścierwa! Jestem tu!

Wasilij klęczał, jego oczy — szerokie, obłąkane — biegały na boki.

— O, Boże! Miłosierny Panie! My... wszyscy... zginiemy!

Cole rzucił się do niego, chwycił za kołnierz, przyciągnął tak blisko, że ich czoła niemal się zetknęły.

— Starze, ogarnij się! NATYCHMIAST!

Ale on nie słyszał. Jego umysł już utonął w panice.

— Zginiemy-ę-emy!!!

Dźgnął się gwałtownie, odepchnął Cole'a — i w tej samej chwili trzy larwy wbiły się w majora.

— Wasilij, pomóż mi!

Ale on już uciekał. Uciekał w ciemność, wrzeszcząc, łkając, wymachując rękami jak dziecko we śnie.

— STA-A-AJ!

Cole wyciągnął rękę, próbując go złapać, ale na próżno.

Krzyki. Długie, przenikliwe, urywające się na półtonie. Cole zaciął zęby. Jedna z larw wgryzła mu się w ramię, druga w nogę. Ból. Wściekłość.

Chwycił z ziemi połamaną cegłę i z całej siły walnął bestię w głowę.
Chrzęst. Larwa zwiotczała, ale cios trafił też w jego ranę.

Krew. Ból. Ale nie przestał.

— Thiery, gdzie miotacz?! — Anton ostrzeliwał się, ale mutanci wciąż napierali.

— U starego... Gdzie on jest?!

Cole nawet nie spojrzał:

— Nie ma go już.
Kwas uderzył w kamizelkę Antonowa z syczącym chlupotem, jak rozpalony olej wylany na skórę.

— A-A-ARGH!

Zaczęło go szarpać, gdy zrywał topniejący kevlar, ale stopiony polimer przywarł do ciała, przepalając skórę aż do mięsa. Thiery rzucił się ku niemu, zdarł tlącą się zbroję gołymi rękami — skóra na jego dłoniach spuchła od żaru, ale nie puścił, póki nie odrzucił jej precz.

Anton leżał zalany potem i krwią. Pierś — jedna wielka oparzelina, twarz — półślepa od gryzącego dymu.

— MEDYK RANNY! — Thiery darł się, przekręcając lufę w stronę Królowej Much.

Pociski wbijały się w chitynowy korpus bestii, rozrywając odnóża, ale nie zabijając. Mucha odskoczyła, piszcząc, ale nie ustępując.

Cole i Ovitz podnieśli Antoniego, ale ten wpił się w ramię dowódcy zakrwawionymi palcami.

— Ja... odwrócę ich uwagę... — charczał, kaszląc różową pianą. — Albo ja... albo wszyscy...

Cole zaciął szczękę:

— Zamknij się. Wyniesiemy cię.

Ale oczy Antona już podjęły decyzję.

— Dajcie... granaty... napalm... — splunął krwią. — Zrobię... rzeź...

Cole zastygł. Taktyczna kalkulacja przemknęła mu przez mózg:

Anton nie dojdzie. Rany śmiertelne. Oddział nie przetrwa kolejnego ataku. Ofiara kupi czas.
Decyzja wbiła się w niego jak nóż w brzuch. W milczeniu Cole wcisnął mu w dłonie dwa granaty i kanister z napalmem. Anton skinął głową. Akceptacja. Pożegnanie.

— HEJ, GNIDO! — wrzasnął, dźwigając się na drżących nogach. — TUTAJ JESTEM! ŻRYJ!

Strzał z pistoletu — kula odbiła się od czoła Muchy. Zadziałało. Bestia zawrzasła, odwróciła się. Za nią — horda sapnących, szczękających potworów. Rzuciły się na niego. Thiery, cofając się tyłem, pierwszy dostrzegł w głębi tunelu masywne drzwi — stalowe, z wyblakłą tabliczką „Pomieszczenia służbowe".

— Tam! — krzyknął, strzelając serią z automatu. Ogień wybuchał krótkimi, precyzyjnymi salwami, ale Mucha i jej potomstwo nie ustępowały. Poruszały się szarpnięciami, ich pancerze brzęczały jak tłuczone szkło, gdy kule rykoszetowały. Anton, utykając, strzelał z pistoletu służbowego. Rana na piersi sączyła krew. Oparł się o ścianę, ściskając w pięściach dwa granaty.

— Cole! — jego głos był ochrypły, ale twardy. — Uciekajcie!

Mucha, wyczuwając słabość, runęła na niego. Jej odnóża — długie, ostre jak skalpele — wbiły się mu w brzuch, przeszywając na wylot. Anton westchnął, ale nie krzyknął. Zamiast tego szarpnął zawleczkę i rozwarł dłonie.

Granaty potoczyły się po podłodze, wpadając pod brzuch bestii.

— No cóż, ścierwo... — Anton charknął krwią prosto w jej mordę — w te fasetkowe oczy, w szczękę usianą zębami.

Mucha zasyczała, jej szczęki rozwarły się, gotowe rozerwać go na pół.

— I tak sprawiłem, że się obsrałaś.

Kula ognia rozdarła ciemność, mieszając mięso, chityn i beton w krwawą burzę. Eksplozja, wzmocniona resztkami napalmu w tunelu, wyrwała kawałek stropu.
Fala uderzeniowa przetoczyła się przez korytarz, zwalając uciekających z nóg. Cole runął na brzuch, osłaniając głowę. Kawałki betonu i zbrojenia sypały się ze stropu jak grad.

Gdy huk ucichł, z trudem wstał i podniósł głowę.

Przygaszona lampka, zwisająca z sufitu, kołysała się, rzucając tańczące cienie. W jej świetle widać było dwa ciała — Jarek i Thiery, nieruchomo leżący. Cole przewrócił się na plecy, wpatrując w ciemność, skąd przybiegli.
Teraz była tam tylko ściana gruzu. Anton nie wróci. Nikt nie wróci.

Pył powoli opadał, zasnuwając powietrze szarą mgłą. Cole, opierając się o ścianę, podniósł się na nogi, jego twarz pokryta była warstwą błota i krwi.

— Odezwać się, kto żywy... — jego głos brzmiał chrapliwie, przedzierając się przez kaszel.

Z ciemności dobiegła odpowiedź:

— Żywy... — Jarek kucał, jedną ręką kurczowo trzymając się poręczy. Jego palce drżały.

— Ja... khe-khe... też... — Thiery próbował wstać, ale nogi się pod nim ugięły i znów runął na kolana.

Cole ciężko westchnął:

— Świetnie...

I wtedy Jarek eksplodował.

— ŚWIETNIE?! — jego głos rozdarł ciszę jak strzał. — ŚWIETNIE, JEBAĆ WASZĄ MAĆ?! TO WEDŁUG CIEBIE ŚWIETNIE?!

Zerwał się, jego twarz wykrzywiła się w furii.

— JA PIERDOLĘ TO WSZYSTKO W RYJ! PIERDOLĘ TO WSZYSTKO W RYJ, SUKA!

Thiery próbował podejść, wyciągając rękę:

— Ovitz, proszę, uspokój się...

Ale to tylko dolało oliwy do ognia.

— JA CIĘ TERAZ USPOKOJĘ, ŻABOJADZIE JEBANY! JA WAS TU WSZYSTKICH TERAZ USPOKOJĘ!!!

Rzucił się na Cole’a, złapał go za kołnierz i przygwoździł do ściany.

— Ovitz, ochłoń! To rozkaz! — Cole próbował się wyrwać, ale uścisk był żelazny.

— W PIERDOLĘ TWOJE ROZKAZY! — Jarek ryczał mu w twarz, ślina tryskała z ust. — STRACILIŚMY JUŻ CZTERECH! CZTERECH, KURWA! SEAMUS, ANTON, MARK, TEN ZJEBANY DZIAD! WSZYSCY WYPIERDALILI NA DRUGĄ STRONĘ! PIERDOLĘ WAS WSZYSTKICH W PYSK!

Jego głos załamał się w chrypę.

— JESZCZE JEDNA-DWIE TAKIE WYMIANY, A TWOJE ROZKAZY BĘDZIE KTOŚ WYKONYWAĆ TYLKO W DUPE!

I nagle... puścił. Osiadł na podłodze, łapiąc się za głowę.

Thiery stał w osłupieniu. Jego umysł desperacko chwytał się logiki, nauki, jakiegokolwiek wytłumaczenia tego, co się tu dzieje. Ale nie znajdował nic.

Cole powoli zsunął się po ścianie, ocierając twarz. Po grobowej ciszy odezwał się pierwszy:

— Dobrze... Skontaktujemy się z bazą. Wezwiemy ewakuację.

Thiery pokręcił głową, jego głos drżał:

— Tak… Tylko że z metra się nie połączymy.

Cole powoli podszedł do mapy metra zawieszonej na odrapanej ścianie. Jego palec, pokryty warstwą sadzy i krwi, przesunął się po schematycznych liniach tuneli, zatrzymując się na oznaczeniu w kształcie czerwonego domku.

— Więc jesteśmy… tutaj… — jego głos był stłumiony, zmęczony. — A ten bunkier jest całkiem blisko.

Jarek, siedząc na podłodze, rozcierał palce zesztywniałe po ostatniej strzelaninie. Jego twarz była blada, ale w oczach wciąż tliła się wściekłość.

— I jak się tam dostaniemy? — zapytał, zaciskając pięści.

Cole przesunął palcem po trasie:

— Te schody prowadzą do kolektora. Przejdziemy nim na odpowiednią linię metra i stamtąd dotrzemy do schronu.

Jarek powoli skinął głową, jego wzrok prześlizgnął się po mapie, po czym wrócił do Cole’a.

— Dobra. Dobra. — Chrząknął, demonstracyjnie, niemal groźnie. — Ale lepiej, żeby ta dziewczyna tam naprawdę była. Bo jeśli jej tam nie będzie…

Nie dokończył. Ale jego zaciśnięte pięści i twarda zmarszczka wokół ust mówiły same za siebie.

Zanim ruszyli dalej, sprawdzili ekwipunek.

Cole: Automat SA-82 (4 magazynki), nóż bojowy, pistolet (5 magazynków), radiostacja (uszkodzona, łączność niestabilna).

Jarek: Nóż myśliwski, strzelba (bez amunicji), pistolet (5 magazynków), ostatnia granata przeciwpancerna, stara zacinająca się snajperka (10 naboi).

Thiery: Automat SA-82 (2 magazynki), pistolet (3 magazynki), ogłuszająca granat, przenośny analizator (uszkodzony, ale działał), zestaw medyczny z plecaka Antona.

Thiery sprawdził sprzęt, jego palce drżały, ale ruchy były precyzyjne.

— Zakłócenia elektromagnetyczne wciąż silne. Radiostacje prawie bezużyteczne.

Cole skinął głową, zapinając ostatni magazynek na kamizelce.

— Czyli liczymy tylko na siebie.

Jarek przeciągnął się, rozluźniając kark.

— No to ruszamy, co?

Cole spojrzał na niego, potem na Thiery'ego.

— Gotowi?

Thiery przytaknął, poprawiając okulary.

— Tak. Tylko uważajcie…

— Zawsze uważamy — burknął Jarek, już kierując się w stronę schodów.

Cole raz jeszcze rzucił okiem na mapę, zapamiętując trasę.

„A jeśli nikogo tam nie będzie… Co wtedy?"

Ale pytanie pozostało bez odpowiedzi.

— Idziemy.

Cień drzwi pochłonął ich, gdy wkroczyli w ciemność kolektora.
Nie wiedzieli, co ich czeka. Ale odwrotu już nie było.

Woda, czarna jak atrament, chlupała pod butami, rozbryzgując fale zgniłej mazi. Latarki, przecinając mrok, wyłapywały z ciemności odpadający tynk ścian.
Cole szedł pierwszy, z gotowym do strzału automatem, jego oczy wytężone, skanujące ciemność. Każdy krok odbijał się głuchym echem, mieszając się z kapaniem wody i dalekimi, niewytłumaczalnymi dźwiękami — jakby zgrzytem metalu albo szeptem.

Thiery, trzymając się blisko ściany, nerwowo przygryzał wargę. Jego okulary zaparowały od wilgoci, ale nie zdejmował ich — jakby cienka szyba mogła go ochronić przed potworami czającymi się w mroku.

Jarek zamykał pochód, jego zwykle sarkastyczne spojrzenie było teraz ostrożne i skupione. Palce nie puszczały broni, gotowe w każdej chwili otworzyć ogień.

Zatrzymując się na rozgałęzieniu, Cole wyciągnął mapę. Światło latarki, trzymanej w zębach, wydobyło z mroku linie tuneli.

— Jesteśmy już blisko wyjścia na następną stację — mruknął, wodząc palcem po papierze.

W tej chwili głośny strzał rozdarł ciszę.

Pocisk, odbiwszy się od betonu, ze świstem rykoszetował i uderzył Jarka w płytę kuloodporną. Od ciosu runął na plecy, woda trysnęła na boki.

— Kurwa! — warknął, łapiąc powietrze.

Cole i Thiery natychmiast rozproszyli się, przywierając do ścian.

— Kto strzela?! — krzyknął Cole, celując w ciemność.

Thiery, mrużąc oczy, niemal nacisnął spust, ale w ostatniej chwili się powstrzymał.

Zza zardzewiałych rur, pokrytych śluzem, dobiegł drżący, ale wściekły głos:

— Pierdolone ścierwa! Myślicie, że mnie macie, co?! No to macie!

Kolejny strzał. Nietrafiony.

— Majorze, to człowiek! — szepnął Thiery.

Cole powoli opuścił broń.

— Wstrzymać ogień! To swoi!

Odpowiedzią był tylko ciężki, urywany oddech.

— Marzycie… skurwysyny — głos był nerwowy, wyczerpany.

Cole zrobił krok do przodu, trzymając ręce w widocznym miejscu.

— Podaj swoje nazwisko.

Cisza. Potem szelest, i zza rur wyłoniła się postać — chuda, drżąca, z pistoletem w trzęsących się dłoniach.

— Joan… Joan McFadden.

Cole powoli uniósł ręce, pokazując, że nie stanowi zagrożenia. Krople wody spływały mu po twarzy, mieszając się z potem.

— Major Cole Sullivan, dowódca oddziału Beta. Proszę, uspokój się.

Gdy Joan wyszła zza rur, jego serce się ścisnęło. Trzymała pistolet drżącymi rękami, jej oczy — szeroko otwarte, pełne zwierzęcego strachu — biegały od jednego żołnierza do drugiego. Mundur miał ślady błota, na twarzy zaschniętą krew, a ruchy zdradzały skrajne wyczerpanie.

— Proszę, uspokój się. Jesteśmy ludźmi, takimi jak ty. Przybyliśmy, żeby cię stąd zabrać.

Chwila napiętej ciszy. Wtedy pistolet wypadł z jej osłabionych palców z cichym pluskiem. W jej oczach pojawiło się zrozumienie, a potem nadzieja — tak głęboka, że aż bolesna w swojej intensywności.

— Bogu dzięki… — wyszeptała, i w tej samej chwili jej nogi się ugięły. Cole zdążył zrobić krok do przodu, ale ona już osuwała się powoli w czarną wodę, jak podwodny duch wracający do swej głębiny.

Thiery rzucił się na pomoc, ale Cole był bliżej. Jego palce sięgnęły już po sole trzeźwiące z apteczki. Ostry zapach przywrócił Joan przytomność — zakaszlała się, oczy wypełniły się łzami, ale wróciła do rzeczywistości.

— Teraz jesteś bezpieczna — powiedział Cole, klękając obok niej. Woda chłodziła skórę, ale nie zwracał na to uwagi.

Nagle Joan rzuciła się w jego stronę, oplatając go rękami tak mocno, jakby bała się, że zaraz zniknie. Jej ciało drżało od szlochu, a gorące łzy mieszały się z brudną wodą na jego kamizelce kuloodpornej. Cole na moment zastygł, po czym delikatnie odwzajemnił uścisk, klepiąc ją po plecach.

— Pewnie chcesz stąd wiać jak najszybciej — mruknął, czując, jak jej chwyt słabnie.

— Jak my wszyscy — warknął sucho Ovitz, ocierając twarz z wody.

Joan powoli dochodziła do siebie. Gdy podniosła głowę, Cole mógł lepiej przyjrzeć się jej twarzy — głębokie cienie pod oczami, blada skóra pokryta zadrapaniami i siniakami, splątane rude włosy. Najbardziej rzucały się w oczy cztery równoległe blizny na prawej policzku — ewidentnie ślady pazurów. Jej usta drżały, gdy w końcu przemówiła:

— Lepiej… omówmy pewne sprawy w mojej kryjówce.

Spróbowała wstać, ale nogi znów ją zawiodły. Cole mocno chwycił ją pod ramię, pomagając się podnieść. Wtedy zauważył, jak jej oczy znów wypełniły się przerażeniem, gdy wzrok przemknął po mrocznych tunelach.

— Nie martw się — powiedział cicho. — Teraz tu jesteśmy.

Ale nawet wypowiadając te słowa, poczuł, jak po jego plecach przebiega zimny dreszcz. Gdzieś w tych zalanych korytarzach coś czekało na swoją kolej.

Tunel wyprowadził ich do masywnych metalowych drzwi, pokrytych warstwą rdzy i sadzy. Joan pchnęła je ramieniem — ciężki mechanizm zaskrzypiał, odsłaniając wnętrze starej kotłowni.

Ciepło uderzyło w twarz. Działający kocioł parowy warczał głucho w kącie, wypełniając przestrzeń suchym żarem. Na podłodze — zniszczony śpiwór, porozrzucane rzeczy z plecaka, turystyczna kuchenka gazowa z pustą puszką zamiast garnka. Ściany były pokryte napisami — daty, liczby, urywki zdań, jakby Joan prowadziła tu dziennik, czekając albo na ratunek, albo na koniec.

Ovitz, wchodząc ostatni, z hukiem zatrzasnął drzwi i zasunął ciężką zasuwę.

— Nie powiem, luksusowo… ale na prowizorkę się nada. — Objął wzrokiem pomieszczenie, cmokając językiem. — Myśleliśmy, że siedzisz w jakimś schronie przeciwatomowym.

Joan uśmiechnęła się krzywo, ale w jej oczach nie było śladu rozbawienia.

— Niestety, mój pięciogwiazdkowy apartament w postaci schronu został zajęty przez te skurwysyny. — Ona rozmasowała bolące ramię. — Musiałam znaleźć coś skromniejszego.

Cole, upewniwszy się, że pomieszczenie jest bezpieczne, odstawił karabin i oparł o ścianę.

— Dobra, żołnierze, wyluzujcie. Odpoczywamy. — Zrzucił plecak, a w powietrze wzbiła się chmura kurzu. — A do ciebie, Joan, mam kilka pytań.
— Przybyliśmy tydzień temu — jej głos był cichy, ochrypły, jakby od dawna nie używała go na głos. — Grupa Alfa. Czteroosobowa. Nasze zadanie było proste: znaleźć źródło infekcji, zebrać dane, ewakuować się.

Zaciągnęła się głęboko, trzymając papierosa drżącymi palcami.

— Nie wiedzieliśmy, w co się pakujemy. Wysłano nas po próbki, ale tutaj... to był prawdziwy piekło.

Joan pokręciła głową i ciągnęła dalej.

— Na początku było cicho. Miasto — martwe, ale puste. Znaleźliśmy laboratorium. Zniszczone. Ściany porysowane, jakby coś próbowało się wydostać od środka.

Sięgnęła do plecaka leżącego u jej stóp i wyciągnęła zniszczoną teczkę. Przypalony róg, plamy przypominające krew.

— Macie. Wszystko, co udało nam się zdobyć.

Cole wziął teczkę, powolutku przewracając strony. Formuły. Schematy genetyczne. Zdjęcia... czegoś, co kiedyś było człowiekiem.

— Krzyżowali ludzi z czymś... — wyszeptała Joan.

Ovitz zmarszczył brwi:

— Z czym dokładnie?

Joan przycisnęła skronie, jakby próbując wycisnąć z pamięci koszmar.

— Nie wiem. W notatkach — formuły, kody. Próbowałam to rozgryźć, ale... — jej głos się załamał. — W moim stanie nic nie byłam w stanie zrozumieć.

Cole przeglądał dokumenty, kartki szeleszcząc jak stara skóra. Na jednej stronie — schemat przypominający DNA, ale z nienaturalnymi odgałęzieniami. Na innej — fotografia czegoś, co kiedyś było człowiekiem.

— Próbowaliście się skontaktować z bazą? — zapytał Cole, ściskając teczkę.

— Zagłuszali sygnał. Coś potężnego, nie zwykłe zakłócenia. Postanowiliśmy sami dotrzeć do punktu ewakuacji.

— A potem... natknęliśmy się na nich.

Zaciągnęła się znowu, dym kłębiąc się w żółtym świetle awaryjnej lampy.

— Widzieliście ich. Te... stworzenia. — Przeciągnęła dłonią po twarzy. — To nie są zwykłe zwierzęta. Są inteligentne. Polują w stadach. Zastawiają pułapki.

Cole milcząco skinął głową. Sami się już o tym przekonali.

— Wypełzali zewsząd. Na początku się broniliśmy. A potem pojawiły się... inne.

Zerwała się gwałtownie, gasząc papierosa o ścianę.

— Kristensen twierdził, że w kanałach będzie bezpieczniej. Mylił się.

Gdzieś w ciemności coś zaszeleściło. Wszyscy na moment zastygli.

— Leif i Giancarlo zginęli na moich oczach. Jeden z tych... niewidzialnych... po prostu rozerwał Carla na pół. Jakby był z papieru.

Cole wymienił spojrzenie z Jarkiem.

Dym z papierosa mieszał się z wilgotnym powietrzem, stęchłym zapachem pleśni i krwi. Joan zaciągnęła się ostatni raz, a pomarańczowy żar na chwilę rozświetlił jej wychudzoną twarz, zanim zgniotła petardę o zardzewiałą rurę.

Cole trzymał teczkę z dokumentami. Papier był wilgotny w dotyku, niektóre strony posklejane. Wzrok przykuła mu notatka o "niewidzialnych". Wśród zapisków wyróżniało się jedno zdanie: *"Obiekt SRPNT-9: aktywny kamuflaż, faza niestabilności — 74%"*.

— Jeśli potrafią nawet to... — nie dokończył, ale wszyscy zrozumieli. Zbyt dobrze.

Joan zerwała się, zrzucając z siebie odrętwienie.

— Wyglądacie, jakbyście przeszli przez piekło — jej ruchy były nerwowe, gdy grzebała w plecaku.

Cole w milczeniu rozpiął kurtkę, odsłaniając poszarpaną ranę na ramieniu. Brzegi ugryzienia już siniały, skóra wokół była zaczerwieniona i gorąca.

— Wytrzymaj. Będzie piekło — ostrzegła Joan, nakładając maść. Cole wciągnął powietrze przez zęby, ale nie wydał głosu.

— Czytałam twój raport z akcji w Niemczech — przez ból zmusił się do mówienia. — Uratowałeś dziesięć osób.

Joan uśmiechnęła się krótko:

— W dzieciństwie lubiłam naprawiać zepsute zabawki. Widocznie nawyk.

Jej palce, mimo drżenia, pracowały precyzyjnie. Igła wbiła się w ciało, nić podążyła za nią.

— Nawet nie chcę wiedzieć, co was tak poturbowało — mruknęła, skupiając się na szwach.

Ovitz, majstrując przy kuchence turystycznej, zaśmiał się nerwowo. Jego śmiech brzmiał jak strzał w ciszy.

— Pierdolona wielka mucha i jej larwy. Każda rozmiarów dobermana.

Cole milczał. Zamiast odpowiedzi zaciśniętą pięść poczuł, jak pod skórą ruszają się świeże szwy. Gdzieś tam, w ciemnych tunelach i na zrujnowanych ulicach, zostali ich ludzie. Ich martwi.

— Anton tam został — w końcu wykrztusił.

— Zasypał tunel na nich... i na siebie.

W głowie pojawiła się twarz Antona — młoda, z ledwie widocznym uśmiechem w kącikach ust.

"Trzydzieści lat. Całe życie przed sobą. A teraz... nie ma go."

Cole zamknął oczy.

— Rano było nas sześciu...

Igła na moment zawisła w powietrzu.

— "Moje kondolencje" — szepnęła Joan. W jej oczach było zrozumienie — znała tę cenę aż za dobrze.

Ovitz przeszukał kieszenie, skrzywił się, po czym zaklął:

— Kurwa, zapałki były w plecaku tego wariata.

Rozejrzał się, wzrok zatrzymując na Joan, która kucnęła obok Cole’a, kończąc opatrunek.

— Pani, nie pożyczy zapalniczki staremu żołnierzowi? — jego głos brzmiał zmęczony, ale wciąż z odrobiną sarkazmu.

Joan skinęła głową, wyciągając z torby zapalniczkę — tę samą, którą wysterylizowała igłę przed szyciem.

— Łap.

Ovitz złapał ją jedną ręką, podziękował skinieniem, po czym sięgnął do plecaka. Chwilę później w jego dłoni znalazła się zgnieciona puszka gulaszu.

— Chleb i woda — i głodu nie ma — mruknął, przypominając sobie starą polską maksymę, i zabrał się za otwieranie puszki nożem.

Joan skończyła szyć ranę Cole’a, zawiązując starannie węzeł.

— No jak, lepiej?

Cole powoli poruszył ramieniem, sprawdzając ruchomość.

— Lepiej. Dużo lepiej.

Skinęła głową, po czym wyjęła jodynę i plaster z torby Antona. Czerwony krzyż na boku był ledwo widoczny pod warstwą zaschniętej krwi.

Thiery siedział w kącie, oparty o ścianę. Jego palce nerwowo stukały o kolano, oczy były szeroko otwarte, ale wzrok — pusty, jakby patrzył przez ściany, w jakąś inną rzeczywistość.

Jego myśli wirowały jak liście w huraganie.

"Nie powinienem tu być. Jestem naukowcem, nie żołnierzem. Nie powinienem biegać po kanałach i strzelać do stworzeń, które nie podlegają nawet prawom biologii!"

Zaciśniętą pięść poczuł, jak po plecach spływa mu zimny pot.

— Nie, nie jestem żołnierzem... Je ne suis pas soldat... — jego szept był ledwo słyszalny, ale Joan go wychwyciła.

Podeszła do niego, przysiadła obok.

— Panie Trantigne, muszę pana zbadać.

Thiery drgnął, jakby się nagle ocknął.

— Skoro chcemy się stąd wydostać, moim zadaniem jest upewnić się, że jest pan w stanie trzymać broń.

Delikatnie dotknęła jego czoła, po czym szybko namacała puls na nadgarstku.

— Opisz pan swój stan.

Thiery przełknął ślinę.

— Dreszcze... po całym ciele. Czy ja... czy zaraziłem się czymś od tych potworów?

Jego zęby dzwoniły, głos drżał. Słabe światło latarki migotało po ścianach schronienia, rzucając drżące cienie. Joan pochyliła się nad Thierym, jej palce — wprawne, precyzyjne — przesuwały się po jego twarzy, badając źrenice. Były rozszerzone, z ciemnymi kręgami pod oczami, jakby nie spał od tygodni.

— Widziałam już takich — jej głos był cichy, niemal matczyny. — Żołnierze, którzy przeszli przez ekstremalny stres, często tak mają.

Pochyliła się bliżej, nasłuchując jego oddechu.

— Rozumiem, że nie jest pan żołnierzem.

Thiery powoli pokręcił głową.

— Nie... — jego głos zadrżał. — Jestem naukowcem. Jednym z czołowych chemików w Onirique Industries.

Retrospekcja.

Laboratorium. Białe ściany. Zapach sterylności. Stoi przed probówką, w której pulsuje coś — ciecz zmieniająca kolor z krwistoczerwonego na jadowicie zielony. Jego przełożony klepie go po ramieniu: "Thiery, to przełom!"

Ale teraz siedział w podziemiach, w brudzie, z drżącymi rękami.

— A niech to, musiałem się rzucać na głęboką wodę...

Wzdrygnął się, gdy igła wbiła mu się w ramię. Lekarstwo paliło, rozchodząc się po żyłach.

Joan uśmiechnęła się — lekko smutno, ale ciepło.

— No cóż, myślę, że jeszcze z dziesięć lat się pan nie zbierze.

Jej żart był lekki, ale kryło się za nim zrozumienie. Widziała takich jak on. Naukowców, inżynierów, medyków — tych, którzy nie byli gotowi na prawdziwe piekło.

— Hej, a kiedy moja kolej? — głos Jareka rozległ się z drugiego końca pomieszczenia. Siedział rozwalony, z pełnymi ustami. — Ja... nie wiem, czy wiecie, ale mam prawie złamaną nogę! Przełknął jedzenie, udając cierpienie, ale w jego oczach błyskał zwykły, zuchwały ogień.

Joan westchnęła, podnosząc się.

— Kolejność jest kolejnością, panie Ovitz.

Nie lubiła go. Był ordynarny. Bez taktu. Zbyt pewny swojej niezniszczalności. Ale był częścią zespołu. Bez niego już by zginęli.

Thiery głęboko odetchnął, kolor powoli wracał mu do twarzy.

— Och, tak... Czuję się lepiej.

Joan poklepała go lekko po ramieniu.

— Niech się pan trzyma.

Odwróciła się do Jareka, sięgając po bandaże.

— No więc, bohaterze, pokazuj tę swoją "złamaną" nogę.

Jarek prychnął, ale posłusznie wyciągnął nogę. Jego zwykle sarkastyczne usta wykrzywił teraz grymas bólu. Prawa noga, uwolniona z nogawki, spoczywała na drugiej skrzyni — skóra powyżej kolana była poszarpana, z rany sączyła się ciemna krew, mieszając się z brudną wodą na podłodze.

Joan uklękła przed nim, jej smukłe palce — dziwnie delikatne jak na medyka wojskowego — ostrożnie badały uszkodzenie.

— Do diabła, kobieto, nie pieść się tak! — Jarek wzdrygnął się, gdy jej dotyk stał się nieco bardziej bolesny. — A może myślisz, że jestem jakimś rannym szczeniakiem?

Joan nawet nie podniosła głowy, kontynuując pracę.

— Gdybyś zachowywał się jak dorosły mężczyzna, a nie jak rozwydrzony nastolatek, nie musiałabym się z tobą pieścić — jej głos brzmiał zmęczonym, ale wyraźnie dało się w nim wyczuć irytację.

Szarpnęła mocno za ucisk, a Jarek aż podskoczył:

— A-aa, suko! Zrobiłaś to specjalnie, co?!

— Specjalnie — potwierdziła obojętnie, zalewając ranę środkiem antyseptycznym. Płyn spienił się krwawą pianą. — Jeśli nie odkażę tego porządnie, do rana będziesz miał gangrenę. Chcesz, żebym odpiłała ci nogę zardzewiałą piłą bez znieczulenia? A może wolisz wykitować na sepsę jak ostatni idiota?

Thiery, który obserwował tę scenę, niechcący parsknął, ale natychmiast udawał, że zakrztusił się śliną. Cole stał przy wejściu, jego twarz pozostawała niewzruszona, ale w kącikach oczu widać było zmęczenie tą niekończącą się wojną na słowa.

Jarek zgrzytnął zębami:

— Ja ci sam wszystko odpiłuję, dziwko! Kim ty w ogóle jesteś, żeby...
— Ja jestem jedynym medykiem w promieniu dwudziestu kilometrów — przerwała mu, bandażując nogę z taką siłą, że Polakowi zaparło dech. — A jeśli jeszcze raz nazwiesz mnie „wiedźmą” tym tonem, wypalę ci tę twoją przeklętą ranę jodyną. Prostoo w oko.

W powietrzu zawisła napięta cisza. Nawet woda kapająca za ścianami jakby zamilkła. Ovitz ponuro spojrzał na swoją zabandażowaną nogę, potem na Joan, która już pakowała medyczny sprzęt.

— No i co, bohaterze? — w końcu podniosła na niego wzrok. — Będziesz dalej jęczał, czy powiesz „dziękuję” jak człowiek z wychowaniem?

Jarek zastygł na sekundę, jego szczęki się naprężyły… aż w końcu rozciągnęły się w drwiącym uśmiechu:

— Dzięki, siostrzyczko. Ale jeśli myślisz, że teraz ci coś wiszę, to…

— Zamknij się, Ovitz — chórem warknęli Cole i Thiery.

Joan tylko pokręciła głową i odeszła do plecaka, zostawiając Polaka z głupkowatym uśmieszkiem. Woda znów zaczęła kapać w ciemności. Gdzieś w oddali echo niosło dziwny, zgrzytliwy dźwięk… ale w tej chwili nikt nie zwrócił na to uwagi.

Cole zaciągnął się ostatnim haustem papierosa, czując, jak gryzący dym wypełnia płuca. Popiół osypał się na brudną podłogę, mieszając z kurzem i piaskiem. Przetarł kark – mięśnie bolały od ciągłego napięcia. Przed nim leżała otwarta teczka z napisem „Projekt Życie", przekazana przez Joan – brudna, pognieciona, z postrzępionymi rogami.

„Lamar i jego pachołki za to zapłacą" — pomyślał Cole, wyobrażając sobie, jak wbija pięść w arogancki łeb generała. „Ukrywali. Kłamali. Wystawili nas na ostrzał."

Zgasł niedopałek o ścianę, zostawiając czarny ślad na odpryskującej farbie, po czym przewrócił drewnianą skrzynię, tworząc prowizoryczny stół. Rozłożył na nim zawartość teczki: pożółkłe kartki, zdjęcia. Wyjął też ten stary dyktafon, który dał mu starzec. Wszystko wyglądało jak strzępy koszmaru zebrane w kupę.

Czarne litery prawdy. Pierwsze strony były pokreślone czarnym markerem – całe akapity wycięte, zostały tylko oderwane frazy:

„Znajdował się… Poddano… Dane dotyczące…"

Nic konkretnego. Tylko wrażenie, że ktoś na gwałt ukrywał to, co najważniejsze.

Dalej – notatki pisane nerwowym pismem, jak pod presją:

„17.06.35 – Podmiot BT-6200 – transformacja niestabilna. Korelacja z fragmentem meteorytu?"

„Myśleli, że kontrolują ewolucję… ale meteoryt jest starszy niż nasza cywilizacja."

Cole zmarszczył brwi. „Kto to ‚oni'? Mutanci? A może coś więcej?"
„Więc to nie tylko wirus… Znaleźli jakiś kosmiczny bio-wirus?"

Zdjęcie z monitoringu:
Następna kartka – rozmazane ujęcie z kamery.

Mężczyzna około czterdziestki stojący wśród naukowców w białych kitlach. Twarz niewyraźna, ale… znajoma.

Cole zmrużył oczy, próbując sobie przypomnieć.

„Gdzie ja go widziałem?"

Obok – urwana notatka:

„…Wskaźniki ‚Maszyny Wellsa' niestabilne, konieczne dodatkowe testy na pobranych próbkach. Przy 80% mocy obserwuje się anomalie…"

Widzi zdjęcie przedstawiające stanowisko testowe z „Maszyną Wellsa". W tle – sylwetki ludzi w ochronnych kombinezonach.

Fragment raportu:

„Podczas testów na próbkach zaobserwowano anomalną reakcję – materia organiczna stopiła się z metalowymi komponentami komórek. Próbka zachowała funkcje motoryczne, ale ośrodkowy układ nerwowy zdegradował się w ciągu 37 sekund.”

Cole przypomniał sobie: „Ten śmigłowiec… Pilot był jak wtopiony w fotel. Jakby zespawano ich na poziomie molekularnym…”

I od razu przypomniał sobie coś jeszcze, z odległej przeszłości.

Cole zamarł, ściskając w dłoniach pogniecioną kartkę z raportem. Litery rozmywały się przed jego oczami, ale fraza „ materia organiczna stopiła się z metalowymi komponentami” paliła mu mózg jak rozgrzana igła.

Kaukaz. Jeden z jego kolegów, a raczej to, co z niego pozostało – zakrwawiona masa, stopiona w kawałki złomu. Oczy – żywe, błagalne.

Cole zamknął oczy, ale obrazy nie znikały – wbijały się w świadomość jak te metalowe macki, łączące ciało z żelazem.
Zacisnął zęby.

„Wepchnąć z powrotem. W ciemność. Tam, gdzie to wszystko gnije już od dziesięciu lat”.

Cole otworzył oczy i ponownie zaczął studiować dokumenty leżące przed nim.

Kolejne zapiski:

„…podmiot BT-6213 nie zniósł eksperymentu stabilnie… Widoczne poważne deformacje organizmu…”

Tu tekst się urywał.

Inne raporty:
„Próbka wykazuje anomalną aktywność… komórki regenerują się według nieznanego schematu…”

„Genom meteorytu zawiera sekwencje niezgodne z ziemską biologią…”

Cole natrafił na zdjęcie samego meteorytu – czarny, z pulsującymi żyłkami, jakby coś w środku tętniło.

Zamknął oczy i przetarł nasadę nosa:
— Meteoryt… Obcy… Co to za kurna ściema? Dobra, załóżmy, że spadł jakiś artefakt. Ale jak przemienił ludzi w to?

Dalej – fotografie z laboratorium.

Pierwsza scena:
Chirurdzy w maskach preparują coś humanoidalnego na stole operacyjnym. Ciało wygięte w nienaturalny sposób, skóra pokryta pęcherzami.

Druga scena:
Dziwne mechanizmy — hybryda sprzętu medycznego i narzędzi tortur. Węże, kable, igły wbijające się w ciało.

Trzecia scena:
Kriokapsuły. W środku — cienie. Ludzkie? A może już nie?

Cole poczuł, jak zimny dreszcz przeszywa mu plecy.
"Co za piekło oni tu zgotowali?"

Thiery, który do tej pory w milczeniu obserwował go z kąta, nie wytrzymał i podszedł bliżej. Jego cień pochylił się nad stołem, a oczy chciwie ślizgały się po stronach.

— To nie jest zwykły meteoryt — wyrzucił nagle, ostro wskazując palcem na dziwne symbole wplecione między wiersze. — Patrzcie… te znaki. Powtarzają się w strukturze próbek DNA. Jakby… ktoś je zaprogramował.

Jego głos brzmiał zbyt głośno w tej stęchłej ciszy.

Jarek, który masował kontuzjowaną nogę, podniósł głowę. Zmarszczył brwi i, utykając, podszedł, zaglądając przez ramię Cole'a.

— To nie hieroglify — warknął ochryple, mrużąc oczy. Przesunął palcem po znakach, jakby próbował je odczytać dotykiem. — To nie cyrylica, nie łacina… Nawet nie starosumeryjskie. Ale coś tu rozumiem.

Jego palec zatrzymał się na jednym z symboli — dziwnym, kanciastym, jakby złożonym z krystalicznych płaszczyzn.

— Tu jest… "Przebudzenie". Albo "Odrodzenie". A to… "Granica"? — nagle się skrzywił i cofnął rękę. — Cholera, jakby ktoś specjalnie zniekształcił język.

Thiery się zachmurzył, jego palce nerwowo wystukiwały rytm na stole.

— Jeśli to wiadomość… to od kogo? Kto mógł wysłać ten meteoryt?

Cole nie odpowiedział. Jego wzrok przykuła ostatnia strona — raport o "pierwszym kontakcie". Tam, wśród suchych terminów naukowych, czerwonym kolorem zaznaczono:

"Próbka wykazuje właściwości niezgodne z ziemską biologią. Sieć krystaliczna reaguje na ludzkie DNA. W skanowaniu wykryto mikroskopowe struktury przypominające… mechanizmy?"

Mechanizmy? Myśl uderzyła jak młot.

— Czyli to… techno-organiczna zaraza?! — wyrwało mu się.

Thiery zbladł. Jego oczy rozszerzyły się, a on sam cofnął się od stołu, jakby bał się, że papiery go zarażą jednym dotknięciem.

— To… ingerencja obcych — wyszeptał. — Mamy do czynienia nie z mutacją, a z obcą bronią.

Jarek prychnął, gwałtownym ruchem przeładowując pistolet. Dźwięk zamka, krótki i ostry, przeciął ciszę jak nóż.

— A co, kurwa, za różnica, czym są te potwory? Zielone ludziki czy demony z piekła rodem — wszystkie czeka to samo.

Cole wziął dyktafon, wcisnął przycisk odtwarzania.

Z głośnika dobiegł głos — zniekształcony, jakby przepuszczony przez zakłócenia:
«… Morozow uważa, że możemy zdobyć fundusze od wojska… Mamy pomysły, ale brakuje nam środków… Oni mogą je zapewnić»

Następne nagranie:
«…jeśli to słyszycie… BT-6213… oni mi to zrobili… nie mogę już kontrolować procesu… muszę… położyć… temu… kres…»

Nagranie się urwało.

Pytania bez odpowiedzi. Cole zaciśniętą pięść uderzył w stół.

Ovitz i Thiery odeszli. Zostawili go samego. Potrzebował sporo czasu, żeby to jakoś przetrawić.

Cole przesunął dłonią po twarzy, ścierając brud. "Meteoryt. Eksperymenty. Mutacje." Strzępki zdań, schematy molekuł, fotografie… Wydawało się, że puzzle zaraz się ułożą. Ale nie dawały całego obrazu.

Odkrząknął, rozmasowując zranione ramię. Ból był tępy, uporczywy, ale znośny — na tyle, by nie przeszkadzał w działaniu. Wstał. Przeciągnął się. Kości odpowiedziały głuchym chrzęstem, jakby przypominając: "Nie jesteś z żelaza. Ty też możesz pęknąć."

Gdzieś za ścianą rozległ się głuchy zgrzyt — znak, że zasiedzieli się za długo i czas się wynosić.

— No dobra, chłopaki, otrząsnęliście się? — głos Sullivana brzmiał spokojnie, ale w głębi czaiło się zmęczenie. — Przerwa skończona. Musimy wydostać się na powierzchnię i skontaktować z bazą.

Sięgnął po plecak, wyciągnął pomiętą mapę metra i rozłożył ją na zardzewiałej beczce. Papier był wilgotny w dotyku, krawędzie rozpływały się od wilgoci, ale linie tuneli jeszcze dało się odczytać.

— Niestety, ostatnim razem się nie udało, ale wysłaliśmy zaszyfrowany SOS. — Dźgnął niedopałkiem w jedno z oznaczeń. — Przyszliśmy tędy.

Popiół osypał się, zostawiając czarną plamę.

— No i jesteśmy.

Pet przesunął się nieco w lewo.

— Kolektor burzowy ciągnie się pod całym miastem. Jeśli nim przejdziemy, trafimy na najbliższą odnogę metra, a stamtąd — na powierzchnię.

Jarek przeładował pistolet z charakterystycznym klik-klak.

— Brzmi jak plan, szefie.

Cole uśmiechnął się krzywo:

— To cię ucieszy — bo to właśnie jest plan.

Opuszczając kryjówkę Joan, wkrótce znaleźli się w nowym odcinku kanałów. Tunel. Powietrze było tu jeszcze gęstsze, nasycone zapachem rdzy, stojącej wody i szczurzego łajna.

Rdzawe rury różnych rozmiarów oplatały sufit i ściany, tworząc potworny węzeł. W świetle latarek ich cienie kołysały się jak metaliczne macki, gotowe ożyć w każdej chwili.

Dotarli do obszernej komory podzielonej na cztery małe „wysepki", oddzielone czarną wodą. Między nimi powinny znajdować się opuszczane mostki, ale teraz wisiały w górze.

Thiery podszedł do jednego z pokrytych nalotem rozdzielników.

— Powinno zadziałać…

Szarpnął dźwignię. Nic. Tylko suche trzask styków gdzieś w ciemności.

— Trzeba doprowadzić prąd do mostu — mruknął, rozglądając się.

Gdzieś w głębi tunelu coś zaszeleściło. Joan, wciąż blada, ale już bardziej skupiona, przywarła do ściany.

— Nie jesteśmy tu sami.

Cole powoli skinął głową, podnosząc karabin.

— Wiem.

Ovitz błysnął latarką, smuga światła prześlizgnęła się po wodzie.

Cole zmrużył oczy, obserwując, jak Thiery z precyzją zegarmistrza zdejmuje osłonę panelu sterowania. W powietrzu unosił się zapach utlenionego metalu i starej izolacji.

— Dasz radę? — spytał Cole, osłaniając plecy naukowca.

— Tak, to nic skomplikowanego — mruknął Thiery, jego palce szybko rozłączały przepalone kable. Wyciągnął z plecaka swoje urządzenie — dziwny hybrydę multimetru i przenośnego generatora, złożoną jakby z przypadkowych części. Zielone diody zamigały jak świetliki w ciemności.

Pierwsze szarpnięcie dźwignią wywołało tylko ciche buczenie transformatorów gdzieś w głębi stacji. Most ani drgnął.

— Cholera — Thiery zwiększył moc, jego urządzenie zasyczało, ale efekt był ten sam. — Za mało napięcia. Potrzebne dodatkowe źródło.

Jego wzrok padł na sąsiedni pomost, gdzie widać było kolejny panel sterowania.

— Mam pomysł. Ktoś musi dostać się do tamtego panelu i aktywować dopływ prądu do tej dźwigni.

— Ovitz, ty to robisz — warknął Sullivan.

Jarek niechętnie podszedł do wąskiej, spróchniałej deski przerzuconej nad czarną wodą kolektora. Deska zaskrzypiała pod jego ciężarem.

— Po prostu bajeczny mostek — mruknął, ostrożnie stawiając kroki. Metalowe uchwyty skrzypiały, rdza sypała się w dół, rozpływając się w ciemnej toni.

Gdy znalazł się na pomoście, wdrapał się po chwiejnej drabinie. Panel sterowania był pokryty warstwą błota i pleśni, ale przyciski i dźwignie wciąż dało się rozpoznać.

— Ovitz, co tam widzisz? — krzyknął Thiery.

— Kupę guzików i parę wajch — odparł Jarek, przecierając panel rękawem. — Nic, co pasowałoby do twojego opisu.

Jego wzrok padł na dwie klapki po bokach. Bez zastanowienia szarpnął obie dźwignie naraz.

Gdzieś w głębi tuneli zaskrzypiały tryby, zawarczały silniki. Most z hukiem opadł na miejsce.

Po przejściu mostu oddział stanął przed wąskim tunelem. Cole wszedł pierwszy, jego latarka wydobywała z ciemności śluzą pokryte ściany. Kroki roznosiły się echem, mieszając z dźwiękiem kapiącej wody.

Po kilku minutach dotarli do rozwidlenia.

— Tylko nie mówcie, że mamy się rozdzielić — burknął Ovitz, oświetlając latarką obie odnogi.

— Chyba żartujesz — ostro rzucił Sullivan. — Żeby was tam jakiś hybryd rozszarpał?

Wybierając lewy tunel, wkrótce znów stanęli przed rozwidleniem.

— Kurde, wróciliśmy w to samo miejsce — warknął Cole, uderzając pięścią w ścianę.

— Wątpię, żeby to było to samo miejsce — ostrożnie zauważyła Joan.

— Gdy wątpią — żegnają się — wtrącił Ovitz, wskazując na zardzewiałą zaworówkę. — Taką samą widziałem wcześniej.

— Jeśli nie zauważyłeś, jesteśmy w kanalizacji — odparowała Joan. — Pełno tu identycznych zardzewiałych rur.
Woda siegająca do kostek była czarna i oleista, odbijając drżące światło latarek jak zgniła ropa.

— Czy naprawdę się zgubiliśmy? — głos Thiery'ego zabrzmiał nienaturalnie głośno w tej przytłaczającej ciszy. Wodził snopem światła po ścianach, wyłapując z mroku odpryskujące kafelki i rdzawe rury. Jego palce drżały — nie z zimna, ale z narastającego wrażenia, że kręcą się w kółko.

Cole zatrzymał się nagle, jego profil ostro zarysował się w świetle latarki.
— Nie jestem pewien — jego głos był spokojny, ale w tym spokoju czaiło się napięcie ściśniętej sprężyny.
— Idziemy tędy.

Ruszyli dalej, ale pewności nie przybyło. Każdy krok odbijał się wielokrotnym echem, zamieniając w upiorną kakofonię — jakby cały oddział niewidzialnych prześladowców szedł za nimi. Woda chlupała, buty skrzypiały, oddechy stawały się szybsze...
Aż nagle Cole gwałtownie uniósł dłoń.

— Cicho! — jego sześć brzmiał jak uderzenie batem. — Słyszycie?

Wszyscy zastygli. W zapadłej ciszy stało się słychać coś nowego — wilgotny, bulgoczący oddech przerywany sapaniem. Dochodził z góry.
Joan powoli uniosła latarkę...

— Ja pierdolę! — jej krzyk rozdarł ciszę.

Z sufitu, zrywając się kaskadem zgniłego śluzu, zeskoczyło coś.
To był szczur. Ale nie zwykły — wielkości dużego psa, o szaro-zielonej, łysiejącej skórze pokrytej wrzodami i krwawiącymi pęknięciami. Przednie łapy miał nieproporcjonalnie długie, z pazurami jak zardzewiałe gwoździe. Głowa — łyse, z wiszącymi strzępami skóry — usiana była wyłupiastymi, czerwonymi ślepiami, w których nie było nic żywego, tylko głód i obłęd.
Zgrzytała zębami — długimi, żółtymi, wykrzywionymi jak u pirani.

Retrospekcja Jarka:
Koszary w Gdańsku. Noc. On, młody rekrut, wraz z innymi schodzi do piwnicy — łapać szczury. Śmiechy, żarty. Aż jeden — duży, wściekły — nie wpija mu się w rękę. Biję go o ścianę, słyszy chrup kości, ale bestia nie puszcza. Krew spływa po palcach. Potem strzał — ktoś go dobija. Ale uczucie tych zębów w swoim ciele zapamięta na zawsze...

— Kurwa! — Jarek instynktownie odskoczył, sięgając po nóż.
Lecz Joan była szybsza. Strzał huknął jak eksplozja, ogłuszając wszystkich. Pocisk oderwał szczurowi pół głowy, rozrywając skórę i tkankę mózgową. Stwór drgnął jak marionetka z przerwanymi nitkami i runął do czarnej wody, wzbijając fontannę bryzgów.

Zapadła cisza. Tylko echo strzału jeszcze długo toczyło się tunelami, stopniowo cichnąc.

Cole przykucnął, przyglądając się dziwacznej kreaturze.

— Co to, do cholery, jeszcze jest? Miejscowe szczury? — jego głos brzmiał spokojnie, ale palce mimowolnie zacisnęły się na automacie.

Joan, oparta o ścianę, ciężko oddychała:

— Kilka takich już tu ustrzeliłam.

Ovitz prychnął, kopnął trupa butem:

— Widocznie nie tym ich truli.

W tej chwili z głębi tunelu dobiegł zgrzyt pazurów po betonie. Joan wyprostowała się gwałtownie:

— Zaraz zlecą się kolejne. Musimy się pospieszyć.

Cole skinął głową:

— Oddział, przyśpieszamy! I patrzcie uważnie pod sufit.

Jak przewidziała Joan, wkrótce rozległy się dziwne dźwięki — zgrzyt, syk, stłumione piski. Przerośnięte szczury szły im po piętach, ich płonące oczy migały w ciemności.

Oddział poruszał się gęsiego:
Cole na przedzie, z gotowym do strzału automatem, Joan za nim, zaciskając ostatni pistolet, Thiery i Ovitz zamykali pochód, plecami do siebie.

Tunel był wąski, woda chlupała pod butami, a jedyne światło stanowiły drżące smugi ich latarek.

Atak. Z wyrwy w ścianie z piskiem wyskoczyła pierwsza szczurza bestia — prosto na Thiery'ego. Jej pazury wbiły się w ramię, ostre kły zatrzasnęły się centymetr od twarzy.

— Cholera! — wrzasnął Thiery, próbując zrzucić potwora. Mutant o mało nie wydłubał mu oka, ale naukowiec gwałtownie się obrócił i przygniótł szczura do ściany.

Coś w nim pękło. Te godziny strachu, śmierci, obłędu — wszystko wylało się na zewnątrz. Z dzikim rykiem zaczął walić bestię kolbą w łeb:

— Świnio! Suko! Crève, pétasse!!! Zdychaj!!!

Czaszka trzasnęła, krew ochlapała mu twarz, ale nie przestawał, miażdżąc już bezkształtną masę.

— Francuzik, uspokój się. Chyba już nie żyje — rzucił Ovitz.

Thiery zastygł, ciężko dysząc. Spojrzał na swoje dłonie, pokryte krwią i mózgami, na rozsmarowane na ścianie ścierwo.

— Tak, masz rację... Uff.

Ale chwili wytchnienia nie było. Z sąsiednich szczelin wypełzły kolejne dwa szczury, a z tyłu słychać było nadciąganie następnych. Joan wycelowała, ale nie strzelała — czekała, aż bestie podejdą bliżej.

Ovitz przeładował karabin:

— No co, profesorze, gotów powtórzyć wyczyn?

Thiery otarł twarz, jego oczy znów stały się zimne i obliczające:

— Tylko jeśli obiecacie nie opowiadać, jak wyglądałem minutę temu.

Joan cicho się zaśmiała:

— Umowa stoi. A teraz zamknijcie się i strzelajcie.

Tunel huczał od pisków, zgrzytu pazurów i odgłosów strzałów.

— Jak szczury w pułapce — szepnął Cole, oceniając sytuację.

— Nienawidzę takich porównań! — warknął Ovitz, celując w pierwszą bestię.

Strzał. Łapa potwora rozleciała się w krwawą miazgę. Stwór zawył, próbował uciec, ale druga kula roztrzaskała mu głowę, rozbryzgując mózg po ścianie.

Kolejny szczur rzucił się na Jarka, kły błysnęły w półmroku. Ale wojskowy but Ovitza był szybszy — miażdżące kopnięcie, i bestia odleciała, lądując na grzbiecie.

— Ile takich szczurów wybiłem w piwnicy u rodziców — nie zliczę! — Nastąpił na jej głowę. Chrup.

Na Cole'a spadł szczur z sufitu. Nie marnował amunicji — wojskowy nóż przeciął powietrze.
Bestia wpiła się w niego, pazury darły kurtkę, zęby klikały centymetry od szyi. Cole zaciął zęby, przygniótł ją do ściany, zdusił łokciem. Nóż wbił się w brzuch — raz, dwa, trzy. Szczur zacharczał, wypuszczając wnętrzności. Poluzował chwyt — ścierwo spłynęło po ścianie, zostawiając krwawy ślad.

Ale — coś chwyciło go za nogę. Upadek. Przed nim — szczur-albinos.

Popielata skóra, strzępy sierści, krwawe ślepia. Pysk obdarty, czaszka przeświytywała przez mięso.

Ogon zamachnął się — uderzenie roztrzaskało posadzkę. Cole uniknął ciosu, przechwycił nóż, odparował.
Ostrze przejechało po ogonie — ktryś trysnął. Pisk.
Szarpnięcie — złapał ogon, szarpnął, przyciągnął bestię do siebie. Kopnięcie w pysk.
Powstał, broń gotowa.
— Na mój rozkaz! — krzyknął do Thiery'ego. — Ognia!

Salwa. Ciało szczura rozszarpało — kawałki mięsa spadły do wody.

Ovitz i Joan ostrzeliwali się.
— Czas na radykalne rozwiązania! — Jarek wyrwał granat, rzucił w tłum.

— Co ty, do cholery, robisz?! — Joan zrozumiała — wybuch w tunelu to śmierć.

— Padnij! — Powaliła Ovitza na ziemię.

Eksplozja. Ściany zatrzęsły się, sufit posypał. Podłoga pod Cole'em pękła.

— Ja pierdolę...

Piekło. Upadek. W dole — woda, błoto, ciemność.

— Cole! — Thiery krzyknął, chwytając się zaworu.

— Jeśli nie liczyć tego, że jestem po uszy w gównie, to wszystko w porządku! — dobiegł z dołu głos.

Pył powoli opadał, zasnuwając powietrze szarą mgłą. Joan z trudem uniosła się na kolana, w uszach wciąż dzwoniło jej od wybuchu. Kurczowo przycisnęła dłonie do głowy, próbując zagłuszyć przenikliwy

huk wypełniający czaszkę. Jej wargi drżały, ale słowa nie nadchodziły — tylko urywane, chrapliwe oddechy.

Obok poruszył się Ovitz. Przekręcił się na bok, wypluwając grudkę pyłu i krwi. Jego twarz pokrywały drobne zadrapania, a w oczach błyskała ta sama szalona iskra, która zawsze pojawiała się po udanych eksplozjach.

— Kurwa... — jego głos brzmiał chropowato, jakby przepuszczony przez papier ścierny.

Joan gwałtownie odwróciła się w jego stronę, oczy płonęły wściekłością:

— Mogłeś nas, do cholery, wysadzić w powietrze, debilu!

Jarek tylko słabo się uśmiechnął, przymykając powieki. W pamięci migały mu fragmenty innego wybuchu, innego czasu...

— Ale nie wysadziłem. — Przeciągnął językiem po spękanych wargach. — Przypomniało mi się starcie z Cole'em w Brazylii. Wtedy wysadziłem w powietrze cały pierdolony dom. To były czasy...

— Widzę, że aż się trzęsiesz z radości w tym gównie, Ovitz.

— Nie mniej niż w twoim towarzystwie. — Ledwo zauważalnie mrugnął, choć ruch ten kosztował go wysiłek.

Joan pokazała mu środkowy palec, ale mimo wszystko podała rękę, pomagając mu wstać. Jej palce na moment ścisnęły jego nadgarstek mocniej niż trzeba — niemy wyrzut, który doskonale zrozumiał.

Z chmury pyłu niemal wypełzł Thiery. Jego okulary pokryte były warstwą szarego pyłu, a głos drżał:

— C-C-Cole! Spadł na dolne poziomy!

— Żyje? — Joan gwałtownie się odwróciła, jej palce instynktownie zacisnęły się na rękojeści pistoletu.

— Tak, chyba... — Thiery zdjął okulary, próbując przetrzeć je drżącymi palcami. Pył osypywał się z jego kasku, gdy niepewnie stanął na nogi.

Trójka podeszła do ziejącej wyrwy. Thiery skierował snop światła latarki w dół, oświetlając stertę gruzu i czarną wodę. Głębokość — jakieś dwa i pół metra. Nie śmiertelnie, ale wystarczająco, by złamać nogę przy nieudanym lądowaniu.

Z ciemności dobiegł głos Cole'a:

— Jeśli skończyliście już pierdolić, schodźcie na dół. Znalazłem tu coś ciekawego.

Thiery skoczył pierwszy. Jego lądowanie oznajmił głośny plusk i przekleństwo po francusku. Podniósł się, otrzepując, woda spływała po jego mundurze.

— Co się, do cholery, stało? — zapytał, przecierając okulary.

— Ovitz zawalił tunel, detonując granat — odpowiedziała Joan, szykując się do skoku.

— Jednego zawalenia mu było mało?

Skoczyła zwinnie jak kot, ledwie rozpryskując wodę. Ovitz podążył za nią, lądując z ciężkim stuknięciem.

Joan od razu zauważyła, jak Cole, kucając, wpatruje się w coś w wodzie. Jego latarka wydobywała z mroku dziwne kształty...
Cole wstał, jego but natrafił na coś miękkiego. Kopnął — i z półmroku wytoczyła się kupa na wpół rozłożonych odpadków, wymieszanych z kośćmi.

— Ktoś tu niedawno urządził sobie ucztę — jego głos brzmiał sucho, ale w oczach przemknął wstręt.

Thiery pochylił się, światło latarki wydobyło ze sterty zniekształconą czaszkę — oczodoły, jakby stopione, zlewały się w jeden, a nos był nienaturalnie wydłużony, jakby próbował stać się czymś innym.

— Boże... — odskoczył gwałtownie, jakby się sparzył.

— Coś dużego — mruknął Cole, przyglądając się szczątkom. — Skoro potrafiło połknąć dorosłego człowieka w całości.

— A może żrą się nawzajem? — Joan skrzyżowała ręce na piersi, jej głos zadrżał.

— Mam taką nadzieję — odparł Ovitz, ale w jego tonie zabrakło zwykłej brawury.

Thiery, wciąż blady, rozwinął mapę, wodząc palcem po liniach tuneli.

— Gdzie teraz idziemy?

— Skoro zboczyliśmy z trasy — Cole rzucił okiem na Ovitza — a dzięki panu Ovitzowi, który urządził tu mini-apokalipsę z granatem, odcinając nam drogę powrotną, wyboru nie mamy.

Thiery westchnął, ale skinął głową:

— Nie taki diabeł straszny. Jesteśmy w tunelu SHB-NK 203. Powinien wyprowadzić nas do centralnego filtra. Stamtąd — na powierzchnię.

— Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, co? — Ovitz prychnął, podchodząc do stosu szczątków.
— Ale to mnie niepokoi.

Thiery uniósł brew:

— Czy ja naprawdę słyszę, że coś cię niepokoi?

— Tak! — Ovitz rozłożył ręce. — Wyobraźcie sobie, jestem jednak człowiekiem. I martwi mnie, że gdzieś tu grasuje coś większego niż przerośnięte szczury.

Joan pokręciła głową:

— Czasami nie wiem, czy żartujesz, czy mówisz poważnie.

Tunel odpowiedział im głuchym echem — gdzieś przed nimi coś kapnęło, a dźwięk rozniósł się jak ostrzeżenie.
Ciemność w dole była inna — gęsta, ciężka, jak smoła. Uszkodzona latarka Cole'a migotała, rzucając w mrok nierówne smugi światła. Posuwali się naprzód, krok za krokiem, buty chlupały w stojącej wodzie, wzburzając czarną mazią.

— Żołnierze, czujność i palce na spustach.

Głos Cole'a brzmiał stłumienie, pochłonięty przez wilgotne ściany. Potrząsnął latarką — światło na moment rozbłysło jaśniej, odsłaniając pokryte pleśnią rury i łuszczącą się farbę.

Thiery szedł za nim, jego oddech był płytki, urywany. Starał się nie patrzeć w dół — woda, czarna i oleista, zdawała się żyć. Czasem coś się w niej poruszało.

— Tu... dawno nikogo nie było.

Ovitz, idący na końcu, prychnął:

— No to dzięki Bogu. Mniej świadków.

Ale żart nie rozładował napięcia.

Tunel nagle się rozszerzył, odsłaniając ogromną, okrągłą komorę — stary zbiornik wypełniony bulgoczącą, czarną wodą. Zardzewiały, kratownicowy most prowadził do środka, gdzie majaczyły zarysy mechanizmów.

I wtedy Thiery zobaczył kości. Wszędzie.

Ogryzione, porozrzucane, wtopione w błoto. Czaszki z pustymi oczodołami, żebra sterczące jak szprychy złamanego parasola.

— Cholera... ależ smród...

Zapach uderzył w nozdrza — słodkawo-gnilny, z domieszką chemicznej goryczy. Thiery złapał się za ścianę, jego ciało wzdrygnęło się, a potem zwymiotował prosto do wody.

— Och… Je m'excuse. (Przepraszam.)

Wytarł usta rękawem, twarz miał białą jak kreda. Cole nie skomentował. Jego oczy ślizgały się po cieniach, wypatrując ruchu.

— Oddział, czujność. Ktoś tu ma bestialski apetyt, i ten ktoś może na nas czaić się dosłownie wszędzie.

Przeciągnął automat, palec na spuście. Kraty pod nogami skrzypiały, uginały się. Woda poniżej bulgotała, jakby coś ogromnego poruszało się w głębinach.

Joan szła pierwsza, jej kroki były ostrożne, ale pewne. Widziała już takie rzeczy — i wiedziała, że jedyne, co może być gorsze, to cisza.

— Cicho… — szepnęła.

I wtedy latarka Cole’a zgasła. Ciemność. Cisza.

Tunel nagle zadrżał. Woda, która do tej pory leniwie pluskała się wokół butów, zafalowała, jakby poruszona podziemnym westchnieniem. Bąble brudnej piany wypływały na powierzchnię, pękając z ohydnym chlapnięciem.

— W tył! — Cole gwałtownie odskoczył, unosząc broń.

Z czarnej mazi zaczęło się coś wyłaniać. Najpierw ukazały się plecy — guzowate, pokryte śliskimi naroślami, przypominającymi pęknięte czyraki. Każda z nich pulsowała, sącząc czarną maź. Potem bestia wyprostowała się, i oddział ujrzał ją w całej okazałości.

Trzy metry drgającego mięsa.

Ciało przypominające rozdętą, przerośniętą larwę skrzyżowaną z gigantycznym owadem. Skóra — czarno-zielona, lśniąca jak zgniły owoc oblany ropą. Głowa bezkształtna, pozbawiona oczu, tylko ogromna paszcza, z której zwisał długi, brodawkowaty język.

— Boże… — Joan zastygła, jej palce wpiły się w rękaw Cole’a.

Stwór oddychał. Gęsta, toksyczna para wydostawała się z jego nozdrzy — a przynajmniej z otworów, które można było za nie uznać. Smugę zapachu uderzyła w nozdrza — mieszanka zgniłych jaj, rozkładającego się mięsa i czegoś chemicznego, żrącego.

Thiery, blady jak ściana, wyszeptał:

— To… to Shoggoth. Tylko u Lovecrafta wyglądał sympatyczniej.

Shoggoth (bo żadna inna nazwa nie pasowała do tego koszmaru) przechylił głowę, jakby nasłuchiwał. Bezoki potwór odwrócił się w ich stronę, nozdrza się rozszerzyły.

— Jest ślepy — błyskawicznie zrozumiał Cole. — Orientuje się po zapachu.

Bestia postąpiła krok.

Długie, wykrzywione łapy z pazurami jak u gryfa zanurzyły się w wodzie. Ogon — masywny, giętki i łuskowaty — wił się za plecami, pomagając utrzymać równowagę.

— Nie ruszajcie się — syknął Jarek, powoli sięgając po pistolet.

Ale było za późno. Joan, nie wytrzymując, gwałtownie szarpnęła się do tyłu. Shoggoth zawył. Paszcza rozwarła się, odsłaniając rzędy krzywych zębów, i ruszył do ataku.

Cole zareagował pierwszy:

— Ognia!

Stwór zauważył ich natychmiast. Jego ślepa głowa obróciła się, nozdrza rozdęły, wciągając zapach ludzkiego potu i strachu.

— Rozdzielamy się! — Cole szarpnął w lewo, ciągnąc za sobą Joan.

Jarek i Thiery rzucili się w prawo, za stos gruzu.

Bestia ryknęła, a jej ogon, potężny jak kłoda, świsnął w powietrzu, o włos nie powalając Cole'a. Odwrócił się, czując, jak fala uderzeniowa parzy twarz.

— Trzymajcie dystans! — wrzasnął, przeładowując broń.

Thiery, przyciśnięty do zardzewiałej drabiny, wyciągał koktajl Mołotowa, który sklecił w kryjówce Joan. Jego palce drżały.

— Cole, trzeba zwabić go pod rury!

Ale Shoggoth już się na niego rzucił.

Długi, kolczasty język wystrzelił z paszczy jak bicz. Thiery nie zdążył uniknąć ciosu — żądło wbiło mu się w ramię.

— AAARGH!

Ból przeszył go jak rozżarzony gwóźdź. Trucizna. Poczuł, jak mięśnie drętwieją, a wzrok mu się mąci.

Cole otworzył ogień, celując w język. Kule rozszarpały śluzowatą tkankę, a bestia cofnęła go z przenikliwym piskiem.

Thiery runął na kolana, chwytając się za ranę. Krew sączyła się spomiędzy palców, czarna od jadu.

— Trzymaj się, Francuzie! — Jarek rzucił się w jego stronę, ale w tej samej chwili —

Z sąsiedniego kanału wysypały się hybrydowe szczury. Joan uniosła pistolet:

— Mają nas w pułapce!

Jarek się obrócił, karabin warknął, rozrywając pierwszą szczurzą bestię na strzępy.

— Zajmijcie się tym gadem, ja osłonię!

Shoggoth tymczasem zawrócił i runął na Cole'a jak taran. Tona rozwścieczonego mięsa leciała w jego stronę. Cole w ostatniej chwili skoczył w bok, a potwór wbił się w podporę rurociągu.

Metal zaskrzypiał, rury zwaliły się z hukiem, blokując przejście. Teraz Cole i Thiery byli po jednej stronie. Jarek i Joan — po drugiej.

A między nimi, potrząsając się i warcząc, stał Shoggoth.

— Cole! — Jarek krzyknął przez zwałowisko. — Rury!

Cole zrozumiał.

— Thiery, dasz radę iść?

Naukowiec skinął głową, ściskając butelkę z mieszanką zapalającą.

— Jeszcze żyję...

Cole odskoczył na krawędź wykopu, strzelając, by zwrócić uwagę potwora. Shoggoth warknął i ruszył za nim. Thiery, przezwyciężając ból, wdrapał się na resztki drabiny, unosząc się nad bestią.

— No to masz, sukinsynu...

Podpalił koktajl Mołotowa i roztrzaskał butelkę o grzbiet Shoggotha. Bestia stanęła w ogniu, zawyła i rzuciła się w bok — prosto pod chwiejące się rury.

Cole wrzasnął:

— Jarek!

Ten już celował.

Strzał rozsadził mocowanie, a metalowa masa zwaliła się na Shoggotha, przygniatając go tonami zardzewiałego żelastwa.

Woda zawyła, spieniona i wzburzona. Potem — jeszcze jeden, ostatni, konwulsyjny spazm...
I cisza. Thiery złapał się za ramię — jad już palił mu żyły. Jarek przelazł przez zwały, oceniając stan naukowca:

— No i co, jajogłowy, żyjesz?

Tamten uśmiechnął się słabo:

— Niestety...

Oni wciągnęli Thiery'ego na nogi i powlekli się w stronę wyjścia.
Kotłownia została za nimi, ale jej zapach – zgnilizna, chemiczny smród i coś niewypowiedzianie obcego – wżarł się w skórę, włosy, nawet w płuca. Oddział wydostał się na opuszczone tory starej stacji metra, gdzie niegdyś huczały pociągi, a teraz panowała martwa cisza, przerywana tylko kapiącą wodą.

Cole pierwszy wygramolił się z oczyszczalni, jego buty chlupały wodą, zostawiając mokre ślady na zardzewiałych szynach. Obrzucił wzrokiem resztę, wyciągając rękę do Joan. Ta milcząco przyjęła pomoc, jej palce drżały, ale zacisnęły się z upartą siłą – nie pozwoli sobie na słabość. Nie teraz.

Tunel ciągnął się przed nimi, ginąc w czerni. Ściany, niegdyś wyłożone kafelkami, teraz pokrywała pleśń i pęknięcia. Gdzieniegdzie sterczały zerwane kable, iskrzące mdłym niebieskim światłem – jak ostatnie oznaki życia w tym martwym miejscu.

Thiery kroczył z tyłu, przyciskając zabandażowane ramię. Rana od Shoggotha paliła, ale ból wydawał się odległy, jakby przytłumiony adrenaliną. Mrugnął, próbując odpędzić mgłę przed oczami. Joan, idąca obok, zapytała cicho:

— Boli mocno?

Spojrzał na nią. Jej twarz była blada, pod oczami – sińce zmęczenia, ale wzrok miał jasny.
— Nie śmiertelnie – wzruszył ramionami i od razu skrzywił się z bólu. — Choć może trochę śmiertelnie.

Parsknęła – krótki, niespodziewany dźwięk, bardziej jak stłumiony śmiech.
— To znaczy, że przeżyjesz.
— Niestety – odparł, ale już z nutą żartu.

Cole, idący na przedzie, uniósł dłoń – sygnał do zatrzymania się.
— Przed nami rozjazd. W lewo – tunel, w prawo – jakieś drzwi.
Jarek kliknął latarką.
— Idźmy do drzwi. Mam już dość tych katakumb.

Cienie wyciągały po ścianach długie palce, czepiając się szkieletów niedoszłych ekspozycji. Magazyn muzealny przypominał kryptę – tu, w półmroku, pod warstwami kurzu, spoczywały szczątki historii, które nigdy nie doczekały się odkrycia.

Popękane gabloty skrywały dziwne artefakty: pożółkłe mapy z adnotacjami czerwonym ołówkiem, wypchane zwierzęta z matowymi oczami, popiersia partyjnych działaczy, których twarze wyglądały teraz nie na dostojne, lecz na znużone i obojętne. W kącie, przykryty brezentem, stał szkielet jakiejś maszyny – może stary silnik parowy, a może część niedokończonej instalacji.

Cole pierwszy przekroczył próg, wciąż z gotowym do strzału automatem. Jego wzrok prześlizgnął się po kątach, wypatrując ruchu.
— Czysto.

Zrzucił plecak z ramion, a kurz wzbił się w powietrze, wirując w świetle latarki.

Jarek, wchodząc za nim, od razu rzucił się na skrzynię z napisem „Kruche. Ostrożnie”, ignorując skrzypienie drewna.
— Przynajmniej tu nic nie kapie z sufitu.

Zdjął hełm, przesunął dłonią po krótko przystrzyżonych włosach i natychmiast kichnął – kurz wbił się w nozdrza.
— Kurwa. Nawet tu nie da się oddychać.

Thiery ostrożnie opadł na krawędź drewnianej palety, zaciśnięte zęby zdradzały, jak ból z rany na boku dał o sobie znać. Zdjął okulary, przetarł je brzegiem zabrudzonego rękawa i od razu pożałował – szkła stały się jeszcze bardziej mętne.
— Idealnie.

Joan tymczasem przemierzała rzędy stojaków, a jej latarka wyłapywała z mroku urywki przeszłości:

— Patrzcie – wskazała na stojak ze zdjęciami. – To stare plany budowlane.

Na pożółkłych fotografiach widać było ludzi w kaskach, zastygłych przed ogromnym wykopem. Podpis głosił: *„Gorky-17. Położenie fundamentów. 1974 rok.”*

— Więc muzeum miało opowiadać o mieście – mruknął Thiery.

— Albo je ukrywać – dodał Cole, rozciągając ramiona.

Jarek grzebał w swoim plecaku, aż wyciągnął pogniecioną paczkę papierosów.

— Ktoś chce?

— Ty poważnie? – Thiery uniósł brew. – Po tym wszystkim, co dziś widzieliśmy, ty dalej palisz?

— Zwłaszcza po tym wszystkim, co dziś widzieliśmy – Jarek zapalił, zaciągnął się głęboko i wypuścił dym w stronę sufitu. – A tak w ogóle, jajogłowy, co to za badziewie było, z którym tańczyliśmy w tym wykopie?

Thiery westchnął:

— W skrócie? Coś, co nie powinno istnieć.

— O, dzięki, Koperniku – Jarek prychnął. – A ja myślałem, że to tylko jakaś wściekła kundelka.

Joan, oparta o gablotę, nagle się zaśmiała – krótko, niespodziewanie.

— Co? – zmarszczył brwi Jarek.

— Nic. Tylko... – machnęła ręką. – Po całym tym koszmarie siedzimy tu, a ty pytasz, co to było. Jakbyśmy byli na pikniku.

Jarek uśmiechnął się krzywo:

— A co, mam w panice walić głową w ścianę? I tak dzień był do dupy.

Thiery znów zaczął przyglądać się planszom ze starymi zdjęciami miasta.
— Dziwna nazwa jak na polskie miasto... Gorky-17 — zamyślił się. — Brzmi jak kryptonim szpiega ze starego filmu.

Jarek odwrócił się do niego:
— Kiedyś nazywało się inaczej. Granica Nowa za Polaków, Neumark za Niemców... A może Stara Wieś — kto to teraz rozplącze.

— Więc dlaczego "Gorky"? I skąd ta liczba? — Thiery poprawił okulary.

Jarek wzruszył ramionami:
— Bo był tu ośrodek badawczy. Takie miasta zawsze przemianowywano — żeby nikt nie zadawał pytań. Dzierżyńsk-12, Tomsk-7... Cyfra to kod obiektu.

Thiery postanowił zażartować:
— A "Gorky" dlatego, że życie tu było takie słodkie?

Jarek odpowiedział bez uśmiechu:
— Bo był tu kombinat chemiczny. I laboratoria badawcze.

Joan wpatruje się w kolejne zdjęcie. Uśmiechnięci inżynierowie pozują przy makiecie "miasta przyszłości".

Joan, patrząc na fotografię roześmianych naukowców, mówi cicho:
— Mam nadzieję, że przynajmniej wierzyli, że budują coś dobrego.

Jarek przesuwa wzrokiem po zdjęciach.
— Wierzyli. Najpewniej.

Cole tymczasem rozkładał mapę na skrzyni, przyciskając rogi pustymi łuskami.

— Nie zostajemy tu długo. Za pół godziny ruszamy.

— Do raju? – zainteresował się Jarek.

— Jak się poszczęści – Cole nawet nie podniósł wzroku.

— Wszystko w porządku? – zapytała cicho Francuza.

Thiery wolno skinął głową, ale od razu skrzywił się z bólu.

— O tak, po prostu świetnie. Czuję się jak po maratonie... w którym przejechało mnie kilka razy.

Joan uśmiechnęła się lekko.

— Wiesz, w służbie medycznej nazywaliśmy to „standardowym wtorkiem”.

— A co było w poniedziałek?

— Gorzej.

Thiery prychnął, ale natychmiast jęknął, łapiąc się za bok.

— Cholera... No dobra, może masz coś przeciwbólowego? Albo, w ostateczności, mocny alkohol?

Joan poszperała w plecaku i wyciągnęła małą, płaską manierkę.

— Spirytus medyczny. Ale gdyby rozcieńczyć wodą...

— O, mademoiselle, czytasz mi w myślach! – Thiery z nabożną czcią wziął manierkę, odkręcił nakrętkę i od razu pociągnął.

— Hej, mówiłam – rozcieńczyć!

— Pff... Jaka różnica? – skrzywił się, ale zaraz się rozluźnił. – A wiesz, nie jesteś taka jak inni wojacy.

— To komplement?

— Może... Po prostu... nie krzyczysz, nie rzucasz rozkazów. Jesteś... — Zawahał się. — Normalna.

Joan wybuchnęła śmiechem.

— Dzięki. To chyba najdziwniejszy komplement, jaki dostałam.

Jarek, obserwując ich, pokręcił głową:

— Kurwa, nawet ranny ten francuzik potrafi poderwać laskę. Nieźle, gościu.

Cole prychnął — to było prawie jak śmiech. Cisza znów ich otoczyła, ale teraz nie była już tak przytłaczająca. Gdzieś za ścianami tego opuszczonego muzeum czaił się koszmar. Ale tutaj, wśród zakurzonych eksponatów, na chwilę pozwolili sobie po prostu być ludźmi. Zmęczonymi. Poobijanymi. Ale wciąż żywymi.

Ciężkie powietrze wisiało w pomieszczeniu, jakby nasycone dekadami kurzu i zapomnienia. Snopy światła z latarek, przecinając ciemność, wyłapywały z mroku dziwaczne kształty: roztrzaskane gabloty, pokryte pajęczynami popiersia, stosy skrzyń z ledwie czytelnymi napisami „Kruche. Ostrożnie". W kącie leżał pożółkły szkielet jakiegoś prehistorycznego zwierzęcia, jego żebra sterczały niczym palce trupa, próbującego wydostać się spod ziemi.

Cole powoli obszedł stos gruzu, jego buty skrzypiały na rozkruszonym gipsie. Nagle światło wydobyło z ciemności rozwarty wyłom w ścianie — nierówny, z osypującymi się krawędziami, jakby wybity przez coś ogromnego i potężnego.

— Ovitz, sprawdź, czy coś (albo ktoś) na nas tam nie czeka — warknął, jego głos brzmiał stłumione w tej grobowej przestrzeni.

Jarek sięgnął po pistolet. Jego masywna sylwetka z trudem przecisnęła się przez wyłom, strącając ceglane odłamki. Wewnątrz rozpościerała się dawna sala wystawowa, teraz przekształcona w surrealistyczny labirynt muzealnych artefaktów i budowlanych śmieci. W kącie stał gipsowy model starożytnego miasta, pokryty pęknięciami; obok walały się obrazy w złoconych ramach, ich płótna zgniłe i skurczone.

— W takich miejscach to tylko tanie horrory kręcić — mruknął Jarek, ostrożnie posuwając się naprzód.

Jego latarka wydobyła z mroku ciało. Trup leżał w nienaturalnej pozie — skóra blada, z zielonkawymi, łuskowatymi naroślami, szyja wykręcona pod niemożliwym kątem, głowa jakby wciśnięta w ramiona. Dolna część tułowia ginęła za rdzawo-brązowymi beczkami. A ta twarz... Boże, ta twarz — z otwartymi ustami w niemym krzyku i zapadniętymi oczodołami, w których czerniały węglowe źrenice.

Jarek dał znak pozostałym i już miał ruszyć dalej, gdy...

Trup drgnął.

Gwałtownie, spazmatycznie, jak marionetka na niewidzialnych sznurkach. Oczy-żarzące się węgle zapłonęły febrą. Ovitz momentalnie rzucił się za rozbite skrzydło starego samolotu, serce waliło mu jak młot.

Ciało zaczęło się wić, i wtedy Jarek zobaczył — nogi nieboszczyka zrosły się w coś potwornego: skorpioni ogon zakończony kostnym żądłem. Stopy, zniekształcone i zrośnięte, utworzyły śmiercionośny kolec.

— Co za pierdolony horror się tu odprawia? — wyrwało mu się.

„Człowiek-skorpion” (bo inne określenie temu koszmarowi nie przychodziło do głowy) uniósł głowę, wydając syczący dźwięk. I jak na komendę, zza ruin wypełzło jeszcze dwóch podobnych.

— Mówiłeś, że czysto? — doszedł szept Thiery’ego.

— Mówiłem „chyba”! — warknął Jarek, zaciskając dłoń na pistolecie.

— No świetnie, towarzystwo pierwsza klasa — mruknął naukowiec, cofając się powoli w stronę wyłomu.

Jarek przesunął dłonią po niemal pustym magazynku, licząc resztkę amunicji. Jego palce, zwykle precyzyjne przy przeładowaniu, teraz nerwowo stukały w metal.

„Cztery naboje. Cztery jebane naboje na całe to piekło.”

Rzucił okiem po pomieszczeniu, jego wzrok, ostry jak u głodnego wilka, szukał czegokolwiek pożytecznego wśród śmieci.

Na rozbitej skrzyni z narzędziami leżał topór. Stary, z drewnianym trzonkiem popękanym od czasu i szerokim ostrzem przeżartym rdzą. Ale w jego kształcie wciąż było coś z dawnej siły — ciężkiej, nieokrzesanej mocy stworzonej do rozłupywania.

— No to mamy chociaż to — warknął Ovitz, podnosząc broń.

Ostrze zaskrzypiało, gdy testował jego ciężar. Topór był solidny — z pięć kilogramów stali, która mogła rozłupać czaszkę albo przeciąć kość bez mrugnięcia okiem. Rdza chrupnęła pod palcami, ale metal nie był zgniły — jeszcze posłuży.

— No co, staruszku — mruknął, przejeżdżając kciukiem po stępionym ostrzu, — czas znów się wykazać.

Thiery, kulejący z zabandażowaną ręką, uśmiechnął się krzywo:
— Serio? Zamierzasz walczyć z tymi kreaturami tym złomem?

Jarek tylko chrząknął, wykonując próbny zamach. Topór zawył w powietrzu.
— Lepszy złom niż gołe pięści. A ty, mózgowcu, może weźmiesz skalpel? Dla symetrii.

Joan, grzebiąca w apteczce przy ścianie, podniosła głowę:
— Jak już skończycie się mierzyć... narzędziami, to mamy tu coś lepszego.

Wyciągnęła z pudła szablę.

Magazyn ożywał wokół nich — każdy przedmiot, dziesiątki lat leżący bezużyteczny, teraz zyskiwał nowe znaczenie. Nawet rozbita gablota podarowała im kilka metalowych prętów, które Thiery natychmiast zaczął owijać taśmą, tworząc improwizowane włócznie.

Cień uśmiechu przemknął po zwykle ponurej twarzy Cole’a:
— Muzeum eksponatów wojennych. Bierzemy, co się da.

Jarek już przywiązywał topór do pasa, jego palce szybko zaciskały węzły:

— Tylko żeby następny eksponat nie okazał się żywy i nie spróbował dodać nas do swojej kolekcji.

Gdzieś w głębi budynku coś huknęło — głuchy, odległy dźwięk, ale wystarczająco głośny, by wszyscy zamilkli i chwycili za broń. Nawet zardzewiały topór w dłoni Ovitza nagle wydał się kiepskim pocieszeniem.

Thiery westchnął, poprawiając okulary:
— Naprawdę myśleliście, że dadzą nam chwilę wytchnienia?

Skorpionoludzie zastygli, ich pokręcone ciała naprężyły się, a ogony z kostnymi żądłami drżały w oczekiwaniu ataku. Ich oczy — czarne jak smoła — wpatrywały się nieruchomo w oddział.

Cole cofał się powoli, przyciskając do stosu skrzyń.
— Opcje? — szepnął.

Joan, blada, ale skupiona, ściskała w dłoniach szablę znalezioną wśród muzealnego złomu. Ostrze było stare, ale ostre — najwyraźniej kiedyś część jakiejś ekspozycji.
— Możemy spróbować je rozdzielić. Odciągnąć część.

Thiery spojrzał na nią, potem na szablę.
— Daj mi.

Wziął broń, czując chłód metalu. Myśli wirowały mu w głowie:
"To szaleństwo. Nie jestem żołnierzem. Jestem naukowcem. Ale jeśli nie ja — to kto?"
— Ja je odciągnę. Uciekajcie do wyjścia.

Cole chciał zaprotestować, ale Thiery już ruszył do przodu. Pobiegł wzdłuż ścian, szabla migotała w świetle latarni.
— No dalej, ścierwa, który pierwszy?! — wrzasnął, wymachując klingą.

Skorpionoludzie zasyczeli, część odwróciła się i zaczęła pełzać za nim. Thiery skręcił w stronę kotłów i toalet — wąska przestrzeń, gdzie mógł je choć trochę powstrzymać.

Oparł się plecami o masywny, zardzewiały kocioł, szabla gotowa do ciosu.
— No dalej!

Ale skorpionoludzie nagle zastygli. Ich oczy rozszerzyły się. Potem gwałtownie zawrócili i odpełzli, jakby czegoś się przestraszyli. Thiery uśmiechnął się drwiąco.
— Co, wystraszyliście się?

Wtedy jednak usłyszał. Warkot. Głuchy, jak praca silnika parowego. Powoli się odwrócił.
Kocioł, przy którym stał, drgnął. Zardzewiałe śruby zaskrzypiały, metal wygiął się — a spod wanny wysunęło się sześć pajączych nóg, długich, segmentowanych, pokrytych smarem.

Z góry, z włazu, uniosło się coś. Tułów — tłusty, obwisły, pokryty bliznami i strupami. Głowa — wkręcona w coś przypominającego stary hełm nurka, ale zamiast szyb — krwistoczerwone soczewki.

Na plecach — butle gazowe, połączone rurami z czymś, co terkotało jak maszyna parowa. A w rękach...
Gwoździomet. Długi, zardzewiały, z wystającymi z lufy odłamkami metalu. Thiery zastygł.
"To niemożliwe. To... to tylko kocioł. Stara, zardzewiała wanna. To... to..."

Ale oddychało. I patrzyło na niego. Myśli się pomieszały:
"Uciekaj. Uciekaj. Uciekaj. UCIEKAJ."

Rzucił się do tyłu, w stronę oddziału. Za nim zagrzmiało, zaskrzypiało — Tłusty Kocioł Parowy ruszył w pogoń. Gwoździomet zaczął się obracać, zawył, szykując się do strzału.

Thiery pędził przez labirynt muzealnych artefaktów, jego serce waliło tak mocno, że zdawało się rozsadzać klatkę piersiową. Za plecami huczało, skrzypiało i sapało — potwór nie ustępował ani na krok. Jego sześć odnóży z łoskotem wbijało się w betonową podłogę, zostawiając za sobą dziury wielkości pięści.

— Uciekajcie! To... to cholerstwo nie do opisania! — wrzasnął Thiery, wpadając do głównej sali, gdzie czekał oddział.

Cole błyskawicznie ocenił sytuację:
— Ovitz — lewa flanka! Joan — na podwyższenie! Thiery — do mnie!

Ściany sali zadrżały, gdy potwór wtargnął za Thierym. Gwoździomet zawył przeciągle, i pierwsza salwa gwoździ przeleciała z świstem nad głowami bohaterów, wbijając się w marmurowy posąg za nimi.

— Ognia! — warknął Cole.

Sala wypełniła się hukiem strzałów. Kule odbijały się od zardzewiałego pancerza-kotła, zostawiając tylko rysy na metalu. Hełm potwora był niewiarygodnie wytrzymały — nawet snajperski strzał Joan zrobił tylko wgniecenie. Karabin Kristensena zacinał się coraz bardziej z każdym strzałem.

— Cholera, to nie działa! — zaklął Ovitz, wymieniając magazynek.

Thiery, ciężko dysząc, zauważył słaby punkt:
— Plecy! Widzicie regulator ciśnienia i rury? To jego słaby punkt!

Cole skinął głową:
— Ovitz, odciągaj uwagę! Joan, szykuj się do strzału!

Jarek z dzikim uśmiechem chwycił puste puszki po konserwach:
— No, Tłusty Kocie Parowy, łap prezenciki!

Zaczął rzucać puszki na oślep, wywołując hałas. Potwór, niczym wściekły byk, odwrócił się w stronę dźwięku, a jego gwoździomet zawył, przygotowując się do strzału.

Joan już wspinała się na ruiny zniszczonej rzeźby „Robotnik i kołchoźnica”. Karabin Kristensena — ich ostatnia nadzieja — ciężko oparł się na jej ramieniu.

Joan wycelowała. Palec na spuście. Klik. Zaciągnięcie się broni.
— Cholera!

Potwór zaczął się odwracać. Joan gwałtownie przeładowała broń. Jeszcze jedna próba.

Strzał. Regulator ciśnienia pękł z sykiem. Z uszkodzonych rur buchnęła gorąca para, spowijając bestię białym obłokiem. Zwierz ryknął z bólu, jego ruchy stały się chaotyczne.

— Działa! — wrzasnął Thiery.

Ale potwór nie poddawał się. W furii zaczął niszczyć wszystko wokół, jego gwoździomet strzelał na oślep, gwoździe wbijały się w ściany, roztrzaskując resztki witryn.

Cole dostrzegł szansę:
— Teraz koktajl Mołotowa! W układ parowy!

Thiery rzucił butelkę prosto w rozdarte rury. Ognista eksplozja rozświetliła halę. Na sekundę zapadła cisza... A potem — ogłuszający wybuch.

Tłusty Kocioł Parowy zadrżał, jego metalowe ciało zaczęło żarzyć się do czerwoności. Z głośnym zgrzytem runął na podłogę, jego kończyny drgnęły konwulsyjnie i zastygły.

— No... to było interesujące — przerwał milczenie Ovitz, ocierając pot z czoła.

Joan schodziła z postumentu, jej ręce drżały. Karabin Kristensena — ostatnia pamiątka po poległym towarzyszu — był beznadziejnie zniszczony. W milczeniu odrzuciła go na bok.

Thiery, wciąż trzęsąc się z adrenaliny, opadł na kolana:
— Ja... ja nigdy czegoś takiego nie widziałem. To... to przeczy wszelkim prawom biologii...

Joan podeszła do niego, wyciągając rękę:
— Ale teraz wiemy, że kula w łeb nie zawsze działa. Dobra robota, profesorze.

Cole oglądał szczątki potwora:
— Ruszamy dalej. Jeśli tu są takie... rzeczy, to co czeka nas przed sobą?

Ovitz prychnął:
— Mam nadzieję, że coś mniej obrzydliwego. Chociaż... wątpię.

Ciąg dalszy:
Ledwo odsapnąwszy po walce z Tłustym Kotłem Parowym, oddział nawet nie zdążył przeładować broni. W powietrzu wciąż unosił się gryzący dym z eksplodowanych butli gazowych, gdy zza stosu gruzów wypełzły skorpionoludy. Ich ruchy były błyskawiczne, jakby nie szły, a ślizgały się po podłodze.

Pierwsza ucierpiała Joan. Jeden z potworów rzucił się na nią z nieludzką prędkością. W ostatniej chwili odskoczyła, ale szponiaste łapy i tak wbiły się w jej ramię, rozrywając mięśnie. Krew trysnęła na podłogę, a potem stało się coś przerażającego — czaszka bestii z trzaskiem rozłupała się na pół, odsłaniając wirujące jak piła łańcuchowa kostne płytki. Wgryzły się w jej bok, wyrywając kawały ciała.

— KURWA! — ryknął Jarek.

Jego topór błysnął w mdłym świetle latarek, zataczając śmiertelny łuk. Stal wbiła się w ciało z mokrym chrupnięciem. Skorpion zawył, ale Ovitz już zamachnął się ponownie.

Drugie cięcie — jeszcze wścieklejsze.

Topór wbił się w szyję bestii, odrąbując głowę. Czaszka z „piłą” odleciała w bok, przez chwilę jeszcze bezsilnie zgrzytając zębami. Ciało drgnęło i runęło, zalewając podłogę czarną mazią.

Cole wypatrzył schody — wąskie, żelazne, prowadzące na górę.
— Tam! Szybko! — warknął, chwytając ranną Joan za zdrowe ramię.
Thiery bez słowa podtrzymał Joan. Jej ręka była ciepła i lepka od krwi.
— Trzymaj się — szepnął, czując, jak jej oddech staje się urywany.

Skorpiony atakowały ze wszystkich stron. Jeden wpił się w nogę Cole’a, ale ten, nie zwalniając, wpakował mu trzy kule. Ale jeden z potworów skoczył na Ovitza od tyłu. Jarek ledwo zdążył się odwrócić — i wbił topór prosto w rozwartą czaszkę bestii.
Ostrze utknęło w kości.

— Kurwa mać!

Szarpnął — nie dało rady. Nie ma czasu. Rzucił topór, zostawiając go tkwiącego w głowie potwora, i sięgnął po pistolet.

Drzwi. Zardzewiałe, z odpryskującą farbą. Thiery uderzył w nie ramieniem, czując, jak pod skórą nabrzmiewają siniaki.

— Wchodzimy!

Ostatni wpadli Cole i Ovitz. Drzwi zatrzasnęły się w chwili, gdy kolejny Skorpion rzucił się w ich stronę.

Uderzenie. Jeszcze jedno. Drewno trzeszczało pod naporem szponów.

— Zablokować! — Jarek rozejrzał się za czymś ciężkim.

Cole już ciągnął masywną szafę, jego mięśnie paliły się od wysiłku. Kolejny cios — i z drzwi wystrzelił ostry kolec. Ale było za późno. Szafa runęła, szczelnie zamykając przejście.

Ovitz szedł ostatni, nie spuszczając wzroku z drżących drzwi. „No i chujowy dzień” — mruknął, zaciskając dłoń na karabinie. Gdzieś w głębi duszy już wiedział — te drzwi nie wytrzymają.

Krew Joan sączyła się między palcami Thiery’ego, ciepła i lepka. Zaciśnięte zęby powstrzymywały jęk, ale każdy krok kosztował ją wysiłek. Cole prowadził grupę — amunicji było mało.

Jarek zamykał pochód.

Sala okresu jurajskiego powitała ich lodowatą ciszą. Potężne żebra allozaura, sterczące z postumentu, przypominały klatkę, w którą zagnał ich los.

Thiery wlókł Joan, jej nogi ciągnęły się po podłodze, zostawiając krwawą smugę. Twarz miała białą jak kreda, usta zaciśnięte w cienką linię. Drżącą dłonią wbiła sobie w udo strzykawkę ze środkiem przeciwbólowym, nawet nie tłumiąc jęku.

— Trzymaj się, siostrzyczko — szepnął Jarek, ale jego głos brzmiał pusto.

Ból ustępował falami, pozostawiając po sobie tylko tępy ciężar. Joan zamknęła oczy — przed powiekami tańczyły czarne plamy. Zlepione potem i brudem rude kosmyki przywarły do czoła.

I wtedy — jęk. Głuchy, przeciągły, jakby sama ziemia skrzypiała pod ciężarem nieznosnego cierpienia. Potem — zgrzyt.

Zgrzyt metalu po betonie. Coś ogromnego wlecze się za nimi korytarzem. Cole gwałtownie uniósł dłoń — stop.

Wszyscy zastygli. Oddech. Tylko oddech. I ten zgrzyt. Bliżej. Coraz bliżej.

— Przygotujcie się — syknął Cole, zaciskając palce na nożu. Thierry, nie odrywając wzroku od ciemnego korytarza, podsunął swoją strzelbębrzuch Ovitz.

Stanęli plecami do siebie, tworząc ostatni krąg obrony.

A potem głos z ciemności:
— Tutaj, szybko!

Chrapliwy szept dobiegł z mrocznego przejścia — ledwo widoczne drzwi ochrony, ukryte między gablotami. Cole rzucił w tamtą stronę podejrzliwe spojrzenie. Pułapka? Ale alternatywa była tylko jedna — zostać i spotkać to twarzą w twarz...

— Ruszamy — skinął głową.

Poderwali się, ciągnąc Joan za sobą.

Pokój był mały, przepełnionym zapachem potu. Jedynym źródłem światła — migocząca lampa na stole, rzucająca drżące cienie.

Człowiek w głębi, ukryty w mroku, uniósł dłoń:
— Cicho. Ani słowa.

Jego głos był zużyty, jak stare radio. Thiery powoli zamknął drzwi, zaskoczył zamek. W ścianie widniały dziury po kulach — ślady dawnej walki. Przez szczelinę w rozwalonym murze Cole obserwował korytarz z lodowatą uwagą. Jego palce wpiły się w cegły, zostawiając na zakurzonej powierzchni krwawe ślady. Serce waliło tak głośno, że zdawało się, iż lada moment zdradzi ich obecność.

Z mroku wynurzył się On.

Trzymetrowy kolos w zbroi sczerniałej od czasu i czegoś bardziej złowrogiego. Pancerz, niegdyś lśniący w słońcu, pokrył się patyną wieków i dziwnymi, organicznymi naroślami — jakby metal zrastał się z ciałem. Na ramionach — popękane naramienniki z wyrytymi krzyżami, teraz zniekształconymi i zbezczeszczonymi. Czaszka zamiast twarzy, puste oczodoły, w których tlił się krwawy ogień.

Jego miecz — ogromny, o poszarpanym ostrzu — żłobił w kamiennej posadzce bruzdy, iskry sypały się przy każdym kroku. Ale najstraszniejsze były jego ruchy — mechaniczne, nienaturalnie płynne, jakby nie był istotą żywą, tylko ożywionym posągiem, poruszanym przez jakąś niepojętą moc.

I wtedy — pisk.

Skorpion, w końcu wyważając drzwi, wpadł do sali, przewracając po drodze muzealne gabloty. Stróż-Krzyżowiec zastygł. Jego czaszka powoli odwróciła się w stronę intruza. Z gardła wydobył się dźwięk — coś między zgrzytem metalu a przedśmiertnym rzężeniem. Ten dźwięk wbił się w umysł Cole'a, pozostawiając jedno jasne przekonanie: będzie go słyszał w koszmarach do końca życia.

Skorpion, oślepiony wściekłością, nie dostrzegł zagrożenia. Z dzikim rykiem rzucił się na giganta, żądło lśniąc jadowitą wilgocią.

Reakcja Krzyżowca była błyskawiczna. Jego żelazna dłoń chwyciła ogon z taką siłą, że kości zatrzeszczały. Skorpion zawył, bezsilnie szarpiąc się w stalowym uścisku.

Wtedy Krzyżowiec zrobił coś potwornego.

Schował miecz do pochwy.

Z chirurgiczną precyzją zaczął wykręcać ogon. Mięśnie darły się, ścięgna pękały z mokrym trzaskiem. Gdy okrwawiony ogon wreszcie się oderwał, Stróż-Krzyżowiec cisnął nim w ścianę — dokładnie tam, gdzie krył się oddział. Krew rozprysła się na kamieniach, kilka kropel spadło Cole'owi na twarz. Nie odważył się ich zetrzeć.

Nawet pozbawiony żądła, skorpion wciąż się szarpał. Wtedy miecz znów pojawił się w dłoni giganta. Jedno cięcie — i ciało rozpadło się na pół. Górna część jeszcze przez chwilę drgała w żelaznej rękawicy, zanim runęła na podłogę jako bezkształtna masa.

Chwila absolutnego horroru. Gdy puste oczodoły hełmu zwróciły się w stronę ich kryjówki, Cole zrozumiał prawdziwe znaczenie słów „strach ma twarz". To była twarz samej Śmierci — bezlitosnej, nieubłaganej, prastarej. Wiedział: jeśli ich znajdzie, czeka ich coś gorszego niż śmierć.

Ale nagle z sąsiedniej sali dobiegł huk. Głowa Krzyżowca drgnęła. Przez moment stał nieruchomo, po czym zawrócił i odszedł, jego zbroja skrzypiąc, a miecz wlokąc za sobą krwawy ślad.

Cole nie odważył się poruszyć jeszcze przez długie dziesięć sekund po tym, jak kroki umilkły. Dopiero wtedy pozwolił sobie na oddech — i uświadomił sobie, że cały czas wstrzymywał powietrze.
— Odszedł... — mruknął Cole, wciąż ściskając broń. Jego głos brzmiał głucho, jakby sam nie wierzył, że potwór naprawdę się wycofał.

Z najciemniejszego kąta, gdzie mrok gęstniał najbardziej, dobiegł obcy głos:
— Kiedyś był kustoszem tego muzeum.

Oddział drgnął, lufy natychmiast skierowały się w stronę źródła dźwięku. W półmroku ledwo widoczna była ludzka sylwetka, skulona wśród gruzu.

— Nawet po przemianie wciąż pamięta o swoich obowiązkach — ciągnął nieznajomy.
Dziwne stworzenie powoli uniosło błoniaste łapy. Jego szczeliny skrzelowe drżały, gdy z wysiłkiem wydusiło z siebie:

— Ja... was nie tkne — wyszeptało. Jego głos był chrapliwy, ale słowa wypowiedziane wyraźnie. — Nie jestem jak oni. Proszę... Nie róbcie tego...

Głos brzmiał bolesnie, jakby każdy dźwięk sprawiał mutantowi fizyczny ból. Ślina spływała po jego ostrych zębach, ale nie było w tym agresji — tylko męcząca walka, by mówić.

— Ovitz, odstaw! — Cole wciąż nie opuszczał broni, ale w jego głosie zabrakło pewności. Myśli wirowały: A jeśli Thiery ma rację? Jeśli to nowa sztuczka, podstęp, by zwabić ich w pułapkę?

Jarek nie usłyszał rozkazu. Jego palec nerwowo drgał na spuście, wzrok wbity w ohydną kreaturę.
— Cyk i do nieba — mruknął, już rozpoczynając płynny nacisk.

W ostatniej chwili Joan rzuciła się do przodu, odtrącając lufę w górę. Strzał huknął, roztrzaskując migającą żarówkę. Odłamki szkła deszczem posypały się na podłogę.

— Debile! On nas uratował! — Jej głos drżał z wściekłości. Stanęła między mutantem a Jarkiem, rozkładając ręce, jakby osłaniała stworzenie.

— Ta, żeby potem nas pożreć — burknął Jarek, ale już z mniejszą pewnością. Jego wzrok biegał między Joan a potworem, wyczekując podstępu.

— On mówi! Więc wciąż ma w sobie resztki ludzkiego rozumu! — Joan ciężko oddychała, przyciskając dłoń do rany na boku. — Odkręćcie wreszcie te swoje jebane mózgi!

Cole powoli opuścił lufę, nie odrywając wzroku od mutanta.
— Jarek, odłóż broń — tym razem w jego głosie brzmiała niepodważalna komenda.

Po męczącej pauzie grubas niechętnie opuścił karabin. Jego palce wciąż kurczowo ściskały broń, ale strzał nie padł.

Mutant ciężko oddychał, jego skrzela drżały. W jego czarnych oczach mignęło coś... ulga? Wdzięczność? A może tylko gra światła na wilgotnej powierzchni tych dziwnych oczu?

Stworzenie westchnęło — dźwięk był mokry, chrapliwy, jakby jego płuca w połowie zamieniły się w skrzela.

— Proszę... nie bójcie się mnie. — Jego głos brzmiał nienaturalnie, jakby każde słowo wymagało walki, przeciskając się przez zniekształcone struny głosowe.

Obejrzał swoje dłonie, zamknął oczy — gest zbyt ludzki jak na taki wygląd.

Cole opuścił broń, ale palce wciąż ściskały kolbę.

— Co... a raczej kim ty jesteś?

Stworzenie zawahało się, jego głowa drgnęła, jakby wspomnienia wbijały się w mózg jak szpilki.

Cole nawet się nie odwrócił:

— Ovitz, starczy.

— Starczy?! — Jarek zerwał się na równe nogi, zaciskając pięści. — Straciliśmy już trzech naszych! Mało nam było tego wariackiego dziadka, a teraz ciągniemy ze sobą to... to coś?!

Meduza ani drgnął, ale jego macki lekko się naprężyły.

— Nie jestem „czymś”.

— Zamknij się! — Jarek zrobił krok do przodu. — Nawet nie jesteś człowiekiem! Jesteś... pomyłką natury!

Thiery, do tej pory milczący, nagle stanął między nimi:

— Ovitz, przesadzasz.

— No tak, jasne! — Jarek parsknął. — Żabojad broni żaby. Jak uroczo.

W pokoju zapanowała cisza.

Cole w końcu się odwrócił. Jego wzrok był zimny jak stal.

— Ovitz. Ostatnie ostrzeżenie.

Jarek przez chwilę wpatrywał się w dowódcę, potem w Meduzę.

„Wybierze jego. Gdy przyjdzie co do czego – wybierze jego, nie nas.”

— No dobra, dobra... — machnął ręką i odszedł na bok.

Ale w jego oczach płonęła tylko jedna myśl:

„Mam cię na oku, potworze.”

Meduza opuścił głowę.

— Rozumiem jego strach — szepnął cicho.

— Nie tłumacz się — ostro przerwał Cole. — Jesteśmy drużyną. Wszyscy.

Jarek zaciął zęby.

„Nie. Nie wszyscy.”

Ciemny korytarz wiodący do pokoju ochrony oddychał wilgocią i ciszą. Ściany, niegdyś białe, pokryły się pleśnią i pęknięciami, przez które przebijały się cienkie korzenie dziwnej roślinności. Latarnie, skąpo oświetlające drogę, wyłapywały z mroku odpryskującą farbę i ślady pazurów — może ludzkich, a może już nie.

— Tutaj — głos Meduzy brzmiał jak zakłócony radiowy sygnał. Wskazał macką na drzwi z połamaną tabliczką „Ochrona”. — Zbierałem... co się dało.

Drzwi zaskrzypiały, odsłaniając niewielkie pomieszczenie zastawione regałami i skrzyniami. Powietrze było tu nieco czystsze, ale wciąż przesiąknięte zapachem leków i kurzu.

Pokój wyglądał, jakby ktoś próbował go uporządkować, ale ręce „sprzątającego” nie były do końca ludzkie. Na stole, zawalonym pustymi puszkami i szmatami, stała równo ułożona bateria latarek. Obok — kilka butelek wody ustawionych w rzędzie, jak na sklepowej półce. Na ścianie wisiała mapa muzeum, pokryta notatkami i strzałkami — Meduza wyraźnie studiował to miejsce.

— Starałem się... — mruknął, jakby przepraszał za bałagan.

Cole rozejrzał się po pomieszczeniu, jego wzrok ślizgał się po stosach szmat, puszkach z podejrzaną cieczą i porozrzucanych narzędziach. Chaos był, ale czuć w nim system — jak w legowisku zwierzęcia, które wciąż próbuje żyć, a nie tylko przetrwać.

Jarek od razu skierował się w głąb pomieszczenia, gdzie stały skrzynie z amunicją. Przeszukiwał je, aż natrafił na paczkę z nabojami śrutowymi. Na jego twarzy pojawił się rzadki uśmiech.

— No w końcu — potrząsnął pudełkiem, a śrut wesoło zabrzęczał w środku. — Stary KS-23 znów zanuci.

Tymczasem Thiery przeszukiwał zapasy medyczne — bandaże, środki odkażające, nawet trochę morfiny. Wszystko było zebrane starannie, ale z wyraźnymi śladami improwizacji — niektóre fiolki były podpisane odręcznie, inne przelane do byle jakich pojemników.

— Sam to wszystko zbierałeś? — zapytał, podnosząc zakrzywioną buteleczkę z mętnym płynem.

Meduza skinął głową, jego macki nerwowo błądziły po krawędzi stołu.

— Tak... Było trudno. Ale nie... nie chciałem umrzeć.

Joan tymczasem znalazła zapas jedzenia — konserwy, suchary, nawet kilka batonów czekoladowych. Wszystko było ułożone z pedantyczną wręcz starannością, jak na „czarną godzinę”. Która, najwyraźniej, już nadeszła.

Cole stał przy mapie, analizując notatki. Meduza znał to miejsce lepiej niż oni. I, sądząc po wszystkim, nie tylko się tu krył — przygotowywał się.

„Na co?” — przemknęło przez myśl Cole’owi, ale nie zadał pytania na głos. Niektóre odpowiedzi lepiej poznać w swoim czasie.

Jarek ładował broń, jego palce wprawnie wsuwały naboje do magazynku. Już prawie zapomniał, jak to jest — trzymać w dłoniach prawdziwą broń, a nie bezużyteczny kawał żelaza.

Thiery patrzył na Meduzę, na jego schronienie, na ślady desperackiej walki o zachowanie porządku w tym chaosie. I po raz pierwszy od dawna poczuł coś innego niż odrazę. Szacunek.
Pokój ochrony nie był zwykłym magazynem. Był ostatnią ostoją kogoś, kto odmówił przemiany w potwora. Nawet gdy cały świat wokół dawno już nim się stał.
Meduza stał nieruchomo, jego macki lekko drżały, a oczy — dziwne, czarne — patrzyły na nich z niepokojącą powagą.

— Jesteście tu ze względu na dziewczynkę? — jego głos brzmiał nienaturalnie, ale wyraźnie.

Cole zmarszczył brwi. Pytanie zaskoczyło go.

— Jaką dziewczynkę? — przeniósł wzrok na resztę, szukając potwierdzenia, że też nie rozumieją, o co chodzi. — O czym ty mówisz?

Meduza powoli pokręcił głową, jego macki nerwowo się zwinęły.

— Widziałem, jak przebiegała tędy dwunastoletnia dziewczynka.

Joan gwałtownie się do niego odwróciła, jej oczy rozszerzyły się.

— Jesteś pewien? — głos jej zadrżał. — Może ci się przywidziało? Dorosłym ledwie udaje się tu przetrwać, a co dopiero dzieciom...

Thiery, dotąd milczący, nagle prychnął.

— Nikt tu nie oglądał „Obcego”? — nerwowo poprawił okulary. — Bo to brzmi jak początek bardzo złego horroru.

Meduza zmarszczył się (o ile pozwalała na to jego twarz) i gwałtownie wskazał macką w stronę kratki wentylacyjnej.

— Nie, mówię wam, widziałem ją! W muzeum! — jego głos stał się twardszy. — To nie wytwór mojej wyobraźni. Wypełzła z tej wentylacji.

Wszyscy spojrzeli na kratkę. Metal był wygięty, jakby uderzono go od środka. Cole poczuł, jak po plecach przebiega mu dreszcz.

— I gdzie poszła? Widziałeś?

Meduza spuścił wzrok.

— Pobiegła w stronę sali rycerskiej.

W powietrzu zawisła cisza.

— Tam jest niebezpiecznie — dodał cicho. — Chciałem ją zawołać, ale...

Gestem wskazał na siebie — na swoją zieloną skórę, macki, nienaturalne rysy.

— Mój wygląd tylko by ją przestraszył jeszcze bardziej.

Thiery ciężko westchnął.

— Czyli mamy dwa wyjścia: albo ten gość naprawdę widział dziewczynkę i musimy ją znaleźć...

— ...albo oszalał, i tak musimy to sprawdzić — dokończył Cole.

Joan naprężyła się.

— A jeśli to pułapka?

— Wtedy — Cole przeładował broń — i tak musimy iść.

Ciemność w muzeum nie była zwykłą nieobecnością światła — zdawała się namacalna, gęsta jak smoła, wypełniająca każdy zakamarek. Powietrze stało ciężkie, nasycone zapachem starej skóry, zardzewiałego metalu i czegoś... co łaskotało nozdrza, pozostawiając na języku posmak miedzi.

Latarki wyrywały z mroku dziwaczne kształty eksponatów. Po obu stronach wąskiego przejścia zastygły szkielety prehistorycznych gadów — ich puste oczodoły śledziły grupę, a długie cienie żeber drżały na ścianach, jakby stworzenia wciąż oddychały.

Ogromny tyranozaur, którego czaszka pokryta była dziwnymi naroślami przypominającymi koralowce, pochylał się nad przejściem, gotowy w każdej chwili ożyć i zacisnąć szczęki.

Thiery szedł, przywierając do ściany, jego palce nerwowo postukiwały o rękojeść szabli. Wzrok raz po raz ślizgał się w stronę Meduzy, który poruszał się nieco przed nimi, jego macki delikatnie poruszały się w powietrzu, jakby badając przestrzeń.

„Mówi, że pamięta siebie jako człowieka... Ale co zostało z niego w tym ciele? I co naprawdę czuje, patrząc na nas?" — myśli pulsowały w głowie Thiery'ego jak boląca rana.

Meduza nagle się zatrzymał, jego zielonkawa skóra pokryła się fioletowymi plamami — oznaka poddenerwowania.

— „Puzon, tu Flet. Odbiór!"

Cisza. Tylko trzask zakłóceń, jakby coś ogromnego i niewidzialnego oddychało w eterze, tłumiąc każdy sygnał.

— Cholera! — rzucił radiostację na kamienną podłogę. Odbijając się, wydała żałosny pisk i potoczyła się do stóp Thiery'ego.

Francuz, kucając, już majstrował przy swoim przenośnym skanerze. Ekran migotał, zalewając jego zapadniętą twarz niebieskim światłem.

— To nie są zwykłe zakłócenia… — mruknął, przebierając drżącymi palcami po ustawieniach. — To… system. Celowe zagłuszanie. Ktoś — albo coś — nie chce, żebyśmy nawiązali łączność.

Joan, przyciskając do siebie dziewczynkę, odwracała jej wzrok od porozrzucanych w kącie kości — ostatnich „eksponatów" pozostawionych przez poprzednich gości tej sali.

— Cicho, cicho… Wszystko będzie dobrze… — szeptała, ale jej własne ręce drżały.

Meduza nagle wzdrygnął się. Jego macki naprężyły się, a cętkowana skóra pokryła się drobnymi pęcherzykami — oznaka alarmu.

— Coś tu jest… — zasyczał, powoli odwracając się w stronę rzędu manekinów.

I wtedy Cole zauważył — jeden z „manekinów" stał… nie tak. Jego postura była nienaturalna. Między nieruchomymi figurami coś drgnęło.

Ledwo dostrzegalne. Prawie wyimaginowane. Ale manekiny nie powinny oddychać. I już na pewno nie powinny powoli odwracać głów w stronę żywych. Cole uniósł powoli karabin.
— Nie ruszajcie się… — wyszeptał.

Ale było już za późno.

Wystąpiły z cienia — szarofioletowe, ze skórą przypominającą żyłkowany marmur. Ich ciała były kobiece, ale zniekształcone, jakby ulepione z gliny przez szalonego rzeźbiarza. Długie kończyny, zbyt giętkie, zbyt płynne.

Ich twarze…

Nieskazitelne jak antyczne posągi, ale pozbawione powiek. Oczy — ogromne, czarne, bez źrenic — śledziły oddział z zimną ciekawością. A usta… usta były zbyt szerokie, zbyt wilgotne, jakby właśnie oblizane w oczekiwaniu.

Ale najgorsze były pasożyty.

Jeden — gruby, ścięgnisty wyrostek wrośnięty w prawą rękę — zamienił ją w coś pomiędzy kleszczem a biczem. Drugi — wyłaził z pleców, wijąc się jak wąż, z ostrym, kościanym grotem na końcu.

Poruszały się w rytm oddechu nosicieli, jak odrębne istoty.

— Brońcie McFadden i dziecka! — warknął Cole, cofając się w ich stronę.

Pierwszy hybryd zaśmiał się. Dźwięk był miękki, melodyjny — i przez to jeszcze bardziej przerażający. Jej „kleszczowa” ręka uniosła się, i w tej samej chwili reszta ruszyła do ataku.

Jarek strzelił pierwszy. Śrut uderzył w pierś najbliższej bestii, ale ta tylko zachwiała się, jak po lekkim pchnięciu. Z rany bryznęła czarna, gęsta maź.

— W głowę! Celujcie w głowę! — wrzeszczał Thiery, odskakując od biczującego wyrostka, który przeleciał centymetr od jego twarzy.

Cole wycelował i pociągnął za spust. Głowa hybryda eksplodowała jak przejrzały owoc. Ciało zatrzęsło się, ale nie upadło. Pasożyt na plecach zaszamotał się, zasyczał — i kontynuował atak, jakby działał samodzielnie.

Joan osłaniała dziewczynkę, strzelając z pistoletu. Jeden z pocisków trafił bestię w oko, a ta zawyła — dźwięk jak skrobanie nożem po szkle.

Meduza rzucił się naprzód, jego macki owinęły się wokół jednego z hybrydów, wyrywając pasożyta z pleców. Ten zaskrzeczał, zatrzepotał — i eksplodował, oblewając wszystko dookoła żrącym śluzem.

— Trzeba odstrzeliwać te pasożyty na plecach! — krzyknął Jarek, przeładowując strzelbę.

— To rozwalajmy je na kawałki! — odparł Cole, wpijając serię w następny cel.

Sala zamieniła się w piekło.

Zbroje spadały ze ścian, szyby pękały, a hybrydy wciąż szły, śmiejąc się, szepcząc, całując powietrze swymi krwawymi ustami. Jeden z nich, wijąc się szarofioletowym ciałem, runął na Meduzę, jego pasożytnicza kleszcza z chrzęstem łamała wszystko na swojej drodze.

Hybryd rozpostarł macki — muskularne i sprężyste, z błoniastymi przejściami między segmentami, gdzie pulsowały fioletowo-żółte żyły.

Pasożyt zaatakował pierwszy. Kościany wyrostek świsnął w powietrzu, celując w głowę.

Zielone ciało Meduzy wygięło się z nienaturalną plastycznością. W tej samej chwili macka opleciona wokół „kleszczy", a druga uderzyła w pierś hybryda z siłą tysięcy woltów.
Ciało bestii zatrzęsło się w konwulsjach, skóra sczerniała w miejscach kontaktu. Z jej ust wydobył się nieludzki wrzask.

Ale pasożyt się nie poddawał. Drugi wyrostek z pleców hybryda wygiął się jak wąż i wbił Meduzie w bok.

Gęsta czarna krew trysnęła na kamienną podłogę.

Meduza warknął, jego źrenice- szparki zwęziły się do niteczek. Otworzył szeroko paszczę — i wypluł chmurę kwasu prosto w twarz przeciwnika.

Skóra hybryda pęczniała, złaziła płatami, odsłaniając mięso i kość. Ale bestia, jakby nie czując bólu, rzuciła się do przodu, próbując wbić zęby w szyję.
Macki Meduzy wbiły się w ciało hybrydy jednocześnie. Elektryczny łuk przeszył ciemność sali błękitnym zygzakiem.
Hybryd rozerwał się od środka, kawałki mięsa rozbryzgując po ścianach. Pasożyt jeszcze przez kilka sekund drgał na podłodze, aż Meduza zmiażdżył go potężnym uderzeniem.

Z wijącego się w agonii odrostu ciągnął się gryzący dym. Meduza otarł śluz z ust, jego klatka piersiowa ciężko falowała.
Walka grzmiała jak piekielna symfonia.

Hybrydy nacierały, ich szaro-fioletowe ciała wiły się między pancerzami, szponiaste pasożyty waliły w powietrze, zostawiając w kamieniu głębokie blizny. Joan osłaniała dziewczynkę, jej pistolet grzmiał raz za razem, ale kule zdawały się tylko drażnić bestie, a nie zabijać.

I nagle... Dziewczynka krzyknęła.

Nie krzyk strachu — nie. To był pisk, przenikliwy, zwierzęcy, jakby zdzierano z niej skórę bez noża.

Joan się odwróciła — i zobaczyła.

Oczy dziecka zbielały, źrenice rozlały się jak atrament w wodzie. Skóra zaszeleściła, pokrywając się fioletowymi żyłkami. Palce wyciągały się, łamały, przekształcając w coś ostrego, chitynowego.

— Nie... — wyszeptała Joan, cofając się, niemal padając na kolana. — Nie, nie, nie...

Ale dziewczynka nie była już dziewczynką.

Jej szczęka opadła, rozdarła się po bokach, odsłaniając dwa rzędy ostrych jak brzytwa zębów. Z pleców wyrwało się coś — długi, giętki odrost, zwieńczony kostnym ostrzem.

I spojrzała na Joan. Głodnie. Nienawistnie.

— Lilith... — imię utknęło Joan w gardle.

Mutant uniósł szpon — i runął na nią. Joan zamknęła oczy, szykując się na cios.

Ale zamiast bólu — huk uderzenia w metal.

— No kurwa... Co za dzieciaki teraz chodzą!

Jarek wpadł między nie, podstawiając strzelbę pod cios. Szpon chwycił lufę, ściskając metal.

— Nie, suko, to moje!

Strzał na wprost.

Głowa mutanta eksplodowała, rozpryskując się krwawą mgłą. Ciało drgnęło, zastygło — i zwaliło się, obryzgując Joan czarną mazią.

Jarek przeładował strzelbę, plując na zwłoki.

— Wychowanie — gówno. Od razu widać.

Joan nie drgnęła. Patrzyła na to, co minutę temu było dzieckiem.

Na to, czego nie zdołała uratować.

Cisza w rycerskiej sali wydawała się nienaturalna po tym, co się właśnie rozegrało. Powietrze było gęste od zapachu prochu, krwi i czegoś jeszcze — czegoś żywego, co powoli rozkładało się na kamiennej posadzce.

Joan stała oparta o ścianę, jej palce wciąż ściskały pistolet, ale wzrok był pusty. Patrzyła na swoje dłonie — te same, które trzymały dziewczynkę. Zanim stała się czymś innym.

— Hej, siostra.

Szorstki głos Jarka wyrwał ją z odrętwienia. Stał przed nią, jego twarz była porysowana, ale w oczach nie było zwykłego sarkazmu.

— Żyjesz? — zapytał, ale nie z przekąsem, tylko z czymś, co mogło być troską.

Joan powoli skinęła głową.

— Tak... po prostu...

— Po prostu chuj, nie "po prostu" — przerwał, wciskając jej manierkę. — Pij. I nie zawracaj sobie głowy. Widzieliśmy gorsze gówno.

Skłamał. Nie widzieli. Ale Joan wzięła manierkę i pociągnęła łyk. Ogień w gardle przywrócił ją do rzeczywistości.

Thiery siedział na podłodze, rozkładając przed sobą sprzęt. Jego palce drżały, ale myśli pracowały z zimną precyzją.

— Nie przebijemy zagłuszenia zwykłą metodą — mruknął. — Ale jeśli stworzymy falę przeciwną...

Jego wzrok padł na Meduzę.

Macki mutanta wciąż drgały, pokryte słabymi wyładowaniami.

— Meduza... — Thiery wstał. — Twoje macki. Czujesz impulsy elektryczne, tak?

Mutant powoli skinął głową.

— A gdyby tak coś wypróbować? — Thiery już grzebał w plecaku, wyciągając kable i przenośny nadajnik.
— Możemy użyć ciebie jako anteny. Wytworzysz impuls, który stłumi zagłuszenie.

Cole podszedł bliżej.
— Czy to zadziała?
— Teoretycznie.
— A praktycznie?

Thiery spojrzał na Meduzę.
— Będzie bolało.

Mutant uśmiechnął się szyderczo.
— Coś nowego?

Przewody oplotły macki, nadajnik zapiszczał. Meduza zacisnął powieki, jego ciało naprężyło się.
— Gotów? — spytał Thiery.
— Jedziemy.

Impuls. Najpierw cichy pomruk, potem ostry skok energii. Meduza drgnął, jego macki rozbłysły niebieskim światłem, jak miniaturowe błyskawice.
— Teraz! — wrzasnął Thiery.

Cole włączył radiostację.
— Puzon, tu Flet! Odbiór!

Cisza. Potem — trzask. W końcu — głos.
— Flet, tu Puzon. Słyszysz was!

Sygnał znów zaszumiał. Meduza nagle zaczął drżeć, jego macki zesztywniały w spazmie. Jego organizm pracował na granicy wytrzymałości.
— Nie wytrzyma długo! — krzyknęła Joan.
— Trzymaj się — mruknął Thiery, nie odrywając wzroku od mutanta. — Jeszcze chwila…

Ale Meduza już osuwał się na kolana. Komunikator rzęził w zakłóceniach. Ostatnie, co zdążył przekazać Cole, to współrzędne dachu muzeum.

Potem połączenie się urwało. Cole spojrzał w sufit.
— Dach. Śmigłowiec będzie czekał na dachu.

Nadzieja. Była krucha, niepewna, ale była. I na razie to wystarczało.

Cień wysokich sklepień muzeum padał na Meduzę, który klęczał, zgarbiony. Jego zielonkawa skóra, zwykle mieniąca się fioletowymi i żółtymi plamami, teraz wydawała się matowa, niemal szara. Macki, niegdyś silne i giętkie, zwisały bezwładnie wzdłuż pleców jak otrute węże. Oczy — duże, czarne jak u rekina — były zamglone, a wzrok błądził gdzieś pomiędzy rzeczywistością a koszmarem.

Mruczał.

Strzępki słów, bezładne zdania, szept w języku, którego nikt poza nim nie rozumiał. Czasem drgał, jakby w jego umyśle rozbłyskiwały jaskrawe obrazy — ulice miasta, twarze ludzi, mutacja, ból, strach, a potem… pustka.

Jarek stał nad nim, przeładowując strzelbę. Metaliczny klik zamka zabrzmiał zbyt głośno w tej ciszy. Jego palce zacisnęły się na broni. Wzrok był zimny, wyrachowany.

— Zrobił swoje — mruknął, bardziej do siebie niż do reszty.

Jarek powoli wycelował mu w głowę.

— Teraz czas na odpoczynek.

— JAREK, NIE!

Głos Joan zabrzmiał jak bat. Wystąpiła naprzód, stając między nim a Meduzą. Jej twarz była blada, ale nie ze strachu — z wściekłości.

— Odbija ci kompletnie?! Właśnie dał nam szansę, żeby wydostać się z tego piekła!

Jarek nie opuszczał lufy.

— To hybryda, Joan. Jebana hybryda! Skąd mamy wiedzieć, że po tych wszystkich eksperymentach nie ma w głowie kompletnego burdelu?!

— Walczył za nas!

— A za chwilę może rzuci się na nas!

Stali naprzeciw siebie, napięcie między nimi naciągnięte jak lina przed zerwaniem.

Meduza ledwo drgnął, jego usta poruszyły się.

— …nie… dotykajcie… nie…

Głos był dziwny, ledwo słyszalny.

Jarek zmarszczył brwi. Joan nie ustępowała.

— Jesteś tak pochłonięty nienawiścią, że nie potrafisz zaakceptować, że ktoś może być inny niż ty?

— Jestem realistą, droga. A realizm podpowiada mi, żeby nie ufać temu stworzeniu.

— Po prostu się boisz.

Jego oczy zwęziły się.

— Nie wtrącaj się nie w swoje sprawy, siostrzyczko.

— A ty nie baw się w Boga, żołnierzu.

Nawet powietrze zdawało się zastygać. Jarek pierwszy odwrócił wzrok.

— Niech cię.

Gwałtownie opuścił strzelbę, ale palce wciąż zaciskały się na kolbie, jakby w każdej chwili gotowe były podnieść broń.

— Ale jeśli choć raz drgnie nie tak…

Joan nie odpowiedziała. Po prostu uklękła przy Meduzie, ostrożnie unosząc jego głowę.

— Trzymaj się… — szepnęła. — Nie zostawimy cię.

Ciemne korytarze muzeum zdawały się nie mieć końca. Ściany, ozdobione wyblakłymi freskami, patrzyły na nich pustymi oczodołami rozmytych farb. Powietrze było ciężkie, przesycone zapachem wilgoci i starego drewna.

Oddział posuwał się ostrożnie, krok za krokiem, nasłuchując każdego szelestu.

Meduza szedł z tyłu, jego macki lekko drżały. Oczy, zwykle bystre i czujne, teraz wydawały się zamglone. Chwiał się, jakby był pijany, jego myśli plątały się, przeskakując z jednego koszmarnego obrazu na drugi.

Thiery zwolnił, podchodząc do niego.

— Dajesz radę?

Meduza powoli skinął głową.

— Mój umysł… jak mgła. Ale wciąż jestem w formie.

Thiery położył mu dłoń na ramieniu — gest, którego nigdy wcześniej by sobie nie pozwolił.

— W zasadzie uratowałeś nas. Twoje zdolności… są bezcenne. Jarek po prostu…

— Nienawidzi mnie — syknął Meduza. — I rozumiem go. Sam nienawidzę tego, czym się stałem.

Jego głos zadrżał.

— Ale mam nadzieję… że w bazie znajdą antidotum.

Thiery ścisnął jego ramię.

— Zrobię wszystko, co w mojej mocy. Onirique Industries to najlepsze laboratorium na świecie. Tam ci pomogą.

Meduza nie odpowiedział. Ale w jego oczach, na moment, mignęło coś, co przypominało nadzieję.

Joan szła na przedzie, jej palce kurczowo ściskały pistolet. Rzucała trujące spojrzenia na Jarka, który zdawał się specjalnie stąpać głośno, uderzając butami o posadzkę.

Jarek odwrócił się, jego twarz wykrzywiła grymas. Cole, idący między nimi, nagle się zatrzymał.

— Dość.

Jego głos nie podniósł się, ale zabrzmiała w nim taka stal, że nawet Jarek drgnął.

— Jesteśmy już prawie u celu. Jak się wydostaniemy — możecie się nienawidzić do upadłego. Ale teraz — ogarnijcie się.

Joan odwróciła wzrok. Jarek prychnął. Thiery westchnął. Meduza tylko wpatrywał się w podłogę.

I wtedy, jakby na przekór ich nadziejom, budynek zadrżał. Gdzieś w dole coś ogromnego się poruszało. Cole uniósł karabin.

— Biegiem.

I pobiegli. Na dach. Do ratunku. Do ostatniej szansy, by wydostać się z tego miasta koszmarów.

Cienie długimi palcami czepiały się ścian opuszczonego muzeum, gdy oddział przedzierał się w kierunku schodów na dach.

Weszli do sali z głównym eksponatem — ogromnym drakkarem wikingów, jego sczerniałe burty wznosiły się ku sufitowi, jak statek-widmo, zatrzymany w wiecznej podróży.

I wtedy — świst. Krążek z szlifierki, wirujący z szaleńczą prędkością, przeleciał przez powietrze i strącił głowę najbliższemu posągowi. Gipsowy tors runął z głuchym łomotem.

— Kryć się! — warknął Cole, odciągając Joan za masywną gablotę.

Z ciemności wynurzyły się trzy postacie.

Ludzie-gwoździe. Kiedyś byli ludźmi. Może robotnikami, monterami, stolarzami. Teraz ich ciała stały się chodzącymi warsztatami koszmaru.

Skóra — brunatna, popękana, jak stara tynkowana ściana. Z niej sterczały gwoździe, wbite głęboko w ciało, jakby ktoś składał ich kawałki na szybko. Ręce — jedna przekształcona w piłę, której zęby stały się częścią kości. Druga — w wkrętak, wrośnięty w przedramię, z ostrzem zamiast palców. Ale najgorsze były brzuchy.

Klatki piersiowe rozwarły się, odsłaniając drugie paszcze – ogromne, najeżone zardzewiałymi gwoździami zamiast zębów. Z ich gardeł sączył się żółty śluz.
Pierwszy ruszył do ataku, piła zawyła, rozcinając powietrze.

Cole przykuł się do ziemi, seria z automatu przeszyła pierś potwora, ale ten nie zwolnił. Thiery cisnął probówką z kwasem – ciecz rozpłynęła się po twarzy gwoździarza, lecz ten tylko się zaśmiał, jego szczęka odpadła, odsłaniając kostną piłę w głębi gardła. Wtedy Thiery wpakował mu w głowę kilka kul z pistoletu i stworzenie z hukiem zwaliło się na plecy.

Jarek zawrzał.

— No dość tego pierdolenia!

Jego implanty zabuczały, hydraulika w ramionach i plecach wrzuciła pełną moc. Mięśnie napęczniały, skóra naprężyła się, blizny zapłonęły od wysiłku. Runął do przodu.

Gwoździarz zamachnął się piłą – ale Jarek złapał jego rękę i zmiażdżył w swojej dłoni. Kość chrupnęła, metal wygiął się pod naciskiem.
— DAWAJ JESZCZE!

Trzeci cofnął się, jego śrubokrętowa ręka drżała. Cole wycelował.

— Jarek, padaj!

Seria przeszyła czaszkę ostatniego gwoździarza. Tamten runął, rozchlapując czarną mazię.

Chwila oddechu. Tylko ciężki oddech i krew kapająca z piły. Jarek wyprostował się, jego implanty stygnące syczały parą.

— No to co, kto następny?

Joan wyjrzała zza osłony, mocniej ściskając torbę medyczną. Cole przeładował automat.

Mroczne wody przeszłości zamknęły się nad nimi, gdy oddział wkroczył do Halu Dawnych Oceanów. Ściany, zdobione skamieniałymi spiralami amonitów, zdawały się oddychać wiekową tajemnicą. Gabloty, niegdyś prezentujące cuda głębin, teraz były roztrzaskane, a ich zawartość – rozrzucona po podłodze, jakby ktoś w szale przeszukiwał szczątki.

Meduza szedł ostatni. Jego macki, zwykle płynnie poruszające się, teraz drgały jak porażone prądem. Skóra, pokryta fioletowo-żółtymi plamami, pulsowała pod strzępami ubrania, a oczy – te same, w których tliła się jeszcze iskra człowieczeństwa – zaciągały się mętną mgłą.

Szarpnął się nagle, jakby uderzył w niewidzialną ścianę. Jego macki zwinęły się, pazury wbijając we własne skronie.

— „A-a-a-a…”

To nie był krzyk. Raczej… jęk, wydarty z głębi zmutowanej gardzieli.

Cole odwrócił się:

— Jan? Co z tobą?

Przed jego oczami przepłynęły kolory, obrazy, głosy – tysiące, miliony, zlewające się w jeden nieludzki ryk.

— „Jak ja się cieszę, jak ja się cieszę, mam rzęsistka wieszcze, a za nim gonogok, hop-skok!” — jego głos brzmiał zbyt piskliwie, zbyt histerycznie, jakby przepuszczony przez maszynkę do mięsa obłędu.

Ovitz uśmiechnął się krzywo, wymienił spojrzenie z Joan i pokręcił palcem przy skroni.

— No i po ptakach. Nasz stworek odleciał na dobre.

Thiery spiął się, jego oczy biegały po ciele Meduzy, notując zmiany:
Łuski twardniały. Pazury wydłużały się.

Małe kostne kolce przebijały się przez czaszkę. Jego naukowy umysł analizował gorączkowo: „Impulsy elektryczne? Efekt uboczny połączenia? A może… może on naprawdę traci siebie?”
Joan ścisnęła apteczkę, ale nie odważyła się podejść.
Meduza zachwiał się, jego ciało zmieniało się w oczach. Cole ostrożnie postąpił krok, wyciągnął dłoń:

— „Jan, trzymaj się…”

Dotyk. Meduza wzryknął.

Jego oczy – czarne jak otchłań, bez śladu rozumu – wbiły się w Cole’a. Szczęka rozwierała się nienaturalnie szeroko, zęby błysnęły.

Ovitz podniósł strzelbę, celując między oczy:

— „Mówiłem… mówiłem, kurwa…” — jego głos dzwonił od złośliwej satysfakcji i strachu jednocześnie.
Ale w ostatniej chwili…
Meduza drgnął. Przytomność wróciła.

— „C… co?” — rozejrzał się, jakby dopiero się obudził. Oddychał ciężko, jak po maratonie, i wyszeptał:

— „Przepraszam… To… to skutki tamtego połączenia, kiedy używali mnie jako anteny. Nie… nie wiem, jak długo jeszcze wytrzymam.”

Joan podbiegła, wstrzyknęła środek uspokajający:
— „Nie jesteś sam. Nie damy ci się zgubić.”

Ovitz prychnął, nie opuszczając broni:

— „Jak coś – nie martw się. Będzie szybko. To ci gwarantuję…”

Meduza westchnął, dotknął nowych kolców, zaciśniętą pięść otwierał i zamykał, jakby sprawdzał, ile w nim jeszcze zostało człowieka. Potem Cole skinął głową:

— „Dobra, ruszamy. Na dach."

Noc była przejrzysta, niemal nienaturalnie czysta. Nad głowami rozpościerał się gwiezdny całun – zimny, obojętny, piękny w swoim kosmicznym dystansie. Kopuła obserwatorium, niegdyś okno na Wszechświat, teraz była tylko stertą potłuczonego szkła i pogiętej stali.

Koł stał na krawędzi dachu, jego palce kurczowo ściskały radiostację. Cisza w odpowiedzi. Tylko wiatr poruszał strzępami kabli zwisających ze zniszczonej anteny.

Thiery, oparty o resztki parapetu, nerwowo stukał palcami w obudowę swojego skanera.

— Powinni już tu być… — mruknął, rzucając spojrzenie na zegarek.

Jarek siedział na skrzyni, jego zwykle szydercze spojrzenie stało się ostre, czujne. Metodycznie sprawdzał broń – naboje do strzelby, dwa pistolety, nóż.

— Jeśli te skurwysyny znów nas zawiodą…

I wtedy – rozległ się odległy, ale tak upragniony warkot.

Najpierw – tylko wibracja w powietrzu. Potem – migocząca kropka na horyzoncie. W końcu – wyraźny zarys śmigłowca, rozcinającego nocną ciemność. Na twarzach pojawiła się ulga.

Jarek już widział przed oczami, jak urządzi im piekło na bazie. Jak będzie wrzeszczał na te tyłowe szczury, sprawi, że pożałują dnia, w którym wysłali ich w to piekło.

Koł w myślach układał listę pytań, które wymagały odpowiedzi. Kto wiedział o meteorycie? Kto wydał rozkaz? Dlaczego zostawili ich bez wsparcia?

Śmigłowiec się zbliżał. I wtedy – oślepiający błysk z sąsiedniego dachu.

— RPG! — zdążył krzyknąć Koł.

Rakieta, ciągnąc za sobą smugę dymu, uderzyła w tylną część śmigłowca. Eksplozja. Kula ognia rozświetliła noc, zasypując iskrami dach muzeum. Fala uderzeniowa wstrząsnęła ścianami, resztki szyb w kopule obserwatorium wypadły z głośnym brzękiem.

Rozległ się pisk. Przenikliwy, mrożący krew w żyłach.

Z okien strychu, z szybów wentylacyjnych, ze wszystkich szczelin budynku wypłynął rój zmutowanych nietoperzy. Ich ciała, nienaturalnie duże, pokryte wrzodami i naroślami, migały w świetle pożaru jak koszmarne widma.

— Kołem! — warknął Koł, cofając się do środka dachu.

Oddział zwarł szyki. Jarek pierwszy otworzył ogień – strzelba wypluła ładunek, rozrywając jedną z bestii na strzępy. Thiery, schylony, próbował osłonić głowę – jego skaner nie miał już znaczenia. Joan strzelała krótkimi, precyzyjnymi seriami, ale nietoperzy było za dużo.

Resztki ogona śmigłowca zwaliły się na kopułę obserwatorium, zamieniając ją w stertę poskręcanego metalu. Gdzieś w dole, na sąsiedniej ulicy, rozległa się nowa eksplozja – to spadł sam śmigłowiec.

Płomienie oświetliły dach, i w ich blasku stało się jasne – są otoczeni. Nietoperze krążyły nad nimi, zlewając się w jedną, pulsującą masę. Koł przeładował automat.

— No dobra… Nowy plan. Przeżyć.

Jarek wyszczerzył zęby.

— Genialne, szefie. Konkretniej?

Ale czasu na odpowiedź już nie było. Pierwsza fala bestii ruszyła do ataku.

Meduza przyjął ich pierwszy. Jego macki rozbłysły na niebiesko, a w powietrze uderzyły błyskawice. Pierwsze stworzenia zaczęły dymić, spadając jak kamienie, ale reszta się nie zatrzymała. Wbiły się w jego plecy, szpony darły cętkowaną skórę, zęby wżerały się w ciało.

Jarek i Joan stanęli ramię w ramię, tworząc żywą tarczę.
— Trzymaj się! — krzyknęła Joan.

Strzelba Ovitza grzmiała, rozrywając na strzępy wszystko, co zbytnio się zbliżyło. Joan strzelała krótkimi, celnymi seriami, oszczędzając amunicję.

— Pilnuj pleców! — warknął Jarek, odkopując nogą rozszarpaną bestię.

Koł i Thiery bronili się przy wejściu na klatkę schodową.

— Musimy odciąć im drogę! — krzyknął Koł, rozwalając kolejnego hybryda, który próbował podejść z flanki.

Thiery, drżącymi rękami, wyciągnął ostatnią butelkę z mieszanką zapalającą i cisnął ją w sam środek stada. Podpalone bestie wydały przeraźliwy, przedśmiertny wrzask. Ovitz pierwszy stracił nerwy.

— KURWA!

Jego głos rozdarł ciszę, odbijając się echem od pustego nieba. Kopał trupa hybryda, raz za razem, aż kości zatrzeszczały pod butem.

— Kto, suka, kto?! — odwrócił się, podnosząc strzelbę, jakby oczekiwał, że wróg wyskoczy zza dymiących gruzów. Ale nikogo nie było. Tylko ogień, dym i szczątki ich ostatniej nadziei.

Szok i krew.

Meduza siedział oparty o szyb wentylacyjny. Jego macki drżały, elektryczna maź sączyła się z ran, mieszając z ciemną krwią.

Joan przycisnęła do jego pleców ostatni bandaż, ale wiedziała – to nie wystarczy.

— Wytrzymaj… — szepnęła, jej oczy biegały po niebie, jakby czekała, że wrócą. Że to jeszcze nie koniec.

Thiery powoli obchodził miejsce upadku ogona śmigłowca. Metal skrzypiał pod stopami, w zwęglonym poszyciu wciąż tliły się iskry.

— Musimy się przedostać na sąsiedni dach… — mruknął, spoglądając na wąskie przejście między budynkami.

Niebezpieczne. Niepewne. Ale nie mieli wyboru.

Cole stał na krawędzi, jego wzrok sunął po martwym mieście. Ktoś nie chciał, żeby odeszli.
Ktoś wiedział, że tu są. Pytania wirowały w głowie, ale odpowiedzi nie było. Tylko jeden jasny obraz:

Komisariat. Trzy przecznice stąd. Broń. Amunicja. Szansa na przeżycie.

Odwrócił się do reszty.

— Słuchajcie wszystkich.

Głos twardy, dowódczy.

— Idziemy na komisariat. Tam będzie broń. Tam będzie szansa.

Jarek zmęczono się zaśmiał:

— A potem co?

Cole nie odpowiedział. Bo prawda była prosta:

Nie wiedzieli.

Ale stać tu — znaczyło umrzeć. Cole szedł pierwszy, jego kroki były ciężkie. Każdy oddech palił płuca, każdy krok bolał. Ale zatrzymać się nie wolno.

— Strych przed nami — rzucił, wskazując na półzniszczone drzwi, z których jeszcze niedawno wylatywały te skrzydlate bestie.

Joan, przytrzymując zranione ramię, skinęła głową. Jej twarz była blada, ale w oczach tliła się iskra determinacji.

— Może tam być coś przydatnego.

Jarek, zwykle uszczypliwy i sarkastyczny, milczał. Jego pięści były zaciśnięte, wzrok wbity w ciemność. Wiedział — jeśli się zatrzymają, to koniec.

Meduza, z poszarpanymi mackami i głębokimi zadrapaniami na grzbiecie, szedł ostatni. Jego elektryczne wyładowania przygasły — energia była na wyczerpaniu.

Drzwi na strych zaskrzypiały, ustępując pod uderzeniem ramienia Cole’a. W środku panował mrok, przesiąknięty zapachem zgnilizny i starego drewna. Snopy światła latarek wydobyły z ciemności stosy gruzu, rozbite skrzynie, strzępy tkanin... I trupa.

Mężczyzna, postawny, w dresie, który kiedyś mógł być czerwono-niebieski, a teraz stał się szaro-brudną mazią. Jego ciało było ogryzione — żebra sterczały spod rozdartej skóry, dłonie niemal nie istniały.

Ale w jednej z nich — łom. Thiery podszedł bliżej, jego oddech przyspieszył. Pochylił się, ostrożnie rozwarł zesztywniałe palce i chwycił narzędzie. Metal był zimny, ciężki.

"Naukowiec walczący z potworami łomem..."

Myśl wydała mu się absurdalna.

"Gdzieś już to widziałem..."

W jakiejś grze z dzieciństwa. W tej, w którą grał, gdy świat jeszcze wydawał się prosty.

Ale tytuł nie przychodził do głowy.

— No to co, teraz jesteś naszym specjalistą od rozłupywania czaszek? — zażartował Jarek, ale w jego głosie zabrakło zwykłej kąśliwości.

Thiery tylko mocniej ścisnął łom.

— Lepiej to niż nic.

Przy trupie leżała skrzynka. W niej — kilka nabojów, apteczka z niemal pustymi fiolkami, zardzewiały nóż. Nie bogato, ale zawsze coś. Cole zebrał wszystko do plecaka, jego ruchy były mechaniczne.

— Musimy przedostać się na sąsiednie skrzydło.

Wszyscy skinęli w milczeniu.

Dach muzeum był labiryntem zniszczonych wieżyczek, zapadniętych stropów i czarnych przepaści. Każdy krok mógł być ostatnim. Jarek szedł pierwszy, sprawdzając drogę. Joan osłaniała tyły, jej pistolet drżał w dłoniach, ale palce nie puszczały broni. Meduza, mimo ran, skanował przestrzeń, jego macki czasem drgały, wyczuwając niewidzialne zagrożenia.

Thiery ściskał łom jak święty artefakt.

"Jeśli przeżyję, znajdę tę grę..."

Myśli były głupie, ale trzymały go w rzeczywistości.
Cole prowadził ich. Jego wzrok nie odrywał się od celu — sąsiedniego skrzydła, gdzie może był wyjście. Albo nowa pułapka. Ale zatrzymać się nie wolno.

Wiatr gwizdał między kamiennymi zdobieniami, zrywając z ust przekleństwa i unosząc je w czarne niebo. Dach pod nogami był zdradliwy — dachówka kruszyła się, metalowe belki skrzypiały pod ciężarem, jakby ostrzegając: jeden fałszywy krok, i lecisz w dół, w tę otchłań potłuczonych witraży i kości.

Cole przykucnął na samym skraju, oceniając odległość do sąsiedniego dachu.

— Dwa metry. Trzeba skoczyć.

Jarek prychnął, ściskając strzelbę:

— A jeśli nie doskoczymy?

— To przynajmniej nie trzeba cię będzie grzebać — burknął Thiery, poprawiając okulary. Jego palce nerwowo bębniły po łomie.

Joan, zaciąwszy zęby, pierwsza zrobiła krok do rozbiegu.

— Po kolei. Ja pierwsza.

Nie czekała na aprobatę. Zamach — i jej sylwetka na moment zawisła w powietrzu, jasna plama na tle czarnego nieba. Buty uderzyły z głuchym echem o przeciwległy dach, potoczyła się, tłumiąc impet, ale utrzymała równowagę.

— Czysto!

Reszta wymieniła spojrzenia. Taktyka była prosta: Żadnego pośpiechu. Jeden po drugim. Bez paniki. Gdy jeden skacze, reszta wypatruje nieba — nagle wrócą. Ostatni rzuca świecę dymną — jeśli hybrydy są blisko, światło i dym zmyli ich trop.

Cole skoczył jako drugi. Potem Thiery, o mało nie poślizgnąwszy się na krawędzi, ale Meduza złapał go macką. Jarek, zostając ostatnim, cisnął za sobą granat dymny i pognał naprzód. Pomarańczowy dym zakłębił się za jego plecami, zacierając ślady.

Sąsiednie skrzydło okazało się płaskim tarasem, zastawionym kratami wentylacyjnymi i starożytnymi antenami. W rogu czerniał otwór służbowego wejścia — drzwi z zardzewiałą kłódką.

Thiery przykucnął przed nimi, kręcąc w dłoniach łom. Stal zaskrzypiała, zasuwa nie od razu puściła. Za trzecim razem coś zaskoczyło w środku, a drzwi z ohydnym piskiem uchyliły się.

Cole pierwszy wsunął lufę w szparę, lustrując wnętrze.

— Czysto.

Techniczne pomieszczenie było zawalone skrzyniami z butwiejącymi papierami i zepsutymi urządzeniami.

Hybrydy tu były. Ale teraz ich nie widać. Schody w dół prowadziły na drugie piętro — w półmrok sal, gdzie coś poruszało się za każdym rogiem. Jarek wszedł ostatni, przyciągając za sobą drzwi.

— No to co, króliki, do nory?

Nikt się nie zaśmiał. Szli gęsiego, przyklejeni do ścian.

Cole — przodem, z karabinem gotowym do strzału. Joan — osłania tyły, Thiery i Meduza w środku — jeden z łomem, drugi wyczuwa zagrożenie skórą. Jarek — zamykający formację, z nożem i strzelbą.

Każdy krok był przemyślany. Każdy oddech — kontrolowany.

Cienie na ścianach drgały, ale to tylko wiatr. Schody, po których zespół schodził, skrzypiały pod ich stopami, każdy dźwięk wydawał się nienaturalnie głośny w tej grobowej ciszy.

Cole szedł pierwszy, jego karabin gotowy, wzrok nieustannie skanował przestrzeń. Poruszał się krótkimi zrywami — pięć kroków, pauza, przegląd, znów ruch. Taktyka doprowadzona do automatyzmu: nigdy nie zastygać w miejscu, ale i nie biec na ślepo.

Joan osłaniała tyły. Ciągle się odwracała, sprawdzając, czy coś nie pojawiło się za ich plecami. Jej palce nerwowo stukały po kolbie — nawyk, którego nie mogła się oduczyć nawet po latach służby.

Meduza szedł w środku grupy, jego macki lekko drżały, wyłapując najdrobniejsze drgania powietrza, palcami przebierał po strzępach rękawów marynarki.

— Ciszej — syknął nagle, i wszyscy zastygli. Gdzieś piętro wyżej wyraźnie rozległ się zgrzyt pazurów po metalu, potem — mokry charkot. Ale dźwięki oddalały się. Jarek, zamykający szyk, nerwowo się wiercił.

— Pierdolona wycieczka po muzeum horroru — mruknął, ale jego głos zabrzmiał nienaturalnie donośnie w tej ciszy. Cole gwałtownie się odwrócił, kładąc palec na ustach.

Pierwsze piętro przywitało ich przestronnym holem. Kiedyś pewnie tętniło tu życie — teraz tylko odłamki szkła chrupały pod butami, a na ścianach żarły się ślady pazurów.

— Wreszcie — Jarek postąpił ku masywnym drzwiom, zamachnął się do kopnięcia.

— Stój! — Meduza gwałtownie wysunął mackę, zatrzymując go. "Drzwi pod alarmem. Spróbujesz wyważyć — obudzisz całe muzeum."

Jarek spojrzał z obrzydzeniem na wyciągnięte macki Meduzy i odparł ostro.
— Nie waż się mnie dotykać swoimi cholernymi odrostami, brzydalu. Jeszcze raz coś takiego zrobisz, a ja ci je urwę!

Meduza, który do tej pory znosił wszystkie ostre żarty i nieprzyjemne uwagi Polaka pod swoim adresem, cicho warknął, patrząc Ovičowi prosto w oczy.
— Po pierwsze, mam na imię Jan, a nie brzydalu. Po drugie, gdyby nie moje „wyrostki”, już dawno byś nie żył...

Jarek uśmiechnął się, ale w jego oczach pojawiło się coś niebezpiecznego.

— Poradzilibyśmy sobie bez twojej pomocy. — Zrobił krok do przodu, świadomie naruszając przestrzeń osobistą mutanta. — I tak... Gdyby nie twoje macki, chłopaki z helikoptera nadal by żyli.

Cole wtrącił się między nich, zanim Jarek zdążył chwycić nóż.

— Ovitz, odsuń się! — jego głos był ostry jak brzytwa. — To nie Jan zestrzelił helikopter, tylko coś innego, do cholery.

Thiery podszedł już do panelu sterującego. — Dajcie mi minutę — zdjął okulary, przetarł je, potem uważnie zbadał obcy interfejs. Jego palce zawisły nad klawiszami. "Niestandardowy system... Ale spróbuję."

Cole zajął pozycję przy schodach, jego ramię przywarło do ściany, zapewniając stabilny punkt do strzału. "Joan, osłoń prawe skrzydło. Ovitz — pilnuj korytarza."

Jarek niechętnie zajął wskazane miejsce, jego palce niecierpliwie bębniły po kolbie. — Jak długo jeszcze z tym majstrować? Jesteśmy tu jak na widelcu.

— Ciszej — syknęła Joan. Gdzieś w głębi budynku coś upadło z głuchym łomotem. Wszyscy się naprężyli, ale dźwięk się nie powtórzył.

Thiery przejechał językiem po spierzchniętych wargach. — Jeszcze chwila... Chyba prawie mam... — Rozległ się cichy klik, a panel zamrugał na zielono. "Gotowe!"

Drzwi z cichym sykiem zaczęły się rozsuwać. Świeże nocne powietrze wdarło się do zastałego wnętrza, obiecując wolność.

I w tej chwili — cień runął z góry. Ziemia zadrżała pod ciężarem upadku.

Stanął przed nimi. Krzyżowiec.

Trzy metry zardzewiałej zbroi, wrośniętej w ciało. Miecz — ogromny, poszarpany, pokryty brunatnymi plamami krwi — zgrzytnął o kamień, krzesając iskry. Oddział zastygł. Nawet oddech zamarł.

Krzyżowiec podniósł głowę. Jego paszcza — rozwarła się w niemym ryku.
Zakłócili spokój. Teraz umrą.

Cole zareagował pierwszy:

— Rozchodzić się!

Oddział rzucił się w różne strony, gdy miecz wbił się w ziemię tam, gdzie stali. Kamienie rozleciały się odłamkami.

Jarek odtoczył się, wyrzucając strzelbę do strzału. Huk.

Śrut uderzył w pierś Krzyżowca, ale odskoczył, zostawiając tylko rysy na zbroi.

— Kurwa!

Joan przykucnęła za odłamkiem kolumny, celując w szczelinę między płytami. Dwie kule. Jedna — rykoszet. Druga — trafiła. Krzyżowiec zawył, odwrócił się do niej.
Thiery rzucił granat ogłuszający.

Eksplozja wstrząsnęła powietrzem, cały oddział zatkał uszy. Była nadzieja, że olbrzym na chwilę straci orientację.

Ale bez sensu. Krzyżowiec tylko się otrząsnął, lewa ręka drgnęła. Kości zatrzeszczały, skóra pękła, odsłaniając krwawą tkankę.
W sekundę ręka przekształciła się w gigantyczne kleszcze, najeżone kolcami. Zamachnął się. Joan nie zdążyła odskoczyć. Cios trafił w żebra, odrzucając ją przez całą salę.

Walnęła o ścianę, ktryśnęła krwią z ust. Cole rzucił się ku niej, ale Krzyżowiec już odwrócił się do Thiery'ego.

Kleszcze chwyciły go za nogę, uniosły. Thiery wrzasnął, sięgając po nóż. Meduza skoczył naprzód, macki rozbłysły elektrycznością.
Raził raz za razem, macki owijały się wokół zbroi, przepalając metal. Krzyżowiec postąpił naprzód, miecz świsnął, przecinając powietrze nad jedną z macek. Wbił pazury w jego czaszkę, rozjarzając ją od środka. Krzyżowiec zatrząsł się, oczodoły zapłonęły czerwienią. Przez moment wydawało się, że runie.

Olbrzym zawył, wypuścił Thiery'ego. Jarek strzelił mu w plecy. Znowu — zero efektu. Kleszcze zamachnęły się — i wbiły Meduzie w pierś. Krew trysnęła fontanną. Krzyżowiec odrzucił mutanta, odwrócił się, kleszcze chwyciły Cole'a za gardło. Uniosły. Ścisnęły.

— Cole! — Ovitz wypalił serię w oczodoły.

Stróż-Krzyżowiec ryknął, odrzucił Cole'a, ale kleszcze mutowały dalej — kolce wyrosły, stały się dłuższe. Szykował się do ostatniego ciosu.

Thiery, kulejąc, podniósł to, co znalazł na podłodze. Rycerski sztylet. Starożytny. Ale ostry. Rzucił się naprzód, wbił ostrze w szczelinę między płytami na plecach i przekręcił z chrzęstem. Tam, gdzie była mięso.

Stróż-Krzyżowiec zamarł. Miecz wypadł z jego dłoni, z hukiem uderzając o posadzkę. Szpon konwulsyjnie się zaciął… a potem rozpadł na kawałki.

Thierry chwycił potężny miecz potwora. Ostrze było nie do uniesienia, jakby wykute dla olbrzyma.

Krzyknął – z wściekłości, z rozpaczy, z bólu – i wbił ostrze w szyję potwora.

Cios.

Nie za pierwszym razem. Nie za drugim. Metal ślizgał się po zbroi, iskrzył, ale Thierry uderzał, aż ostrze w końcu przecięło ostatnie ścięgna.

Głowa odleciała, uderzyła o podłogę i potoczyła się, pozostawiając za sobą czarną mazi.

Olbrzym upadł na kolana, a potem — do przodu, jak ścięty dąb. Ciało wciąż drgało, ale były to już tylko odruchy martwego ciała.
Ciężki oddech. I krew kapiąca na kamienie. Joan z trudem podniosła się, przyciskając dłoń do złamanych żeber. Jarek nadal trzymał martwe ciało olbrzyma na celowniku.
Cole, pocierając gardło, podszedł do Thierry'ego i spojrzał na niego.

— Dobre pchnięcie.

Thiery skinął głową. Trząsł się.

Październikowa noc powitała ich lodowatym oddechem. Powietrze — ostre i świeże po zatęchłych korytarzach muzeum — paliło płuca, ale przyniosło też dziwną ulgę. Znów byli pod otwartym niebem, nie w kamiennej pułapce wypełnionej koszmarami.

Dziedziniec muzeum był dziwną mieszaniną zaniedbania i niedokończonych prac. Na środku, wśród zarosłego chwastami trawnika, stała półzniszczona fontanna — jej misa dawno wyschła, a po bokach leżały odłamki marmurowych ozdób. Obok leżało ogromne koło zębate, jakby część jakiegoś prastarego mechanizmu, porzucona tu do renowacji, ale nigdy niepodniesiona. Jej ząbkowane krawędzie rdzewiały w świetle księżyca, przypominając szkielet martwego giganta.

Nieopodal wyjścia wznosił się posąg — abstrakcyjna kompozycja, najpewniej przedstawiająca startującą rakietę. Jej stalowy szkielet połyskiwał w księżycowym blasku, a cień kładł się na ziemi długą, zniekształconą smugą, jakby ktoś zastygł w locie.

Cole nagle uniósł dłoń, sygnalizując zatrzymanie.

— Trzy kwartały do komisariatu. Szybko, cicho, bez zatrzymywania.

Jego głos był ochrypły, ale stanowczy. Ruszyli.

Marsz przez piekło.

Pierwsza ulica. Rozbite witryny, porzucone samochody, krwawe ślady na asfalcie. Biegli gęsiego — Cole na przedzie, Joan osłaniała tyły, Meduza i Thiery w środku, Jarek na skrzydle, jego strzelba gotowa.

Cień przemknął między budynkami. Wszyscy zastygli, przywarli do ściany.

— Cicho… — Cole zaciśniętą pięścią dał znak.

Ale bestia nie wyszła. Może ich nie zauważyła. Może coś ją odciągnęło. Biegli dalej.

Druga ulica.

Płonący wrak helikoptera. Zwolnili, nie wierząc własnym oczom. Wrak dymił, iskry strzelały z wygiętego kadłuba.

— Kto… kto to zrobił? — Thiery nie wytrzymał.

— Też chciałbym wiedzieć. — Cole ruszył naprzód.

Meduza został w tyle. Zatrzymał się, jego skrzela wciągały gryzący dym. Po raz pierwszy od miesięcy znalazł się na otwartej przestrzeni.

Przed katastrofą chował się w muzeum, bojąc się zarówno siebie, jak i tych na zewnątrz. A teraz...

W jego głowie zapłonęło żółte światło latarni ulicznych.

Ludzie. Śmiech. Warkot samochodów. Biegnie do pracy, w dłoni papierowy kubek z kawą. "U Marianny" — najlepsze espresso w mieście.

«Czy to naprawdę się wydarzyło? Czy może mi się śniło?»

Teraz szyld wisiał na jednym łańcuchu, skrzypiąc na wietrze. Za rozbitą szybą — przewrócone krzesło, ślady walki, zaschnięta krew na płytkach.

— Ja… tam zaglądałem. Brałem kawę — wyszeptał.

Podniósł dłonie — szponiaste, pokryte fioletową łuską.

Jak to się wszystko stało?

Wspomnienia rwały się jak taśma w starym magnetowidzie.

Siedzi przy tym samym stoliku przy oknie. Dziewczyna naprzeciwko uśmiecha się. Jej imię... jej imię...

Macki na jego plecach drgnęły, jakby reagując na ból w skroniach.

— Nie. Nie, nie, nie—

Szarpnął głową, czując, jak mózg próbuje się poskładać, ale kawałki nie pasują.

— Jan! — Joan chwyciła go za rękę. — Wszystko w porządku?

Wziął głębszy oddech, czując chłód jej palców przez łuski.

— Tak… Tak, jestem tu.

Ale gdy ruszyli dalej, ostatni raz spojrzał na kawiarnię.

Marianna...

Imię wypłynęło znikąd. Zawsze dodawała cynamon.

Trzecia ulica.

Gdy ukazał się komisariat — stary, ceglany budynek z wybitymi oknami i krzywą szyldem — rozległ się pisk.

Z bramy wyrwało się coś: niska istota z ciałem byka, ogromnymi przednimi łapami, które zdawały się wrastać w betonowe bloki, drapiąc paziurami asfalt.

— Biegiem! — wrzasnął Cole, odwracając się, by osłonić grupę.

Ruszyli w stronę drzwi komisariatu.

Jarek oddał kilka strzałów — spowolnił pościg. Joan pierwsza dotarła do drzwi, strzeliła do zamka — drzwi ustąpiły.

Zgrzyt ciężkich zawiasów rozległ się echem po pustych korytarzach, gdy grupa wcisnęła się do środka. Cole wpadł ostatni, z całej siły zatrzaskując za sobą metalowe drzwi i podpierając je masywną szafą. Joan natychmiast zabrała się za dodatkowe zasuwy — trzęsła się nie ze strachu, ale od adrenaliny wciąż buzującej w żyłach. Na zewnątrz coś waliło w ściany, skrobało pazurami po metalu… Ale drzwi wytrzymały.

W środku było ciemno, zakurzone i cicho. Cole oparł się o ścianę, zamknął oczy.

— Jesteśmy tu…

Ale pytanie wisiało w powietrzu: na jak długo?

Powietrze było tu zatęchłe, przepełnione zapachem starych dokumentów, kurzu i… niespodziewanie… bezpieczeństwa. Komisariat zdawał się zamrożony w czasie: komputery z rozbitymi monitorami, porozrzucane papiery, kubek z zepsutą kawą na jednym z biurek. Na ścianie wisiał kalendarz z datą sprzed dwóch tygodni katastrofy. Meduza, przyklejony do ściany, sunął wzdłuż pomieszczenia, jego macki drżały, wyłapując najdrobniejsze wibracje.

— Czysto — w końcu syknął.

Napięcie w ramionach Cole’a nieco opadło.

Schody do piwnicy skrzypiały pod ciężkimi krokami Ovitza. Latarka wydobyła z mroku masywne drzwi z napisem: „Zbrojownia. Tylko dla personelu”. Zamek puścił po dwóch celnych uderzeniach kolbą.

Thiery zastygł w progu, jego okulary odbiły migoczące światło latarki. Półki. Dziesiątki półek, zastawione bronią. Karabiny, pistolety maszynowe, strzelby — wszystko ustawione starannie, jakby czekało na swoją godzinę. Skrzynie z amunicją, stojaki z granatami, kamizelki taktyczne.

— Cholera jasna… — Jarek’s głos zadrżał z ulgą.

Sięgnął po najbliższą strzelbę SPAS-12, sprawdzając zamek. Metal błysnął w świetle latarki — czysty, nasmarowany. Natychmiast zamienił swoją starą KS-23 na nowy „słonobój”. Ktoś tu wyraźnie dbał o swój arsenał.

Thiery grzebał już w głębi, wyciągając kamizelki kuloodporne.

— Tutaj! Nowoczesne, z ceramicznymi płytami.

Zdjął okulary, przetarł je, po czym rzucił jedną kamizelkę Jarkowi.

— Dla Joan też weźmiemy. I więcej amunicji.

Tymczasem Jarek przeszukiwał szafki, wytrząsając zawartość na podłogę. Batony energetyczne, manierka z czymś mocnym, paczka papierosów — wszystko lądowało w jego plecaku.

— W tej sytuacji wszystko się przyda — mruknął, natykając się na pudełko z medykamentami. — O, to jest szczęście!

Na górze, w jednym z gabinetów, Joan rozłożyła na stole mapę miasta, zaznaczając trasę. Meduza stał przy oknie zabarykadowanym workami z piaskiem, jego macki od czasu do czasu drgały, ale nie wyczuwał zagrożenia.

Cole siedział na krawędzi stołu, jego karabin leżał obok — zawsze w zasięgu ręki. Powoli wycierał twarz szmatą, zmywając sadzę i krew. Po raz pierwszy od wielu godzin jego ramiona nieco się rozluźniły.

— Myślisz, że nas znajdą? — cicho zapytała Joan, nie odrywając wzroku od mapy.
Cole spojrzał na zaryglowane drzwi, potem na zabezpieczone okna. — Nie od razu. Mamy trochę czasu.
— Jego głos brzmiał spokojniej, niż się w rzeczywistości czuł.

Skrzypienie schodów zwiastowało powrót Ovitza i Thiery'ego. Jarek wszedł pierwszy, a jego twarz rozjaśnił rzadki uśmiech.
— Nie uwierzycie, co znaleźliśmy!
Rzucił na stół wiązkę granatów, a potem paczkę amunicji. Thiery w milczeniu położył przed Joan nową kamizelkę kuloodporną. — Przymierz, powinna pasować.

W kącie pomieszczenia Meduza nagle się spiął. Jego macki gwałtownie się wyprostowały. — Cicho — syknął. Wszyscy zastygli. Gdzieś w oddali, poza terenem bazy, rozległ się przeciągły, mrożący krew w żyłach wycie. Ale był daleko. Na razie daleko.

Cole powoli skinął głową. — Potrzebujemy odpoczynku. Potem ruszamy dalej. — Jego dłoń zacisnęła się na kolbie karabinu. Ta chwila wytchnienia była krucha — jak cienki lód nad przepaścią.

Oddział rozłożył się w dawnym gabinecie dowódcy — jedynym pomieszczeniu z zachowanymi drzwiami. Na podłodze, między porwanymi teczkami i pustymi łuskami, rozłożono śpiwory. Blady świat latarki, zawieszonej na hakach w suficie, rzucał tańczące cienie na ściany, gdzie wciąż wisiała popękana tabliczka: „Kapitan J. Parecki".

Cole drgnął we śnie, jego palce kurczowo ścisnęły broń. W koszmarze znów ich widział — żonę i syna, ich twarze wykrzywione przerażeniem w ostatnich chwilach. Potem obraz się zmienił — ich ciała zaczęły się nienaturalnie zrastać, drgać, kości łamać i przebudowywać, a skóra pokryła się pęcherzami. Trzy głowy, jedna nad drugą, wyrosły ze splątanych ciał, ich usta rozciągnięte w niemym krzyku. Potwór zaczął się czołgać w jego stronę, a on strzelał, strzelał, aż lufa stała się czerwona od żaru…

Obudził się z gwałtownym wdechem, cały zlany zimnym potem. Oczy dziko biegały po pomieszczeniu, aż w końcu zatrzymały się na sylwetce Jarka, siedzącego na odwróconej skrzynce z amunicją przy drzwiach.
— Znowu te sny? — Polak ochryple szepnął, nie puszczając strzelby. Jego twarz w przygaszonym świetle wyglądała jak wyrzeźbiona ze starego drewna — wszystkie zmarszczki i blizny stały się głębsze, ostrzejsze.
Cole powoli skinął głową, próbując opanować drżenie rąk. Wargi miał spierzchnięte, język przyklejony do podniebienia.
— Zostaną z nami na zawsze — Jarek podsunął mu paczkę papierosów. — Tak jak całe inne gówno w tym mieście.
Dowódca wziął papierosa drżącymi palcami. Pierwszy zaciąg przypalił płuca, ale przyniósł dziwne ukojenie. Dym kłębił się w powietrzu, mieszając z kurzem.

— Już raz popełniliśmy błąd — cicho zaczął Cole, wpatrując się w żarzący się koniec papierosa. — Pozwoliliśmy tym skurwysynom zdetonować bomby. A teraz… — zrobił pauzę, — teraz nie możemy pozwolić, żeby to, co się tu stało, wydostało się na zewnątrz.
Jarek milcząco przytaknął, jego oczy błyszczały w półmroku. Gdzieś za drzwiami rozległ się zgrzyt, ale obaj wiedzieli — to tylko stary budynek trzeszczał na wietrze.

W kącie pomieszczenia Thiery i Joan spali w śpiworach, ich oddech był równy, ale płytki — żołnierski sen, gotowy przerwać się w każdej chwili. Joan od czasu do czasu drgała, jej palce ściskały pistolet nawet we śnie.

Meduza drzemał przy przeciwległej ścianie, jego macki co jakiś czas drgały, wypuszczając małe iskry. Zielonkawo-fioletowe plamy na skórze pulsowały w rytm oddechu, jakby coś żywego poruszało się pod powierzchnią.

Na stole leżały resztki skromnej kolacji — puste puszki, porwane opakowania.
Sullivan nie mógł już zasnąć, więc uznał, że pora zająć się robotą. Siedział przy stole, jego palce powierzchniały po pożółkłych kartkach — tych samych dokumentach, które Joan dała mu w kanałach. Wtedy nie było czasu, żeby je czytać. Teraz — nie było wyboru.

Coś przeoczyli. Pierwsze strony — suche raporty.

Meteoryt. Spadł do morza. Naukowcy wydobyli fragmenty. Znaleźli coś w środku.

Słowo „patogen" powtarzało się raz za razem, ale połowa zdań była zamazana czarnym markerem.

Eksperymenty.

Fotografie: modliszki z powiększonymi szczękami, jaszczurki z dodatkowymi kończynami, szczury, których ciała pokryły się chitynowymi płytkami.

A potem — ludzie.

Cole przewrócił stronę — i jego palce zastygły.

„…Hyperion kontroluje projekt…"
„…Wirus Nowej Ziemi…"

Jego oddech zwolnił.
„Próbowali stworzyć szczepionkę?"

Ale dalej było gorzej.
„Ludzkość może stanąć w obliczu wymarcia w ciągu kilku pokoleń, jeśli wirusa nie da się zneutralizować…"

Następna strona.
Fotografie. Zdeformowani ludzie. A wśród nich — jedna teczka.

Anna Hutchins. 25 lat.
Opis mutacji:
Dzień 1: Wypadanie włosów.

Dzień 3: Zmiana pigmentacji skóry (fioletowe plamy).
Dzień 7: Rozrost dodatkowych włókien mięśniowych.
Dzień 14: Prawa ręka przekształciła się w mackowaty wyrostek.

Ostatnie zdjęcie.
To już nie było człowiekiem.

— Myślisz, że nas znajdą? — cicho zapytała Joan, nie odrywając wzroku od mapy.
Cole spojrzał na zaryglowane drzwi, potem na zabezpieczone okna. — Nie od razu. Mamy trochę czasu. — Jego głos brzmiał spokojniej, niż się w rzeczywistości czuł.

Skrzypienie schodów zwiastowało powrót Ovitza i Thiery'ego. Jarek wszedł pierwszy, a jego twarz rozjaśnił rzadki uśmiech.
— Nie uwierzycie, co znaleźliśmy!
Rzucił na stół wiązkę granatów, a potem paczkę amunicji. Thiery w milczeniu położył przed Joan nową kamizelkę kuloodporną. — Przymierz, powinna pasować.

W kącie pomieszczenia Meduza nagle się spiął. Jego macki gwałtownie się wyprostowały. — Cicho — syknął. Wszyscy zastygli. Gdzieś w oddali, poza terenem bazy, rozległ się przeciągły, mrożący krew w żyłach wycie. Ale był daleko. Na razie daleko.

Cole powoli skinął głową. — Dwie godziny odpoczynku. Potem ruszamy dalej. — Jego dłoń zacisnęła się na kolbie karabinu. Ta chwila wytchnienia była krucha — jak cienki lód nad przepaścią.

Oddział rozłożył się w dawnym gabinecie dowódcy — jedynym pomieszczeniu z zachowanymi drzwiami. Na podłodze, między porwanymi teczkami i pustymi łuskami, rozłożono śpiwory. Blady świat latarki, zawieszonej na hakach w suficie, rzucał tańczące cienie na ściany, gdzie wciąż wisiała popękana tabliczka: „Kapitan J. Parecki".

Cole drgnął we śnie, jego palce kurczowo ścisnęły broń. W koszmarze znów ich widział — żonę i syna, ich twarze wykrzywione przerażeniem w ostatnich chwilach. Potem obraz się zmienił — ich ciała zaczęły się nienaturalnie zrastać, drgać, kości łamać i przebudowywać, a skóra pokryła się pęcherzami. Trzy głowy, jedna nad drugą, wyrosły ze splątanych ciał, ich usta rozciągnięte w niemym krzyku. Potwór zaczął się czołgać w jego stronę, a on strzelał, strzelał, aż lufa stała się czerwona od żaru…

Obudził się z gwałtownym wdechem, cały zlany zimnym potem. Oczy dziko biegały po pomieszczeniu, aż w końcu zatrzymały się na sylwetce Jarka, siedzącego na odwróconej skrzynce z amunicją przy drzwiach.
— Znowu te sny? — Polak ochryple szepnął, nie puszczając strzelby. Jego twarz w przygaszonym świetle wyglądała jak wyrzeźbiona ze starego drewna — wszystkie zmarszczki i blizny stały się głębsze, ostrzejsze.
Cole powoli skinął głową, próbując opanować drżenie rąk. Wargi miał spierzchnięte, język przyklejony do podniebienia.
— Zostaną z nami na zawsze — Jarek podsunął mu paczkę papierosów. — Tak jak całe inne gówno w tym mieście.
Dowódca wziął papierosa drżącymi palcami. Pierwszy zaciąg przypalił płuca, ale przyniósł dziwne ukojenie. Dym kłębił się w powietrzu, mieszając z kurzem.
— Już raz popełniliśmy błąd — cicho zaczął Cole, wpatrując się w żarzący się koniec papierosa. — Pozwoliliśmy tym skurwysynom zdetonować bomby. A teraz… — zrobił pauzę, — teraz nie możemy pozwolić, żeby to, co się tu stało, wydostało się na zewnątrz.

Jarek milcząco przytaknął, jego oczy błyszczały w półmroku. Gdzieś za drzwiami rozległ się zgrzyt, ale obaj wiedzieli — to tylko stary budynek trzeszczał na wietrze.

W kącie pomieszczenia Thiery i Joan spali w śpiworach, ich oddech był równy, ale płytki — żołnierski sen, gotowy przerwać się w każdej chwili. Joan od czasu do czasu drgała, jej palce ściskały pistolet nawet we śnie.

Meduza drzemał przy przeciwległej ścianie, jego macki co jakiś czas drgały, wypuszczając małe iskry. Zielonkawo-fioletowe plamy na skórze pulsowały w rytm oddechu, jakby coś żywego poruszało się pod powierzchnią.

Na stole leżały resztki skromnej kolacji — puste puszki, porwane opakowania.
Sullivan nie mógł już zasnąć, więc uznał, że pora zająć się robotą. Siedział przy stole, jego palce powierzchniały po pożółkłych kartkach — tych samych dokumentach, które Joan dała mu w kanałach. Wtedy nie było czasu, żeby je czytać. Teraz — nie było wyboru.

Coś przeoczyli. Pierwsze strony — suche raporty.

Meteoryt. Spadł do morza. Naukowcy wydobyli fragmenty. Znaleźli coś w środku.

Słowo „patogen" powtarzało się raz za razem, ale połowa zdań była zamazana czarnym markerem.

Eksperymenty.

Fotografie: modliszki z powiększonymi szczękami, jaszczurki z dodatkowymi kończynami, szczury, których ciała pokryły się chitynowymi płytkami.

A potem — ludzie.

Cole przewrócił stronę — i jego palce zastygły.

„…Hyperion kontroluje projekt…"
„…Wirus Nowej Ziemi…"

Jego oddech zwolnił.
„Próbowali stworzyć szczepionkę?"

Ale dalej było gorzej.
„Ludzkość może stanąć w obliczu wymarcia w ciągu kilku pokoleń, jeśli wirusa nie da się zneutralizować…"

Następna strona.
Fotografie. Zdeformowani ludzie. A wśród nich — jedna teczka.

Anne Hutchens. 25 lat.
Opis mutacji:
Dzień 1: Wypadanie włosów.
Dzień 3: Zmiana pigmentacji skóry (fioletowe plamy).
Dzień 7: Rozrost dodatkowych włókien mięśniowych.
Dzień 14: Prawa ręka przekształciła się w mackowaty wyrostek.

Ostatnie zdjęcie.
To już nie było człowiekiem.

Fioletowa, pokryta pęcherzami skóra. Żółte oczy bez źrenic. Rozciągnięte usta, jak u ryby-giganta.

Notatka:
"Podopieczna nr 10 (Anne Hutchens) wpadła w szał 18. dnia. Rozerwała dwóch ochroniarzy. Popełniła samobójstwo, rozrywając sobie gardło własnymi zębami. Ciało poddano sekcji w celu badań."

Cole odrzucił kartkę, jakby parzyła mu palce. Kolejne strony wyglądały, jakby wysmarował je wariat. Kaskady formuł, wykresy mutacji, diagramy DNA – a na tym wszystkim krwawe odciski palców.

I jedna ostatnia notatka:
"Morozow osiągnął stabilność genomu. Hyperion może dać nam wszystkie zasoby. Są zainteresowani."

Cole zastygł. Hyperion.
"Gdzie ja to słyszałem?"

Prywatna firma wojskowa. Ta sama, która przewijała się w raportach o "Nowej Ziemi".
"Czego oni chcieli od naukowców?"

Jarek stał nad nim, jego twarz była blada, oczy wąskie jak u osaczonego zwierzęcia.
— Powiedziałeś: "Hyperion"? — Wbił palec w jedno ze zdjęć.

Na fotografii – grupa żołnierzy w czarnych mundurach. W centrum wysoki mężczyzna o zimnych jak brzytwa oczach.
— Ten skurwiel to Sebastian Corso.

Głos Jarka zadrżał, ale nie ze strachu. Z wściekłości.
— Jeśli on tu jest… to już jesteśmy martwi. Po prostu jeszcze o tym nie wiemy.

Thiery i reszta zamienili spojrzenia. Cole powoli wstał.
— Wyjaśnij.

Jarek zamilkł na chwilę, jego palce zaciśniły się w pięści. W końcu zaczął – cicho, jakby bał się, że ściany usłyszą.
— Kiedyś służyłem w jego oddziale. W Kongo.

Wspomnienie wypłynęło, żywe, palące.
— Wpadliśmy w zasadzkę… 20 ludzi spłonęło żywcem. Przeżyłem tylko ja… a on zniknął.

— Kiedyś, dawno temu, Corso stracił prawie cały swój oddział… i oszalał. Uznał, że ludzie są słabi. Że tylko nadludzie mogą wygrywać wojny.

Jego głos stał się twardszy.
— Od tamtej pory ma obsesję na punkcie bioinżynierii. Szukał każdego sposobu, by stworzyć supersołnierzy.

Spoglądnął na dokumenty.

— A teraz ten psychopata eksperymentuje z meteorytem…

Więc sprawy mają się gorzej, niż myśleliśmy.

Thiery pierwszy przerwał wiszącą ciszę:
— To znaczy… ten Corso to przyczyna wszystkiego? Mutacji? Wirusa?

Jarek skinął głową.
— Wierzy, że przemieni ludzi w broń. A tych, którzy się nie nadają…

Spójrzał na zdjęcie Anny Hutchins.
— …wyrzuci jak śmieci.

Cole ścisnął dokumenty.
Teraz rozumiał. To nie była zwykła katastrofa. To eksperyment.
A oni byli tylko królikami doświadczalnymi w jego laboratorium.

Cole kontynuował przeglądanie dokumentów.
"Precursors…"

To słowo pierwszy raz przykuło jego uwagę. Napisane było wielką literą, jak nazwa własna, a nie termin naukowy. Cole zmarszczył brwi, jego palce zgięły kartkę mocniej, pozostawiając na niej zagięcia.
"Genom wewnątrz to kod aktywujący przyspieszoną ewolucję. Ale jeśli odczytasz dane niepoprawnie, może stać się straszną bronią biologiczną…"

Następna linijka była częściowo przekreślona, ale dało się ją odczytać:
"…a Morozow całkowicie przejął kontrolę nad badaniami. Nie mam już prawa głosu…"

Cole poczuł, jak zimny dreszcz przebiega mu po plecach. Morozow. To nazwisko już pojawiało się w dokumentach. Naukowiec, jeden z czołowych specjalistów projektu. Ten sam, który – jak się zdawało – sprzedał duszę diabłu dla "postępu".

Przerzucił stronę i ujrzał zdjęcie satelitarne.

Meteoryt. Na fotografii wyglądał… nienaturalnie idealnie. Niemal sztucznie. Jego powierzchnię pokrywały geometryczne wzory, jakby ktoś celowo wyrył na nim przesłanie. Albo instrukcję.

Kolejne notatki były zapisane nerwowym, drżącym pismem, jakby autor się spieszył, bał się, że zaraz zostanie odkryty:

„Dyski matrycowe z danymi gotowe. Zapasowe laboratorium przygotowane… Odłamki też tam są. Muszę naprawić błąd.”

„Błąd?” — Cole zamyślił się. Czyj błąd? Morozowa? A może tych, którzy stali za nim?

Poczuł, jak serce wali mu jak oszalałe. Rozumiał, że trzyma w rękach klucz do całego tego koszmaru. Ale klucz to jeszcze nie odpowiedź.

„Prekursorzy… Meteoryt… Przyspieszona ewolucja…”

Zamknął oczy, próbując złożyć puzzle w całość. Wciąż na nowo wertował dokumenty, wypatrując czegoś, co mógł przeoczyć.

Fotografie zniekształconych stworzeń — najpierw zwierząt, potem ludzi — leżały przed nim jak strony z jakiegoś koszmarnego albumu. Ale teraz jego uwagę przykuło coś innego. Dyktafon, który przekazał mu ten starzec.

Stary, wyświechtany, z wyblakłymi przyciskami. Wyjął go z torby, przesunął palcem po taśmie, jakby bał się, że rozpadnie się od jednego dotknięcia.

Wcisnął play.

Zakłócenia. Syk. Potem — głos zniekształcony przez czas i strach:

„Temu tyranowi z ‘Hyperiona’ nie można ufać. Ten człowiek jest niebezpieczny, oszalał…”

Głos urwał się, zagłuszony ostrym zgrzytem. Cole zmarszczył brwi, podkręcił głośność.

„…ale każda cena jest uzasadniona dla nauki… wojskowi mogą lepiej finansować badania…”

Kolejne słowa utonęły w szumie, ale potem znów przebiły się przez zakłócenia:

„Maszyna Wellsa… po tym, jak wykorzystaliśmy uzyskane dane… przeprogramowuje człowieka na poziomie molekularnym, czyniąc go silniejszym, szybszym, mądrzejszym…”

Cole zastygł.

„Hyperion nawet zaczął opracowywać jakieś urządzenia i zbroje na podstawie rozszyfrowanych danych…”

Nagranie się skończyło. Ale w jego głowie pojawiło się nowe pytanie:

Jeśli naukowcy odnieśli sukces… to co poszło nie tak?

Cole odchylił się na oparcie krzesła, jego wzrok przemknął po rozrzuconych papierach.

Zapasowe laboratorium. Pierwsze, według Joan, zostało zniszczone. Ale jeśli pozostały tam jakiekolwiek dane… Mogą tam być odpowiedzi.

„Hyperion… Maszyna Wellsa… ulepszony genom…”

To nie były tylko strzępki informacji. To była mapa. Mapa do tego, co zamieniło Gorky-17 w piekło. I być może — do tego, jak je zatrzymać.

Toaleta komisariatu. Ściany pokryte pęknięciami jak pajęczyną czasu. Rozbita płytka kaflowa chrzęści pod butami. Brudne lustro nad umywalką, pokryte warstwą kurzu i brudu, odbija tylko strzępy rzeczywistości — wykrzywione sylwetki.

Meduza stoi przed nim. Nie. Nie on.
Ono.

Wspomnienia. Nadejdą falą, jak przypływ, niosąc ostatnie resztki jego człowieczeństwa.

Jan Kurats. Specjalista od głębinowej fauny. Człowiek, który niegdyś godzinami siedział przed akwariami, zafascynowany migotaniem stworzeń zrodzonych w wiecznej ciemności. Podziwiał ich dziwną, obcą urodę.

Śmieszne. Teraz sam jest eksponatem.

Ciało, którego nie prosił. Skóra pokryta szorstką łuską. Macki wyrastające z pleców, żyjące własnym życiem, reagujące na zagrożenie szybciej, niż zdąży pomyśleć. Wszystko, co po nim zostało — to strzępy ubrań. Podarty marynarz, poszarpany w walkach, i spodnie zmienione w łachmany.

Próbuje nie patrzeć w lustro. Ale nie może.

Chwyta umywalkę, jego pazury wbijają się w porcelanę, zostawiając rysy. W głowie — kakofonia głosów:

— Już nie jesteś człowiekiem.
— Jesteś potworem.
— Jesteś pomyłką.

Jedna z macek drga, uderza w ścianę. Tynk sypie się, pęknięcie rozchodzi się jak błyskawica. Nie kontroluje tego. Nie kontroluje siebie.

Wściekłość podchodzi pod gardło. Wrzepa, wali głową w lustro. Szkło pęka, kruszy jego odbicie na dziesiątki kawałków. Teraz widzi siebie jako mnogość — każdy odłamek pokazuje inną część koszmaru: tu — wyłupiaste oczy, tu — usta rozciągnięte w niemym krzyku, tu — wijącą się mackę.

Na podłodze — odłamek szkła. Ostry jak brzytwa. Jeden precyzyjny ruch — i wszystko się skończy. Podnosi go, przykłada do gardła. Ręka drży. Macki zwijają się w kłąb, jakby próbowały go powstrzymać. Oddech. Szybki. Głośny.

«Zrób to. Uwolnij się.»

Ale za drzwiami — głosy.

Joan kłóci się z Jarkiem — jej głos ostry, jak zawsze, gdy się boi. Cole coś mówi do Thierry'ego — spokojnie, rozsądnie. Czekają na niego. Potrzebują go.

«Zginęliby, gdyby nie ja. Uratowałem ich.»

Odłamek upada na podłogę, brzęczy. Ścisnął go tak mocno, że rozciął sobie dłoń. Ale nawet nie poczuł. Chwyta się za głowę, za tę zniekształconą czaszkę, w której wciąż tli się rozum.

«Jak to możliwe? Dlaczego wciąż potrafię myśleć? Wszyscy, których znałem, stali się bestiami. Oszaleli. Poumierali. Ale nie ja. Francuz mówił, że w jego laboratorium mogą pomóc.»

Iskierka nadziei. Słaba. Krucha. Ale wystarczy.

«Może… może jeszcze mogę wrócić do tamtego siebie? A jeśli nie…»

Jeśli jednak oszaleje — zrobi wszystko, by Cole i jego ludzie nie ucierpieli.
Nawet jeśli będzie to ostatnia rzecz, jaką zrobi.

Opuszczony komisariat. Archiwum.

Ciemność w piwnicy była gęsta, niemal namacalna. Latarki postawione na stole rzucały cienie na regały wypchane teczkami z aktami. Powietrze pachniało kurzem, pleśnią i czymś jeszcze — czymś gorzkim, jak stary papier i niespełnione nadzieje.

Joan siedziała na podłodze, rozkładając przed sobą teczki z raportami. Jej palce, pokryte warstwą pyłu, ostrożnie przewracały strony.

„Pierwsze godziny infekcji…"

Notatki były zapisane drżącą ręką — czy to ze strachu, czy w pośpiechu.

„Na rogu ulic Seyda i Ninno widziano… Boże, nie wiem, co to było. Wyglądało jak mój sąsiad Jakub, ale… jego skóra pokryła się żółtymi pęcherzami, a z ust wyrastały… wyrastały…" — dalszy tekst urywał się, zalany atramentem lub czymś ciemniejszym.

„Moja córka… krzyczała, że swędzi ją plecy. Potem… potem zaczęły jej rosnąć… Boże, pomóż nam…"

Joan poczuła, jak po plecach przebiega jej zimny dreszcz.

„Jakby Bóg pomieszał ludzi z otaczającą materią…"

Zamknęła teczkę, ale obrazy już wryły się w jej świadomość. Poprawiła kosmyk rudych włosów wymykający się z kucyka i sięgnęła po kolejny dokument — Raport o „Nowej Ziemi".

Thiery, który grzebał w sąsiedniej szafie, odwrócił się.

— Co tam?

— 2030 rok. Eko-terroryści. Rozpylili coś… — przesunęła palcem po linijkach, — broń biologiczną.

Thiery podszedł bliżej, jego cień padł na dokumenty.

— I co? Miasto sobie poradziło?

Joan uśmiechnęła się krótko, bez radości.

— Gdyby tylko.

Przewróciła stronę. Fotografie.

Ludzie z fioletowymi plamami na skórze. Dzieci z pustymi oczami. Zwłoki ułożone w piramidy, jakby ktoś spieszył się, by pozbyć się dowodów.

Thiery odwrócił wzrok.

— Boże…

Cisza zawisła między nimi. Joan zamknęła teczkę, czując, jak chłód rozlewa się po plecach.

Thiery, wciąż przeszukujący szafę, spojrzał na nią.

— Joan… — zaczął ostrożnie, dobierając słowa. — Jak ty… dajesz sobie radę?

Nie odpowiedziała od razu. Jej palce zawisły nad fotografią — zdjęciem jednej rodziny, zrobionym na tydzień przed ich zniknięciem.

— Z czym konkretnie?

— Z tym, co stało się w muzeum. Z tą dziewczynką…

Joan zamknęła oczy.

Błyski wspomnień. Krzyk. Ciało poruszające się wbrew naturze. Białka oczu.

— Ja… nie daję sobie rady — przyznała, a jej głos zdradliwie zadrżał.

Thiery usiadł obok w milczeniu, odkładając sprzęt.

— Nie mogłaś jej pomóc.

— Jestem lekarzem — powiedziała ostro. — Powinnam była pomóc.

Joan dodała:

— Moja matka umarła, gdy miałam pięć lat.

Thiery spojrzał na nią.

— Wirus. Rzadki. Nieuleczalny. — Mówiła spokojnie, ale w każdym słowie czaił się ból. — Pamiętam, jak gasła. Jak lekarze rozkładali ręce. Jak ojciec… się załamał.

Cichy, równy głos. Jakby czytała raport.

— Nie… nie powinna była odejść w ten sposób. Nikt nie powinien odchodzić tak wcześnie.

Przewróciła stronę.

— Zostałam lekarzem, żeby już nigdy do tego nie dopuścić. Żeby dzieci… nie traciły rodziców.

Thiery patrzył na nią i nagle zrozumiał, że nie widzi przed sobą żołnierza. Nie lekarza wojskowego. Tylko dziewczynę, która wciąż ściska dłoń umierającej matki.

Głos znów mu zadrżał.

— Ale tutaj… tutaj nic nie mogę zrobić.

Thiery bez słów wyciągnął rękę, nakrył jej dłoń swoją.

— Uratowałaś nas.

Spojrzała na niego.

— Wciąż żyjemy. I dopóki tak jest — wykonujesz swoją pracę.

Gdzieś kapkała woda. Daleki zgrzyt metalu. I wtedy Thiery wyciągnął rękę — nie jak kolega.
Jak przyjaciel.

— Mój ojciec pierwszy raz zabrał mnie do laboratorium, gdy miałem siedem lat.

Uśmiechnął się, wpatrując w pustkę.

— Pokazywali tam eksperyment z elektrycznością. Iskry, światło… Wtedy postanowiłem, że zostanę naukowcem. Że uczynię świat lepszym.

Joan spojrzała na niego.

— Byłby z ciebie dumny.

Thiery skinął głową, ale w jego oczach była gorycz.

— Zmarł sześć lat temu. Rak płuc. Ja… ja nie mogłem mu pomóc.

Zaciśniętą pięść przycisnął do klatki piersiowej.

— A teraz jestem tutaj. Wśród tych papierów. Wśród tych koszmarów. I czasem myślę, że to wszystko… nie ma sensu.

Joan powoli wyciągnęła dłoń, dotknęła jego palców.

— Ma. Bo jeśli my się poddamy… to kto uratuje tych, których jeszcze można ocalić?

Thiery spojrzał na nią. Na jej zmęczone, ale uparte oczy. Skinął głową.

— Masz rację.

Na górze Cole raz za razem wertował zapiski, szukając tego, co mogło mu wcześniej umknąć.

„Eksperyment BT-6213. Nazwa kodowa: «Alfa-Hybryd»”

Dołączone zdjęcie było rozmazane, ale widać było zarys mężczyzny — zanim stał się czymś innym. Zanim jego DNA zaczęło się łamać i przebudowywać bez jego wiedzy.

Cole przesunął dłonią po twarzy, czując szorstki zarost i zmęczenie wżerające się w skórę.

— Nie pamięta, co robi w zmienionej formie — mruknął, wracając do raportu.

Ostatni wpis:

„Incydent nr 51. BT-6213 przypadkowo aktywował transformację podczas badania. Zabił asystenta (dr L. Kowalski). Po powrocie do ludzkiej formy — nie rozpoznał zwłok. Wymagał sedacji. Obiekt nie nadaje się do dalszych kontaktów.”

Jarek, który siedział naprzeciwko i czyścił lufę swojego shotguna, prychnął:

— I co, ten potwór teraz się tu wałęsa? Zmienia się w co chce?

— Nie — Cole pokręcił głową. — Nie kontroluje tego. Mutacje są przypadkowe. Może być człowiekiem… a minutę później — tym, co widzieliśmy w muzeum.

Thiery, który podszedł bliżej, uniósł głowę:

— Czyli nie jest wrogiem. Jest ofiarą.

— Ofiarą? — Jarek warknął. — Widziałeś, co te „ofiary” robią? Gówno mnie obchodzi, czy pamięta, czy nie — jeśli teraz wygląda jak ten skorpionowy skurwiel, wpakuję mu kulę w łeb, a potem się zastanowię.

Cole nie odpowiedział. Jego palce znalazły kolejną notatkę — pomiętą, z koordynatami.

— „Kościół” — wyszeptał. — Za miastem. Tam powinno być zapasowe laboratorium.

Cole znów włączył dyktafon. Głos brzmiał, jakby dochodził spod ziemi:

„Jeśli to słyszycie… szukajcie kościoła. Tam są odpowiedzi. Tam… jest ocalenie. Albo przekleństwo. Sam już nie wiem.”

Nagranie się urwało.

Jarek zaśmiał się sucho:

— No jasne, kościół. Gdzie indziej można by ukryć laboratorium?

Gdzieś za granicą terenu coś zaskrobało o asfalt. Cole powoli podniósł wzrok.

— Więc idziemy szukać tego kościoła.

Miasto wokół nich było jak wymarły szkielet — odrapane fasady, rozbite witryny, zardzewiałe samochody porzucone na środku ulicy.

Oddział posuwał się ostrożnie, trzymając się ścian, unikając otwartych przestrzeni. Cole szedł na czele, z gotowym do strzału karabinem, jego oczy bez przerwy badały ciemne okna, zaułki, czarne dziury bram.

Meduza — albo Jan, jak sam o sobie mówił — trzymał się nieco z tyłu. Jego macki drżały nerwowo, a cętkowana skóra raz kurczyła się, raz rozciągała, jakby coś pod nią pełzało. Zatrzymał się przy rozbitej witrynie, wpatrując w swoje odbicie w ocalałym fragmencie szyby.

Patrzyła na niego nie-ludzka postać.
Nie do końca.
Podarte spodnie zwisały z jego zdeformowanych nóg, a marynarkę, która stała się łachmanem, w końcu zrzucił, odsłaniając tors pokryty plamistą, migoczącą na zielono skórą.

Joan zwolniła, pozwalając reszcie przejść dalej. Spojrzała na Meduzę, na jego przygarbione plecy, na to, jak jedna z macek drapała miejsce, gdzie kiedyś był nos — gest dziwnie ludzki.

— Jan? — zawołała ostrożnie.

Drgnął, jakby zapomniał, że wciąż ma imię.

— Tak? — jego głos był chropawy, ale ludzki.

— Jak się czujesz?

Powoli odwrócił się do niej. Jego oczy — za duże, za ciemne — wpiły się w jej twarz, jakby szukając w niej kłamstwa albo strachu.

— Pamiętasz, co było w muzeum. To nie pytanie.

— Pamiętam.

— Boję się, Joan.

Powiedział to tak po prostu, tak po ludzku, że jej serce się ścisnęło.

— Boję się, że oszaleję. Że stanę się… taki jak oni.

Skinął w stronę alejki, gdzie coś poruszyło się w cieniu.

— Wciąż jeszcze myślę. Wciąż pamiętam, kim jestem. Ale…

Zamilkł, jego macki splotły się w supeł.

— Ale?

— Zapominam rzeczy. Twarze. Imiona. Czasem budzę się i nie wiem, gdzie jestem. A potem…

Przesunął dłonią po twarzy, jakby próbował zetrzeć mutacje.

— Potem przypominam sobie. I lepiej bym o tym nie wspominał.

Joan milczała.

— Kiedy to się zaczęło… — znów zaczął mówić, cicho, jakby bał się, że usłyszy go nie tylko ona. — Głowa rozsadzała mi się na kawałki. Kości… łamały się i zrastały na nowo. Kręgosłup…

Wzdrygnął się.

— Jakby przekręcał się wewnątrz. Rozdwajał. Czułem, jak rosną… te.

Wskazał na macki. Joan nie znalazła słów. Zamiast nich położyła dłoń na jego ramieniu.
Drgnął, ale nie odsunął się.

— Znajdziemy laboratorium — powiedziała. — Tam mogą być odpowiedzi. Może nawet… lekarstwo.

Spojrzał na nią, a w jego oczach po raz pierwszy od dawna pojawiło się coś więcej niż strach.
Nadzieja.

— Naprawdę tak myślisz?

— Tak.

Nie była pewna. Ale skłamać teraz byłoby o wiele straszniej. Z przodu Cole dał sygnał — czas iść dalej.
Meduza (nie, Jan) wciągnął głęboko powietrze i wyprostował się.

— Chodźmy.

Zrujnowane pięciopiętrowce z pustymi oczodołami okien. Zardzewiałe samochody porzucone na środku ulicy z otwartymi drzwiami. Szyldy sklepów, z których ostatnie litery dawno opadły, zostawiając tylko widma nazw: „Gastrono…", „Mięso…", „Apte…".

Cole szedł pierwszy, z karabinem gotowym do strzału. Każdy krok odbijał się echem w tym mieście-widmie.

— Zapasowe laboratorium — jego głos brzmiał cicho, ale wyraźnie. — Powinny tam być próbki meteorytu i dyski z danymi. Jeśli je zdobędziemy — może znajdziemy sposób, żeby zatrzymać ten burdel.

Jarek, idący z tyłu, zachichotał ochryple:

— Czyli jest szansa, że nas tu nie zeżrą?

— Teoretycznie — mruknął Thiery, poprawiając okulary.

Joan milczała. Meduza szedł ostatni, jego macki co chwilę drgały, jakby wyczuwały coś w powietrzu.

— Hyperion — Cole odwrócił się gwałtownie, jego oczy zwęziły się. — Jeśli wciąż tu są — też będą szukać tych dysków.

Jarek splunął:

— Czyli będziemy się odstrzeliwać podwójnie.

Thiery nerwowo przesunął dłonią po czole:

— Jeśli kontrolowali projekt… Dlaczego wszystko się rozjechało?

Cole nie odpowiedział. Gdzieś w oddali skrzypiały szyldy, kołysane wiatrem, jakby ostrzegały: „Uciekajcie, póki możecie”. Ale uciekać było nie dokąd.

…

Oddział posuwał się ostrożnie, przyklejając do ścian.

— Cicho — syknął Cole, zatrzymując się przy rogu półzniszczonego sklepu.

Przed nimi — parking zasypany porzuconymi wozami i plac budowy z niedokończonym szkieletem budynku. Idealne miejsce na zasadzkę.

I wtedy się pojawili. Najpierw — ciche kliknięcie. Potem — świst.

— Rakieta! — wrzasnął Jarek, rzucając się na bok.

Eksplozja rozerwała ścianę za nimi, zasypując odłamkami. Z dymu wyłonił się Jet Elmer — trzymetrowy koszmar w chitynowym pancerzu, jego maska pozbawiona twarzy, z szczelinami na oczy, z których sączył się żółty dym.

— O, ja pierdolę — mruknął Jarek, podnosząc strzelbę.

Elmer wyrzucił ręce do przodu — ostrza wysunęły się z przedramion z metalicznym zgrzytem.
Nie mówił. Po prostu zabijał. Z dymu wyszedł drugi.

Garcia.
Jego szyja — długa, giętka jak u gada — wyginała się, utrzymując czaszkę na kształt kleszczy. W rękach — karabin maszynowy, na nogach — glany z metalowymi kolcami.
Zaśmiał się — bezgłośnie — i otworzył ogień. Kule przeszły przez ścianę, za którą krył się Thiery.

— Potrzebujemy planu! — wrzasnął Francuz, ściskając granat.

A potem przyszła ona. Lucy. Sukkub z nocnych koszmarów.
Jej ciało — półnagie, pokryte brunatną łuską — ślizgało się między ruinami jak wąż. Głowa rozwarła się — pionowo, odsłaniając rzędy zębów jak u głębinowego drapieżnika.

— Są tacy… uroczy — syknęła, celując z karabinu.

Pocisk rozrywający roztrzaskał betonowy blok, za którym kryła się Joan.

— Meduza, lewa flanka! — zaryczał Cole.

Macki wystrzeliły do przodu, oplatając nogi Garcii. Tamten ryknął, padając na kolana.
Jarek wyskoczył zza osłony, strzelba huknęła — chityna na piersi Elmera pękła, ale nie przebiła się.

— Kurwa!

Elmer wysunął ostrza i ruszył do przodu. Cole zdążył odskoczyć, jego automat ciął serią, ale pociski odbijały się od pancerza. Lucy śmiała się, przeładowując karabin.

— Uwielbiam, kiedy się miotają!

Thiery rzucił granat. Eksplozja ogłuszyła, ale Garcia już się podnosił, odrzucając Meduzę w ścianę.

Oddział Cole'a rozproszył się.
Serie z karabinu maszynowego rozdarły powietrze, zmuszając grupę do rozbiegnięcia się po placu budowy. Lucy ślizgała się między betonowymi płytami, jej brunatna łuska zlewała się z zardzewiałymi zbrojeniami. Gdy się śmiała, jej pionowa paszcza rozchylała się jak koszmarny kwiat, odsłaniając rzędy ostrych jak brzytwa zębów.

— Co za urocze stworzonka… — Jej głos brzmiał, jakby został przepuszczony przez maszynkę do mięsa.
— Pobawmy się.

Jarek, przywarłszy do rozwalonej koparki, przeładowywał strzelbę.

— A myślałem, że tylko Meduza umie gadać — rzucił, ocierając krew z rozciętej brewki.

Pierdolona ironia. Pierdolone kpiny losu.

Obok, przykurczony, zastygł Meduza. Jego zielona skóra pulsowała w rytm oddechu, macki niespokojnie drgały, jakby wyczuwały zagrożenie.
Jarek wolałby teraz towarzystwo Joan. Tak, ruda dziwka zawsze wtrącała się nie w swoje sprawy, ale przynajmniej nie była zielonym potworem z mackami. A teraz? Ten zielony pokraka, którego do tej pory uważał za bombę z opóźnionym zapłonem, był jego jedynym sojusznikiem.

Lucy wybuchnęła śmiechem — dźwięk przypominał zgrzyt metalu po szkle.

— Jesteś zabawny. Zjem cię ostatniego.

Meduza, stojący tuż za nim, skinął głową w stronę Jareka.

— Musi podejść bliżej — zasyczał.

Jarek zaciął zęby. „Teraz jeszcze ten potwór będzie mnie uczył walki." Pierwszy odruch — posłać go do diabła. Ale zimna kalkulacja wzięła górę. Na dystans nie mieli szans.

— Cholera… Dobra, spróbujmy — warknął, sam nie wierząc, że się zgadza.

— No co, piękna, poznamy się bliżej? — Ovitz zrobił krok w tył, udając odwrót.

Lucy ruszyła do przodu, jej ruchy były błyskawiczne, niemal wężowe. Strzeliła w biegu — pocisk wybuchowy detonował w betonowej płycie obok, zasypując ich odłamkami.

Jarek wtoczył się za osłonę, przeładowując strzelbę.

— Zaraz, suko…

Meduza czekał. Jego macki naprężyły się, owijając wokół porzuconego dźwigu. W następnej chwili szarpnął — i jego ciało, niczym wystrzelone z procy, przeleciało nad maszyną prosto na Lucy.

Macki wbiły się w jej ramiona, rażąc prądem. Jednocześnie wypuścił strumień kwasu — żrąca ciecz trafiła prosto w lufę jej karabinu. Metal zapiał, rozpuszczając się w oczach.

Lucy zawyła z wściekłości i rzuciła się do przodu, wgryzając się zębami w ramię Meduzy. Kły przebiły skórę, czarna krew chlusnęła na asfalt.

— Żałosny hybrydzie! Nawet nie wiesz, czym jesteś! — Waliła go głową, rozrywając ciało.

Jarek nie czekał. Wyskoczył z ukrycia, strzelba huknęła niemal point-blank. Śrut rozdarł łuskę na jej plecach, ale jej nie powstrzymał.

— Kurwa!

Wtedy aktywował implanty. Metalowe płyty na jego rękach rozsunęły się, odsłaniając hydrauliczne wzmocnienia.

— Masz!

Cios trafił prosto w rozwartą paszczę. Kość chrupnęła, zęby rozprysły się. Lucy zachwiała się, ale nie upadła. Meduza, zebrawszy siły, owinął ją mackami, ściskając jak pyton.
Jarek nie dał jej ochłonąć. Drugi cios. Trzeci. Czaszka pękła jak dojrzały owoc.

Meduza ciężko oddychał, podnosząc się z kolan. Jarek obrzucił go oceniającym spojrzeniem, po czym skinął głową:

— Nieźle… jak na hybrydę.

W oddali huk walki przypominał — ich towarzyszom też nie było łatwo. Ale tę rundę wygrali.

Garcia wynurzył się z dymu, jego masywne buty z metalowymi kolcami wgniatały się w asfalt, zostawiając pęknięcia. Jego szyja — długa, giętka jak u upiora ze starych legend — wiła się, utrzymując czaszkę na podobieństwo szczypców skorpiona. W rękach trzymał minigun, którego lufy zaczynały już obracać się z przeraźliwym zgrzytem.

— Do osłony! — warknął Cole, chwytając Joan za rękaw i ciągnąc ją za rozbity ciężarówkę.

Lawina ognia przeorała metal, zamieniając kabinę w sito. Szyby eksplodowały, poszycie rozpadało się, a Joan schyliła się niżej, czując, jak gorące odłamki świszczą nad głową.

— Cholera! On nas po prostu przetnie na pół! — krzyknęła, przeładowując pistolet.

Cole przywarł do koła, jego wzrok prześlizgnął się po otoczeniu — rozwalone samochody, stosy cegieł, otwarty właz do kanałów…

Plan ułożył się w jednej chwili.

— Joan, odciągaj go! Ja zajmę go z flanki!

Skinęła głową, gwałtownie wyskoczyła zza osłony i wypaliła serię w Garcię. Pociski zadudniły po jego opancerzonej klatce piersiowej, nie przebijając pancerza, ale zmuszając go do odwrócenia się.

Decydujący moment.
Cole ruszył do przodu, przygarbiony, wykorzystując wraki samochodów jako osłonę. Garcia zauważył ruch, przekierował lufę — ale za późno.

Trzy strzały z bliska.
Prawa ręka Garcii rozleciała się w krwawą miazgę, minigun z hukiem runął na ziemię.

Potwór zawył — dźwięk jak zgrzyt hamulców pociągu — i rzucił się do przodu, wyciągając maczetę z pochwy.

Cios.
Wrak samochodu rozpadł się na pół jak kartka papieru.

Cole odskoczył, jeszcze dwa strzały — w głowę, ale czaszka tylko odchyliła się, osłonięta szczypcem.

— Joan!

Już celowała. Strzał. Lewa ręka Garcii odleciała, maczeta z brzękiem uderzyła o asfalt.

Cole podniósł ją w biegu. Garcia zataczał się, czarna krew chlustała z kikutów, ale nie upadał. Jego szczypiec ścisnął czaszkę jeszcze mocniej, zęby zgrzytały w wściekłości.

Cole wdrapał się na dach rozbitego sedana, ścisnął maczetę, skoczył.

Machnięcie.
Szczypiec oddzielił się od szyi, czarna maź trysnęła fontanną.

Garcia zastygł, jego ciało drgnęło... A potem runęło na kolana. Czaszka, wreszcie uwolniona, potoczyła się po asfalcie, zostawiając za sobą ciemny ślad.

Joan podeszła, pistolet wciąż gotowy do strzału. Cole ciężko oddychał, w uszach dzwoniło.

— Wszystko w porządku?

Cole spojrzał na maczetę, ścisnął rękojeść.

— Dopóki żyjemy — wszystko w porządku.

Gdzieś w oddali rozległ się ryk Jet'a Elmera. Walka nie była skończona.

Thiery wytoczył się za rozbity wózek widłowy, jego serce waliło tak mocno, że wydawało się, iż zaraz rozsadzi mu klatkę piersiową. Dłonie ślizgały się po improwizowanej miotaczu ognia — palniku gazowym przykręconym taśmą do rozebranej lufy karabinu.

Był odcięty od reszty — Cole i Joan walczyli gdzieś dalej z Garcią, a Jarek i Meduza trzymali linię przeciw Lucy.

Zza sterty pogiętego metalu dobiegł zgrzyt — to Elmer zrobił krok w ich stronę. Jego chitynowy pancerz, pokryty maskującymi plamami, zlewał się z ruinami, czyniąc go podobnym do ożywionego czołgu. Maska ze świecącymi żółtymi oczami odwróciła się w jego stronę.

"To on zestrzelił śmigłowiec..." — myśl przemknęła przez głowę, gorąca jak adrenalina we krwi.

Thiery zrozumiał: był w potrzasku.

Faza pierwsza: Prowokacja.
Francuz gwałtownie skręcił w lewo, jednocześnie naciskając spust miotacza. Strumień ognia uderzył w pierś Elmera, ale płomienie tylko ześlizgnęły się po chitynie, nie czyniąc szkody.

"Cholera, jest odporny..."

Elmer nie zwlekał. Jego ramię zamachnęło się — ostrza wysunęły się z metalicznym brzękiem, mijając twarz Thiery'ego o centymetr.

Thiery odskoczył za betonową kolumnę, czując, jak powietrze rozcina kolejny cios.

Myśli wirowały:

"Ogień go nie bierze... Pancerz za gruby. Ale..."

Thiery spojrzał na wyrzutnie rakiet.

Połączenia. Miejsca łączenia pancerza z bioniką. Słaby punkt.

Elmer zamierzył się ostrzem — i w tej samej chwili Thiery rzucił się do przodu, pod cios.

Miotacz ognia wystrzelił prosto w wyrzutnię. Płomienie wdarły się do mechanizmu.

Iskry. Dym. Eksplozja.

Elmer zawył, gdy prawa wyrzutnia rozerwała się, rozrzucając kawałki mięsa i metalu.

Ale nie upadł. Wściekł się.

Thiery nie miał już amunicji. Rzucił się do przodu, ostrza zaświszczały w powietrzu.

Thiery odskoczył, ale jedno cięcie musnęło jego bok — krew trysnęła, palącym bólem.

"Za szybki... Za silny..."

Seria z karabinu maszynowego przeszyła powietrze, uderzając Elmera w plecy. Pancerz pękł, czarna maź wytrysnęła z dziur.

Cole stał dziesięć metrów dalej, trzymając w rękach minigun Garcii.

— THIERY, ODSUŃ SIĘ!

Elmer odwrócił się, wyrzutnia znów zaskomlała — ale Cole już nacisnął spust.

Druga seria.

Głowa Elmera eksplodowała, odłamki chityny rozleciały się na boki. Ciało zastygło, zachwiało się — i runęło jak ścięte drzewo.

Thiery patrzył, nie wierząc. Cole podszedł, rzucił karabin.

— Cały?

Thiery skinął głową, przyciskając ranę.

— Dzięki.

Cisza zawisła ciężkim całunem nad zniszczonym parkingiem. Cole uklęknął przy ciele Elmera. Martwy hybryd leżał w kałuży czarnej, lepkiej cieczy, jego chitynowy pancerz popękany, odsłaniający bladą, pooraną bliznami skórę. Na piersi, tuż pod obojczykiem, widniało wypalone znamię — trzy skrzyżowane miecze z przerwanym łańcuchem.

"Hyperion".

Pamięć natychmiast wyłowiła z mroku fragmenty dokumentów, które studiował w zrujnowanym komisariacie. *"Projekt 'Chimera'", "Hybrydyzacja próbek A-24 z materiałem genetycznym meteorytu", "Zwiększona agresja, regeneracja, adaptacja".*

— To ich robota — mruknął, przeciągając palcem po symbolu. — Te same eksperymenty na żołnierzach. Pierwsze udane egzemplarze.

Jarek, przeładowując strzelbę, rzucił okiem na znak i zachichotał sucho:

— No jasne, kurwa. Więc Sebastian Corso i jego ścierwa z "Hyperiona" jednak dopięli swego, zaczęli produkować te pojebane supersołdery. Plunął w stronę trupa.

Thiery, kucając przy Elmerze, ostrożnie uniósł jego odciętą kończynę, badając nienaturalne mutacje.

— Nie tylko krzyżowali ich ze zwierzętami... — w jego głosie było coś z naukowego entuzjazmu, przebijającego się przez przerażenie. — Część owada, część gada, część... coś jeszcze.

Joan stała obok, ciężko oddychając.

Meduza stał nieco dalej, jego macki lekko drgały, wyłapując wibracje powietrza. Jego zielono-fioletowa skóra pokryła się nerwowymi plamami, a oczy — duże, całkowicie czarne — wpatrywały się nieruchomo w zwłoki.

— Oni... nie powinni istnieć — w końcu odezwał się, jego głos brzmiał głucho, jakby dochodził z głębi studni. — To nie ewolucja. To... profanacja.

Cole wstał, ocierając czarną krew z rąk.

— Więc "Hyperion" jest tutaj. A jeśli wypuścili te bestie na nas, to znaczy, że sami zaraz się pojawią. Spojrzał na resztę. — Jesteśmy blisko.

— Musimy się ruszać. Do laboratorium jeszcze kawał drogi. Tam mogą być odpowiedzi.

Jarek ponuro się uśmiechnął:

— Albo nowe potwory z karabinem zamiast mordy.

Ale nikt nie protestował. Przeładowując broń i opatrując rany, przygotowali się do ostatniego rzutu — w samo serce ciemności, która zrodziła te monstra.

Oddział posuwał się wąskim zaułkiem, zasypanym gruzem cegieł i zardzewiałymi belkami. W półmroku coś się poruszyło.

— Cicho — Cole uniósł zaciśniętą pięść, dając sygnał do zatrzymania.

W cieniach pojawiło się coś.

Człowiek… były człowiek. Jego ciało zrosło się z metalową drabiną przeciwpożarową — pręty przebijały mięśnie jak korzenie drzewa, a skóra oplatała żelazo, tworząc pulsujący koszmar. Oczy, które pewnie kiedyś były niebieskie, teraz miały mętną barwę brudnego lodu.

— Omijamy — szepnął Cole.

Hybryda wpatrywała się w niego.

I nagle… pogrążył się w przeszłości.

Kaukaz Północny. Dziesięć lat temu.

Las. Gęsty, mroczny, przesiąknięty zapachem igliwia.

Pluton dwunastu żołnierzy poruszał się bezszelestnie jak cienie. Nick Porter — dowódca oddziału, barczysty mężczyzna z krótką siwą szczeciną — szedł na czele. Cole — wówczas jeszcze porucznik — zabezpieczał tyły. Manovich, krępy sierżant o twarzy pooranej bliznami, prowadził grupę od flanki.

— Pułapki zastawione — syknął Manovich.

Porter skinął głową. Czekali. I wróg nadszedł.

Terroryści — było ich ponad dwudziestu — szli pewnie, nieświadomi zasadzki.

Pierwsza mina eksplodowała. Wybuch rozdarł nocną ciszę, na moment rozświetlając las krwistą łuną. Ciało jednego z bojowników wyrzuciło w powietrze, rozrywając je na pół.

— Ognia! — warknął Porter.

Zaczęło się piekło. Pociski przecinały pnie drzew, strącając gałęzie. Granaty wybuchały wśród wrogów, rozrzucając strzępy ciał. Terroryści odpowiadali ogniem, ale pluton Cole’a był celniejszy. Zimniejsi.

Cole wyskoczył z ukrycia, krótkimi seriami neutralizując stanowisko ogniowe. Kule wbijały się w drzewa, jedna trafiła go w kamizelkę, ale nawet nie zwolnił.

Terroryści nie byli amatorami — wycofywali się w stronę bunkra, osłaniając się nawzajem. Jeden rzucił granat — Cole rzucił się w błoto, fala uderzeniowa ogłuszyła go, ale zerwał się na nogi, dobijając rannego, nawet na niego nie patrząc.

Dziesięć minut rzezi. Gdy ucichły strzały, przy życiu zostali tylko trzej: Porter, Cole, Manovich.

Dziesięć ciał ich towarzyszy leżało wśród liści.

— Naprzód — powiedział Porter, nawet nie oglądając się po zabitych.

Bunkier. Ukryty pod warstwą ziemi i kamieni, wejście zamaskowane jako skalne zbocze. Labirynt wąskich korytarzy, oświetlonych migotliwym światłem awaryjnych lamp.

Laboratorium. Ściany obwieszone schematami, wzorami, rysunkami urządzeń, których żaden z nich nie rozumiał. Na środku — platforma teleportacyjna, otoczona migającymi monitorami. Coś jak gigantyczny akcelerator kwantowy.

— Zabieramy dane — rozkazał Porter.

Cole włamał się do terminala, kopiując pliki na przenośny dysk. Manovich osłaniał wejście, jego oczy biegały po mrocznych zakamarkach.

I wtedy — ruch.

Jeden z ocalałych terrorystów, ociekający krwią, uniósł rękę… i nacisnął przycisk.

Jasna smuga światła uderzyła w Manovicha.

— Co do…?

Jego ciało wykrzywiło się, rozciągnęło, rozerwało w przestrzeni. A potem zmaterializowało się trzy metry dalej.

Ale nie w całości. Metalowe pręty sterczały z jego klatki piersiowej, brzucha, twarzy. Jeden przebił gałkę oczną, wychodząc przez potylicę. Skóra zrosła się z metalami, jakby stopiła się i zastygła na nowo.

— Blaze! — wrzasnął Cole.

Ale Manovich był już martwy.

Terrorysta zawył i znów skierował promień.

Śmieci posypały się w ich stronę. Nakrętki, śruby, kawałki rur — wszystko teleportowało się w powietrze przed nimi, wbijając się w ciała.

Ostrze rozcięło Cole’owi lewy policzek.

Krew. Ból. Ale się na tym nie skupił.
Promień trafił Portera.

Jego noga wtopiła się w metalową podłogę.

— AAAAAARGH!

Cole rzucił się do niego, ale Porter odepchnął go. Nick wycelował i strzelił.

Terrorysta runął, ale przed śmiercią szarpnął ręką. Trafił w zbiorniki z paliwem. Płomienie ogarnęły pomieszczenie.

— Bierz dane i spierdalaj!

— Nie zostawię cię!

— To rozkaz, do cholery!

Cole chwycił dysk i pobiegł. Za plecami — krzyk Portera. Potem — nienaturalny huk.

Wszystko się pomieszało. Metal splótł się z kamieniem, ciała z przewodami.
To było nienaturalne. Obłąkane. Ciała terrorystów zlewały się ze ścianami, bronią, ziemią.

Cole wyskoczył z bunkra w tej samej chwili, gdy anomalna eksplozja o mało nie rozerwała go na strzępy. Spadł, stoczył się po zboczu, uderzył w drzewo. Tylko szum w uszach.

I krew sącząca się z rany na policzku…

— Cole? — Joan dotknęła jego ramienia.

Drgnął. Przed oczyma — hybryda. Jej oczy.

Takie same jak u Blaze'a.

Cole sięga po pistolet. Strzał. Hybryda drga i zamiera.

Cole zamyka oczy, ale znów widzi przed sobą ciało Manovicha — z wystającymi prętami, ze skórą zlaną z metalem.

— Idziemy — rzuca, odwracając się, znów próbując odeprzeć nawiedzający go koszmar.

***

Ulice miasta-widma, zawalone gruzem i zardzewiałą techniką, prowadziły donikąd. Oddział Cole'a poruszał się ostrożnie, trzymając się blisko ścian, gdy nagle przed nimi pojawiła się nowa przeszkoda – przewrócona ciężarówka, blokująca przejście. Metal był powyginany, jakby coś ogromnego i silnego rzuciło nim z impetem.

— Próbujemy obejść? — zapytała Joan, rozglądając się.

— Nie ma czasu. Przesuniemy.

Cole już miał zrobić krok do przodu, gdy ziemia pod ciężarówką zadrżała.

Zza gruzu wyrwało się coś — hybryda człowieka, mechanizmów i skolopendry. Jej ciało było splecione ze stalowych płyt i chitynowych segmentów, a głowa – ludzka, ale z rozszczepioną szczęką jak u owada. Żuwaczki zaskrzypiały, rozpryskując ślinę.

Oddział podniósł broń, ale strzały padły wcześniej. Grad pocisków. Hybryda rozleciała się na strzępy pod ostrzałem.

Zza rogu wyszli żołnierze – dziesięciu mężczyzn w czarnym taktycznym ekwipunku. A przed nimi – Sebastian Corso.

Twarz wroga
Był wysoki, szeroki w barach, jakby wykuty z kamienia. Siwe włosy, blizna na dolnej wardze, nadająca jego uśmiechowi coś drapieżnego, zimne oczy, w których czytało się nie siłę, lecz władzę.

— Kapitan Sullivan, prawda? Jesteście wytrwali… Szkoda, że wasza wytrwałość skierowana jest w złą stronę — jego głos był gładki jak ostrze. — Zakładam, że i tak wiecie, kim jestem.

Cole nie opuścił automatu.

— Wiemy.

Thiery drgnął, zauważywszy znak na mundurach żołnierzy – ten sam, który nosił Jet.

— Ale dla formalności – Sebastian Corso. Dowódca „Hyperiona".

Cole wciąż nie opuścił lufy.

— Czego chcesz?

Corso uśmiechnął się – bez ciepła.

— Mamy ten sam cel, kapitanie. Laboratorium.
— Wątpię — odparł zimno Cole.

Corso prychnął. Zrobił krok do przodu, miażdżąc ich autorytetem, przewagą liczebną, lufami wymierzonymi w oddział.

— Ale macie coś… mojego.

Dokumenty.

— To formuły — ciągnął, płynnie, przekonująco. — Ostatnie dane Dobrovsky'ego. Pozwalają przeprowadzić eksperyment… bez efektów ubocznych. Bez mutacji. Bez szaleństwa.

— Oddajcie mi je, a moi ludzie wyprowadzą was z miasta.

Transakcja. Prosta. Czysta.

— Chcę naprawić błędy…
— Ty chcesz władzy — przerwała mu Joan.

Cole nawet nie mrugnął.

— Doskonale wiem, kim jesteś. I co planujesz.

— Kontynuować eksperymenty? — Jarek parsknął, wchodząc mu w słowo. — On nas zastrzeli, jak tylko wyjdziemy z miasta!

Corso spojrzał na niego – jak na natrętnego psa.

— Nie targuję się, kapitanie. Oferuję wam życie.
— Gdybym chciał was zabić…

Skinął na żołnierzy. Dziesięć luf uniosło się wyżej.

— …już byście nie żyli.

Cisza. Tylko oddechy.

— Straszno, kapitanie? — Corso przechylił głowę. — Chcecie dalej ryzykować życiem swoich ludzi?

Thiery wtrącił się:

— Zakłócałeś naszą łączność.

— Dla waszego dobra — odciął Corso. — Nie rozumiecie, w co się wpakowaliście.
— To nie wasza sprawa. Nie stójcie mi na drodze. Dokumenty. Natychmiast.

Jarek eksploduje:
— On nas już zdradził! — Ovitz postąpił naprzód, ignorując lufy. — On nie zostawi nas przy życiu!

Corso rozpoznał go.

— Ach, Ovitz… — jego uśmiech stał się szerszy. — Zawsze byłeś zbyt głupi, by zrozumieć. W Kongu widziałeś, jak umierają zwykli ludzie. Kruchi. Słabi.

Jarek zawrzał.

— Nie zapomniałem, sukinsynu! Jak zdradziłeś swoich żołnierzy, jak zostawiłeś mnie na śmierć! Szalejesz z powodu władzy! Jesteś zadowolonym z siebie łajdakiem, który ma gdzieś wszystkich oprócz siebie! Trząsł się z wściekłości.

Corso nawet nie drgnął.

— Ulepszam ludzkość.
— Ty jesteś świnią!

Corso nie zmienił wyrazu twarzy.

— Emocje. Jak przewidywalne.

Odpowiedział głucho, bez gniewu:

— Dobrovsky był geniuszem. Szanowałem go. Ale wierzył, że ludzkość zasługuje na ocalenie w obecnej formie. Żałosna iluzja. Ale trzymał kluczowe dane dla siebie.

Zrobił krok naprzód, a światło płonącej ciężarówki oświetliło jego twarz – blizny, siwiznę, zimne oczy.

Cole milczał. Za jego plecami Jarek zaciął zęby.

Corso mówił dalej, niemal poufnie:
— To on sam do mnie przyszedł. Myślał, że skieruje moje zasoby na „właściwą drogę". Ale Morozov okazał się bystrzejszy…

Cień uśmiechu przemknął po jego twarzy.

— Zrozumiał, że przyszłość nie należy do badaczy, lecz do tych, którzy odważą się działać.

Cole w końcu, przez zaciśnięte zęby:
— I twoje działania doprowadziły do tego?

Wskazał na miasto – na krzyki mutantów, wycie wiatru w pustych oknach.

Corso nie drgnął.

— Błędy są nieuniknione. Ale widziałem, jak to jest – przegrywać przez słabość.

Jego głos po raz pierwszy zadrżał.

— Wiele lat temu mój oddział wpadł w zasadzkę. Piętnastu ludzi. Krzyczeli przez radio, błagali o pomoc… A ja mogłem tylko słuchać, jak płoną żywcem.

Nawet żołnierze „Hyperiona" zastygli.

— Gdyby byli silniejsi… Gdyby nie czuli strachu, nie męczyli się, nie bali bólu… Przeżyliby. A takich jak oni – są miliony. Naprawdę chcesz, by ludzkość dalej ginęła przez swoją kruchość? — W jego głosie pojawiła się maniakalna pasja:
— Z dokumentami Dobrovsky'ego stworzymy doskonałych żołnierzy. A ty, Sullivan… Mógłbyś być jednym z nich. Wyobraź to sobie – zero bólu. Zero strachu. Byłbyś dosłownie niezniszczalny.

Potem Corso westchnął, zmęczony.

— Kapitanie, ostatnia szansa. Oddaj mi dokumenty.

Cole spojrzał na swoich ludzi. Na Thierry'ego, który stał, zaciąwszy zęby. Na Joan, zaciskającą dłoń na pistolecie. Na Jareka, gotowego rozszarpać Korsa gołymi rękami. Na Meduzę, której macki pulsowały, a na twarz wykwitł zwierzęcy grymas.

— Spierdalaj. Nie pozwolę ci zamienić całego świata w to miasto.

Corso westchnął – rozczarowany, niemal smutny.

— Szkoda.

Odwrócił się, wydając swoim ludziom rozkaz. Żołnierze „Hyperiona" podnieśli broń. Cole ścisnął automat.

Klik bezpieczników. Głuchy łomot wyrzucanych łusek. Walka się rozpoczęła.

Pierwsza seria uderzyła w ciężarówkę za plecami Cole'a, zasypując oddział iskrami i odłamkami. Jarek momentalnie padł na kolano, jego automat odpowiedział precyzyjną serią – jeden z żołnierzy „Hyperiona" runął, trafiony w głowę.

Thiery odtoczył się za betonowy blok, miotając w stronę wroga granat z gazem łzawiącym – chmura gryzącego dymu otuliła skrzyżowanie, ale żołnierze w maskach już się rozchodzili, stosując taktykę „młot i kowadło".

— Oskrzydlają! – warknął Cole, a Joan odwróciła się, zdążywszy wypuścić serię z karabinu w żołnierza podchodzącego z lewa. Pociski zerwały z niego siatkę maskującą, ale nie powstrzymały go – padł dopiero po trzecim strzale w brzuch.

Meduza wkracza do walki – Żywa burza.

Z dymu wyrwał się hybryd – jej macki raziły prądem, oślepiając jednego z najemników. Ten wrzasnął, runął, a Meduza błyskawicznym ruchem chwyciła go za kamizelkę kuloodporną, używając go jako tarczy.

— Zalewać ich! – warknął Cole, a Meduza wyrwała żołnierzowi UZI, jednym ruchem kierując lufę w stronę wroga.

Seria. Kolejny żołnierz padł, trafiony w szyję.

Ale Hyperion nie jest taki głupi – ich lider gwizdnął, i dwóch żołnierzy otwiera ogień zmasowany w stronę Meduzy. Kule rozrywają ciało, ale hybryd tylko warczy, ciskając w nich trupa swojej żywej tarczy.

Taktyczny pojedynek – Ogień i ruch.
Jarek i Cole przeładowują broń w perfekcyjnej synchronizacji, poruszając się jak dwa wilki przeciwko watadze.

— Granat! – krzyczy ktoś z Hyperiona, i błysk oślepia na sekundę.

Ale Thiery już na to czekał – rzuca granat dymny pod nogi wrogów, a w następnej chwili Meduza razi prądem przez chmurę. Jeden z żołnierzy wygina się w konwulsjach, jego towarzysz w panice cofa się – prosto pod cel Joan.

Strzał w głowę.

Jeden z ludzi Corso wynurza się z dymu, ale Jarek już wbija mu nóż w gardło. Drugi uderza kolbą, ale Polak unika ciosu, przechwytuje jego karabin, strzela w kolano, a potem dobija – lufa w usta, spust.

Corso się wycofywał – nie uciekał, nie. Odchodził jak stary wilk, świadomy, że jest ścigany. Jego oddech był równy, ale oczy płonęły – nie strachem, lecz zimną furią. Ale Jarek już rzuca się za nim.

Cienie arkadowego przejścia zaciskały się nad nimi jak szczęki.

— Nie uciekniesz! – warknął Jarek, wyłaniając się z dymu, nóż w dłoni, ostrze zalane krwią.

Corso błyskawicznie się odwrócił, a w jego ręce zapłonęło zielone ostrze – taktyczny nóż pokryty czymś, co jarzyło się słabym, trującym blaskiem.
Jarek ruszył do przodu, nóż zaświstał – ale Corso uniknął ciosu, ostrze tylko drasnęło jego kamizelkę kuloodporną, zostawiając iskry. W odpowiedzi – błyskawiczne uderzenie w brzuch.

Chrzst.

Żebra zatrzeszczały pod ciosem, ale Jarek nie odskoczył. Zamiast tego wbił kolano w krocze Corso, zmuszając go do charknięcia, i natychmiast ciął w szyję.

Ostrze prześlizgnęło się po skórze – krew trysnęła, ale nie śmiertelnie. Corso odskoczył, jego twarz wykrzywiła się w grymasie wściekłości.

— Śmierć ci do twarzy, Polaku.

Zakleszczyli się, noże dzwoniły, iskrzyły, zgrzytały, wycinając ogniste linie w półmroku.
Jarek ciął z góry – Corso zablokował, uderzył łokciem w twarz. Chrup – złamana przegroda nosowa.
Corso odskoczył, nóż zadrasnął kamień, wykrzesując iskry. W następnej chwili kontratakował – cios z dołu, zielone ostrze świsnęło centymetr od brzucha Jarka.

Blisko. Za blisko.
Krążyli jak dwa drapieżniki, stal brzęczała, ciosy mieszały się z przekleństwami i pluciem.
Jarek splunął krwią, wbił kolano w brzuch, sięgnął po pistolet – ale Corso wytrącił broń, rysując ostrzem nadgarstek. Krew zalała palce.

Corso walnął łokciem w szczękę, Jarek zachłysnął się krwią, ale nie upadł.

W odpowiedzi – kolano w krocze. Corso charknął, ale nie puścił noża, tylko mocniej ścisnął rękojeść.

Jarek splunął mu w twarz i wbił krótkie ostrze w bok.

Krew.

Corso warknął, nie z bólu – z wściekłości. Jego pięść uderzyła w nasadę nosa Polaka, ten odleciał do ściany, ale odbił się i znów rzucił do walki.

Corso kopnął Jarka w klatkę, wyrywając się.
— Mogłeś być z nami! – syknął, przygniatając Jarka do ziemi. — Siła albo śmierć, Ovitz. Wybrałeś śmierć.

Ale Jarek nie puścił. Jego pięść uderzyła w szczękę Corso – chrup, ząb odleciał w ciemność.

Bliżej śmierci.

— Agh! – Sebastian warknął, nie z bólu – z furii. Jego pięść uderzyła w brzuch Jarka, zmuszając go do zgięcia się, ale Polak zdążył złapać go za gardło.

Zamarli na moment – oko w oko.

— Zabiję cię... – syknął Jarek, kapała mu krew z ust.

— Spróbuj... – Corso uśmiechnął się krzywo, jego ręka sięgnęła po pistolet.

I wtedy – huk.

Betonowa ściana przejścia wybrzuszyła się, pękła, a przez dym i pył wynurzyło się coś.

Hybryd ze zniekształconą głową, przymocowaną do masywnego ciała czterema stalowymi prętami. Zamiast ręki – karabin maszynowy z młotem pneumatycznym, zamiast nóg – hydrauliczne podpory.

Kule przeszyły zaułek, rozrywając dwóch żołnierzy Hyperiona, którzy właśnie wbiegli na odgłos walki. Krew rozbryzgnęła się wachlarzem, ciała zatrzęsły się, padając.

Corso spojrzał na Jarka, na Marionetkę, na hybrydy wypełzające z sąsiednich ulic na odgłos walki.

— Do następnego razu.

I zniknął w dymie, zostawiając swoich ludzi na śmierć.

Jarek chciał rzucić się za nim, ale silna dłoń chwyciła go za ramię.

— Dość! – to był Cole.

— Odchodzimy. Teraz.
I pognali w ciemność, gdy za plecami rozlegały się krzyki żołnierzy Hyperiona, rozrywanych przez hybrydy.

Słońce, krwistoczerwone jak otwarta rana, wolno zsuwało się za horyzont, barwiąc ruiny w szkarłat.

Jarek szedł przodem, ale jego myśli były daleko. W uszach huczało – nie od strzałów, ale od głosów przeszłości.

Retrospekcja: Kongo
„Deszcz. Lepki, gorący jak krew. Szli kolumną, dwadzieścia osób – elitarny oddział „Hyperion”, najlepsi z najlepszych. Corso prowadził ich, pewny siebie, nie do pokonania. Nie spodziewali się zasadzki.

A potem – piekło. Kule świstały w liściach, wybuchy rozrywały ziemię. Z cienia drzew wyłoniły się postacie w maskach – najemnicy, wyszkoleni, zimnokrwiści. Pierwsza seria powaliła trzech żołnierzy.

– Do schronu! – krzyczał Corso, ale było już za późno.

Jarek rzucił się za pień drzewa, poczuł, jak kula zrywa kawałek kamuflażu z ramienia. Krew.

Widział, jak padają jego ludzie. Jak ich rozstrzeliwują, jak jeden po drugim toną w błocie, chwytając się za rany. Dwudziestu ludzi. Dwadzieścia istnień.

Corso strzelał, przeładowywał broń, strzelał ponownie. Jego twarz była zniekształcona gniewem. Ale ich szeregi topniały. Jarek otrzymał pierwszą ranę – kula weszła w bok, oparzyła żebra. Druga – roztrzaskała kolano. Upadł, zaciskając zęby, ale nadal strzelał. Nie mógł tu umrzeć. Nie w ten sposób.

Kiedy wszystko się skończyło, Corso stał nad ciałami swoich żołnierzy, a jego oczy były puste. Podszedł do jednego ze swoich ciężko rannych żołnierzy i strzelił mu w głowę.
— Byli słabi — szepnął. — Ludzie zawsze są słabi.
Patrzył w dal, jakby widział coś, czego nikt inny nie widział.
– Trzeba stać się silniejszym. Trzeba... zmienić się.

Sebastian podszedł do Jareka i wycelował lufę w jego twarz. Stał tak, patrząc gdzieś w pustkę. Ovitz zamknął oczy, ale wtedy Corso opuścił lufę i po prostu zniknął gdzieś w dżungli. Wtedy Jarek zrozumiał – jego dowódca oszalał. Pamiętał. Pamiętał, jak Corso zostawił go na śmierć. Pamiętał, jak sam przeżył – przez ból, przez krew, przez nienawiść.

Miesiąc później Jarek stał przed lustrem, patrząc na blizny po operacjach na swoim ciele. Stalowe nici wplecione w mięśnie. Implanty pozwalające gołymi rękami przebijać czaszki. Ale nie stał się potworem jak Corso. Pozostał człowiekiem.

Jarek mrugnął, wracając do rzeczywistości. Jego palce mimowolnie zaciśnięte w pięści. Cole obserwował go, ale nie pytał. Znał to spojrzenie – spojrzenie człowieka, którego zdradzono.

Jego własne myśli podkradały się jak cienie.

Nie chciał tego. Nie chciał znów czuć. Po tym, jak wirus zabrał jego rodzinę, pochował nie tylko ich – ale i siebie. Stał się maszyną. Żołnierzem. Żadnych więzi. Żadnych słabości. Ale w pewnym momencie pękł.

A teraz...

Spojrzał na Joan, która, zaciśnięta, opatrywała ranę. Na Thiery'ego, który mimo bólu dźwigał dodatkowy plecak z amunicją. Nawet na Meduzę – tego, który już nie był człowiekiem, ale wciąż walczył za nich.

— Cholera.

Cole zacisnął pięści. Nie mógł sobie pozwolić na załamanie. Nie teraz.

Meduza zostawał w tyle. Jego ciało bolało, mutacja szalała w środku, przebudowując kości, mięśnie, skórę. Grzebień na głowie palił, jakby pod skórą pełzały rozżarzone igły. Chciał go podrapać macką, ale ta – pokiereszowana kulami – tylko drgnęła jak porażony wąż. Warknął wściekle, przejechał po grzebieniu pazurami, zostawiając krwawe ślady.
Nie wiedział, kiedy ostatecznie straci siebie. Ale póki jego umysł był jasny, będzie szedł.

Joan zauważyła to i zwolniła kroku:
— Źle się czujesz?

Meduza pokręcił głową, ale w jego oczach malował się ból. Nie był człowiekiem. Ale nie był też potworem.

Cole zatrzymał się, wskazując przed siebie:
— Kościół.
— Tam — skinął głową w stronę półzniszczonych drzwi do krypty. — Laboratorium.

Jarek zachichotał ochryple:
— Oczywiście, w krypcie. Gdzie indziej?
Jego głos brzmiał szorstko, ale przebijało przez niego zmęczenie i coś jeszcze — coś, co sprawiło, że Cole po raz pierwszy naprawdę na niego spojrzał.

— Dasz radę? — cicho zapytał Cole.

Jarek zastygł, po czym powoli skinął głową.
— Do końca.

A w jego oczach było tyle wściekłości i bólu, że Cole zrozumiał — już się do siebie przywiązali. Wszyscy.

Kościół powitał ich grobową ciszą.

Zniszczone sklepienie przepuszczało krwawe światło zachodu, malując na czerwono osypujące się freski świętych z pustymi oczodołami. Porozbijane ławki, przewrócone świeczniki, ikony z oberwanymi twarzami — wszystko mówiło, że świętość tego miejsca dawno wypalono przemocą i rozpaczą.

Cole wszedł pierwszy, lufa jego karabinu sunęła po podłodze, zahaczając o odłamki szkła. Spodziewał się zasadzki, że zza ołtarza wyskoczą hybrydy albo ludzie Corsa. Ale kościół był pusty.

I wtedy usłyszał szelest za plecami.

Jarek klęczał.

Nie przed ołtarzem — przed roztrzaskaną figurą anioła, któremu odłamano skrzydła. Jego wargi poruszały się bezgłośnie, palce ściskały mosiężny krzyż na piersi — zardzewiały, którego Cole wcześniej nie zauważył.

— Ty... wierzysz? — zapytał Cole, słysząc własne niezręczne wahanie.

Jarek nie odpowiedział od razu. Przeciągnął dłonią po twarzy, zostawiając brudną smugę na czole, i cicho się zaśmiał:
— Nie.

Potem wstał, trzasnął kostkami i spojrzał na Cole’a. W jego oczach pływała dziwna mieszanka złości i zmęczonej goryczy.

— Mój ojciec był księdzem.

Cole się tego nie spodziewał.

— We wsi pod Wrocławiem — ciągnął Jarek, kopiąc odłamek witrażu. — W każdą niedzielę — kazania o miłości i przebaczeniu. A w poniedziałki — lał mnie i matkę pasem za najmniejsze przewinienie. Potem recytował psalmy i mówił, że taka jest wola Boża.

— I co... zrobiłeś? — cicho zapytała Joan.

Jarek wyszczerzył zęby — to nie był uśmiech, lecz grymas zwierzęcia.
— Pewnego dnia złamałem mu nos.

Gdzieś kapnęła woda, echo rozniosło dźwięk po pustej nawie.

— Miałem siedemnaście lat. Leżał, dławiąc się krwią, a ja... po prostu wyszedłem. Zniknąłem. Nigdy więcej nie widziałem ani jego, ani matki.

Jarek zaciśniętą pięść wbił w bok, wzrok utkwił w krzyżu nad ołtarzem — przekrzywionym, z oderwaną nogą Chrystusa.

— Jak taki skurwiel mógł mówić o Bogu? — Jego głos zadrżał, ale natychmiast stwardniał. — Dlatego wstąpiłem do wojska. Myślałem — tam przynajmniej powiedzą ci wprost, jeśli jesteś śmieciem.

Cole milczał. Rozumiał — to nie była zwykła historia. To klucz do tego, dlaczego Jarek był taki: wybuchowy, nieokiełznany, zawzięty.

Ojciec nauczył go nienawidzić obłudy. Armia — nienawidzić słabości. A Corso...

— Bóg milczał wtedy. Milczy i teraz. Ale jeśli jest... — Spojrzał na strzaskany krzyż. — Niech patrzy, w co zamienił się jego świat.

Thiery nagle parsknął śmiechem — krótkim, gorzkim.
— Mon ami, jeśli Bóg istnieje... — machnął ręką w stronę miasta, — to wyraźnie trzyma z hybrydami.

Joan nic nie powiedziała. Podeszła do Jarka, położyła mu dłoń na ramieniu — mocno, po żołniersku. On warknął, splunął na podłogę i odwrócił się w stronę zejścia do krypty.

— No to co, kapitanie? Gotów spotkać diabła?

Cole nie odpowiedział. Patrzył na zrujnowany kościół, na puste oczy świętych, na Jarka, który już szedł naprzód, jakby nic się nie stało.

I po raz pierwszy od dawna poczuł, że dystans, który tak pilnie utrzymywał, zaczął pękać.

— Laboratorium jest w krypcie — powiedział, zmieniając temat, ale jego głos nie brzmiał już tak twardo.

Jarek ostatni raz rzucił okiem na splądrowany kościół.
— Dobre miejsce na koniec świata.

I ruszyli naprzód, zostawiając za sobą cień Boga, który może nigdy nie usłyszał ich modlitw.

Krypta pachniała wilgocią i zgnilizną.

Oddział posuwał się ostrożnie, latarki wyłapywały z mroku odpływające freski świętych z pustymi oczodołami, roztrzaskane trumny, kości porozrzucane po podłodze, jakby ktoś spieszył się z ucieczką.

— Tutaj — Thiery przyklęknął, odsuwając stertę gruzu. Pod nim odsłonił się ciężki, metalowy właz z wyblakłą tabliczką:

„WSTĘP WZBRONIONY".

Cole wymienił spojrzenie z Jarkiem. Ten milcząco skinął głową, palce już zaciskały się na łomie znalezionym jeszcze na dachu muzeum.

Zgrzyt żelaza, głuchy łomot — i właz otworzył się, odsłaniając szyb windy.

Winda była ciasna, zardzewiała, z kratą zamiast szyb. Gdy zjechali w dół, kabina drgnęła i zaczęła opadać.

— Dobrovsky miał wyraźnie słabość do przytulnych miejsc — mruknął Jarek, wciskając się w ścianę.

Thiery nerwowo stukał palcem w karabin. Joan nasłuchiwała zgrzytu lin. Cole śledził numery pięter na panelu: minus trzy, minus cztery...

Nagły wstrząs.
Winda stanęła, utknąwszy między poziomami.

— Cholera! — warknął Jarek, uderzając pięścią w ścianę.

Cole sięgnął już po awaryjny właz w suficie, gdy usłyszał —
Cichy, urywany zgrzyt. Odwrócił się.
Meduza drgał, jego macki kurczowo się zaciskały, pazury rysowały metal podłogi.

— Nie teraz... — syknął hybryd, ściskając głowę dłońmi. W jego umyśle wszystko mieszało się jak w kostce Rubika, którą ktoś bez przerwy przekręcał.

Joan przysiadła obok, ostrożnie wyciągając dłoń:

— Trzymaj się, już prawie...

Macki wbiły się w jej szyję.

— Ghh! — zacharczała, szamocząc się, paznokcie wczepiając w śliską cielsko.

Jarek ruszył jak błyskawica — kolba jego strzelby uderzyła Meduzę w głowę z głuchym łoskotem.

— MÓWIŁEM! — ryknął, wymachując bronią ponownie. — MÓWIŁEM, ŻE NAS WSZYSTKICH POZABIJA!

Meduza odskoczył, luzując uścisk. Joan osunęła się na kolana, kaszląc.

Hybryda powoli wstał, jego oczy — już nie ludzkie, zbyt czarne, zbyt głębokie — patrzyły przez nich.

— Ja… przegrałem — wykrztusił. — On ma rację. Nie mogę… już tego kontrolować.

Thiery postąpił krok do przodu:

— Czekaj, możemy...

— Nie! — ostro przerwał Meduza. — Nie rozumiecie. Czuję, jak to we mnie rośnie. Wkrótce… wkrótce nie zdołam się powstrzymać.

Jarek stał napięty, gotowy znów uderzyć.

— Więc co, po prostu cię wypuścić? — syknął. — Żebyś wrócił i poderżnął nam gardła?

Meduza spojrzał mu prosto w oczy.

— Odejdę.

— To spierdalaj już! — wrzasnął Jarek, wymachując ręką w pustkę.

Cisza. Potem hybryda odwrócił się, jego macki przesunęły się po ścianach, a on sam zniknął w cieniach szybu.

Latarnie wyłapywały z mroku półzniszczone łuki, zwisające jak liany kable, kałuże mętnej wody, w których odbijały się ich zniekształcone cienie. Oddział szedł wolno, ostrożnie, ale każdy krok odbijał się echem, jakby katakumby nasłuchiwały.

Było ich już tylko czworo — bez macek, bez wyładowań elektrycznych, bez tego, który widział w ciemności.

Thiery szedł jako drugi, jego palce nerwowo przebierały po przyciskach tabletu, który uparcie ze sobą ciągnął, mimo wszystko. Ekran migotał w półmroku, oświetlając jego blade, zatroskane oblicze.

„Macki… Elastyczność… Impulsy elektryczne…”

W głowie roiło mu się od schematów, projektów, obliczeń. Już widział prototyp — egzoszkielet wzmocniony giętkimi manipulatorami hydraulicznymi, zdolny przebijać pancerz, razić wroga, trzymać go na dystans…

„Gdyby tylko dało się odtworzyć jego biomechanikę…”

Ale Meduzy już nie było. I to wkurzało go najbardziej.

Cole szedł przodem, jego latarnia wyłapywała z ciemności rozmyte zarysy tuneli. Zaciśnięte zęby zmuszały go, by się nie oglądał.

„Dokumenty. Laboratorium. Koniec tej historii.”

Ale myśli uparcie wracały do macek owijających się wokół szyi Joan. Do tych czarnych, bezdennych oczu, w których nie zostało już nic ludzkiego.

Joan szła ostatnia, jej kroki cichsze niż zwykle. Dłoń mimowolnie sięgnęła do szyi, do czerwonych pręg pozostawionych przez mackę. Nie bała się. Ale czuła winę.

„Czy mogłam zrobić coś inaczej?”

Jarek szedł w milczeniu. Nie żałował. Nie wątpił. Nie oglądał się za siebie.

— Przestańcie się snuć jak na pogrzebie — rzucił, rozrywając ciszę. — Sam wybrał swoją drogę.

— Zadowolony jesteś? — cicho, ale wyraźnie zapytała Joan, nie patrząc na niego.

Jarek nie odpowiedział.

— Był jednym z nas — dodał Thiery, nie odrywając wzroku od ekranu.

— Był zagrożeniem — odciął się ostro Jarek. — I wszyscy to wiedzieliśmy.

Cole zatrzymał się, jego cień na ścianie wydawał się niematerialny, jak widmo.

— Wystarczy — powiedział cicho, ale stanowczo. — Odszedł. Ale my musimy iść dalej.

Szyb nagle rozwarł się przed nimi, odsłaniając potworną świątynię z betonu i zardzewiałego żelaza.

Hala techniczna, zawalona szczątkami mechanizmów, przypominała rozpruty trup — zębate koła jak wyrwane wnętrzności, kable niczym jelita zwisały z rozszarpanych paneli. A nad tym wszystkim — On.

Mesjasz.

Hybryda wrósł w ścianę, jakby ukrzyżowany na niewidzialnym krzyżu. Jego ciało — połączenie człowieka i czegoś pradawnego, potwornego — było przeszyte stalowymi prętami niczym gwoździami.

Ale najstraszniejsza była głowa.

Jedno ogromne oko, wypełniające całą twarz – żółte, mętne, z pionową źrenicą jak u głębinowej bestii. I szeptało. Fragmenty modlitw. Psalmów. Przekleństw.

„...i zbaw nas ode złego... bo Twoje jest Królestwo... ciało... ciało... ciało..."
Głos zmieniał ton – raz ludzki, raz skrzypiący, jakby kilka strun głosowych zrosło się w jedną.
Tuzin macek wił się wokół niego, niczym węże przed atakiem.

— Boże... — wyszeptała Joan.

Cole zastygł, jego palce zdrętwiały na spuście.

— Cofamy się... — syknął.

Ale było za późno. Oko drgnęło, wbiło się w nich wzrokiem.

„...WYBAW NAS OD DIABŁA!"

Macki eksplodowały ruchem. Jarek zdążył strzelić – kule utkwiły w galaretowatej masie, nie przebijając jej, jakby utonęły.

— Cholera! — warknął, odskakując, ale jedna z macek smagnęła go po nogach, zwalając z nóg.

Thiery rzucił granat – eksplozja rozdarła powietrze, lecz gdy dym opadł, Mesjasz stał nienaruszony, jego macki spięły się w tarczę, pochłaniając uderzenie.

„...przyjdź Królestwo Twoje...”

Joan strzelała w oko – szklana powłoka tylko pękła, jak lód.

— On nie...

Dwie macki wbiły się w jej brzuch, uniosły w powietrze i cisnęły w ścianę.
Polak przeturlał się, sięgając po nóż. I wtedy ono chwyciło go. Macki oplotły szyję, ściskając, wysysając życie.

„...i odpuść nam nasze winy...”
Oko przybliżyło się, wypełniając całe pole widzenia.

I nagle...
Znów był chłopcem. Ciemny pokój. Zapach kadzidła i wódki. Ojciec nad nim, warcząc:

„...Ojcze nasz...”

Rzemień świszczący w powietrzu.

„...jako i my odpuszczamy...”

Jarek zaczął się dusić. Nie przez mackę. Przez terror. Thiery czołgał się ku niemu, ale biczująca macka odrzuciła go.
Cole przeładowywał karabin, rozumiejąc, że kule są bezużyteczne. Joan leżała nieruchomo.
A potem...
Z wentylacji zwaliło się coś – zielone, błyskawiczne, iskrzące elektrycznością. Meduza.
Jego macki wbiły się w oko Mesjasza, a wyładowania przepaliły mętną powłokę.

„...AMEEEEEN!”

Meduza ruszył do przodu, jego ciało – wykrzywione mutacją – poruszało się z upiorną, nieludzką gracją. Macki na plecach wyprężyły się jak rozwścieczone węże i uderzyły.

Macki Mesjasza uniosły się jak wężowa korona, jego głuche, modlitewne majaczenie wypełniło pomieszczenie:

„...Choćbym chodził ciemną doliną... nie ulęknę się zła...”

Rozbłysk.

2000 woltów przeszyło macki Mesjasza, wywołując konwulsyjne drgawki. Powietrze wypełnił zapach spalonego mięsa, topniejącego tłuszczu.

— Raz, dwa, trzy, cztery, pięć... — jego głos nie brzmiał już ludzko – to był charkot, zgrzyt, przedśmiertny ryk zwierzęcia. — ...przygotuj się na śmierć!

Mesjasz zajęczał, jego gigantyczne oko zamykało się spazmatycznie, ale macki oplatające Jarka osłabły. Polak runął na beton, łapiąc powietrze, jego twarz purpurowa od uduszenia.

— Benoit Lugosi... NIE ŻYJE! — ryk Meduzy rozdarł ciszę.

I wtedy Meduza zrobił to, co mógł. Rzucił się do przodu, wyrwał z pasa Jarka wiązkę granatów, jego zęby odsłoniły się w grymasie, którego nie sposób było nazwać uśmiechem.

Cole rzucił się ku Ovitzowi, chwycił go za kamizelkę, odciągając w bezpieczniejsze miejsce.

— Trzymaj się! — krzyknął, ale Jarek nie słyszał – jego wzrok był przyklejony do Meduzy.

Dwa hybrydy zwarły się jak demony w ostatnim starciu. Meduza żądlił raz za razem – elektryczność kłębiła się pod skórą Mesjasza, zwęglając ją.

„...przyjdź Królestwo Twoje..."

Modlitwa stawała się głośniejsza, bardziej histeryczna.

Macki smagały, oplatały, darły się nawzajem. Meduza wpił się w cielsko Mesjasza, jego pazury rozrywały galaretowatą tkankę, a kwas z jego ust buchnął prosto w oko potwora.
Ryk wstrząsnął ścianami.

Wepchnął granaty głęboko w rozwartą paszczę Mesjasza, wbił je po łokieć, tam, gdzie pulsowały organy.

Zęby się zwarły. Kość chrupnęła. Ręka Meduzy pozostała w gardle bestii.

„...abym nie oglądał zła..."

Meduza nawet nie krzyknął – tylko uśmiechnął się, a gęsta, czarna krew spływała mu z ust.

Ale Jareka przyciągnęło coś innego. Broń. Stojaki z czymś, co nie powinno istnieć. Nie zwykłe karabiny, nie standardowe pistolety — coś nowego, obcego.

Wyciągnął rękę, chwycił blaster o zielonej obudowie. Broń ożyła w jego dłoniach.

Niebieskie diody LED błysnęły, zaczęły pulsować jak żyły. Warkot narastał, wibrując w jego rękach.

— Ja pierdolę… — wyszeptał, czując, jak energia przepływa przez jego żyły, łącząc się z wściekłością.

Jarek wyszczerzył zęby, jego palce zacisnęły się na chwycie.

— Kimkolwiek jesteście… — syknął. — Rozwalę was na atomy.

Cole w milczeniu zakładał kombinezon. Metal chłodził skórę, hydraulika syczała, dostosowując się do jego ruchów.

— Wszystko w porządku? — zapytała Joan, zauważając, jak drżą mu dłonie.

Nie odpowiedział. Nie mógł. Stracił już zbyt wiele.

Ostatnie drzwi. Serwerownia.

Dziesiątki monitorów, rozebrane na części jednostki, kable ciągnące się do centralnego terminalu.

Baza danych. Prawda.

Cole podszedł, jego palce zawisły nad klawiaturą. Wpisał kod, panel zamrugał na zielono.

— To wszystko — powiedział cicho. — Wszystko, co zostało po Dobrovskym. Wszystko, co wie Hyperion.

Ekran zamrugał.

**«DOSTĘP PRZYZNANY».

Cole powoli wyjął z podniszczonej teczki pendrive'a — mały kawałek plastiku i metalu, kryjący w sobie klucze do najstraszniejszej prawdy. Jego palce na moment zastygły przed portem, jakby podświadomie opierając się temu, co mieli zobaczyć.

— Jedziemy — szepnął, wkładając urządzenie do portu USB.

Monitory rozbłysły niebieskim światłem, linie kodu popłynęły po ekranach jak cyfrowe węże. Jeden po drugim ładowały się pliki, układając się w mozaikę koszmaru. W powietrzu zawisło napięcie — nawet Jarek przestał bawić się nową bronią, jego palce zastygły na obudowie blastera.

«Dobrovsky V.A. — Notatki badawcze. Projekt „Daszyna Rodzina» — Cole kliknął pierwszy plik.

Ekran podzielił się na dziesiątki okien: skany rękopisów z adnotacjami „ŚCIŚLE TAJNE", schematy techniczne, wykresy mutacji… Ale najbardziej przykuł uwagę jeden nagrany materiał.

Odtwarzanie.

Na ekranie pojawiło się laboratorium zalane sterylnym białym światłem. Ludzie w kombinezonach biohazard ostrożnie wwozili na wózku dziwny obiekt — czarny obelisk wysoki na około metr, pokryty pulsującymi bioluminescencyjnymi wzorami. Kamera drgnęła, gdy obiekt nagle rozbłysnął od środka, rzucając na ściany poruszające się cienie, jakby żywe.

„Obiekt GB-LN8, wydobyty z zatoki o 4:30 rano" — rozległ się za kadrem głos Dobrovsky'ego. — „Analiza wstępna wskazuje, że to nie meteoryt w tradycyjnym rozumieniu. Struktura przypomina biologiczny kontener z…"

Nagranie przerwało się, automatycznie uruchamiając kolejny plik.

Eksperyment RC-28

Kadry nagrane przez pancerną szybę: w klatce miotała się zniekształcona cień. Gdy kamera zogniskowała, stało się jasne — to była szczur, a raczej to, w co się przemienił. Jego ciało pokrywały chitynowe płyty, z grzbietu wyrastały kostne kolce. Zwierzę waliło w ściany klatki z nienaturalną siłą, jego oczy… było ich za wiele, a wszystkie patrzyły z ludzką świadomością.

„Piętnasta próba stabilizacji próbki” — głos Dobrovsky’ego brzmiał zmęczony. — „Genom wciąż mutuje bez kontroli. Jeśli nie znajdziemy klucza do…”

Głos urwał się, gdy szczur nagle eksplodował, obryzgując szybę czarnym śluzem.

Cole przełączył na kolejne nagranie, a ekran wypełniła twarz Dobrovsky’ego — zmęczona, z ciemnymi cieniami pod oczami, ale pełna determinacji.

„Dziennik osobisty, dzień 95. Corso dostarczył nowych «ochotników»” — zniżył głos. — „Ale to już nie jest nauka. Stworzyliśmy potwory, a on nazywa to ewolucją. Jeśli formuły nie…”

Nagle Cole gwałtownie pochylił się do ekranu. Jego palce zacisnęły się na krawędzi konsoli.

— To on — szepnął. „Ten starzec… To Dobrovsky. Ale… co się z nim stało?”

Kadr z bliska pokazywał te same przenikliwe oczy, te same rysy twarzy. Teraz stało się jasne — spotkanie w mieście nie było przypadkiem. Dyktafon przekazany Cole’owi, laboratorium… Wszystko było zaplanowane.

— On nas tu prowadził — mruknął Thiery, pierwszy raz od dawna przerywając ciszę. — Ale dlaczego? Co chciał, żebyśmy…

«ŁADOWANIE DANYCH»

Na głównym ekranie pojawiły się foldery:

„PROJEKT ŻYCIE. RAPORTY”

„EKSPERYMENTY. ARCHIWUM WIDEO”
„METEORYT. DESZYFRACJA”
„PRZEDCHODŹCY. TEORIE”

Cole kliknął pierwszą.
Dokumenty. Wykresy. Zdjęcia.

Pierwsze strony to suche raporty o ochotnikach, testach, efektach ubocznych.

„Obiekt 051. Podanie próbki G-18. Po 3 godzinach – niekontrolowany przyrost tkanki kostnej. Po 5 – śmierć przez uduszenie.”

„Obiekt 112. Mutacja stabilna przez 48 godzin. Następnie – rozpad DNA. Tkanki przekształcają się w amorficzną biomasę.”

Przewinął dalej.

I wtedy – przełom.

„Dzień 214. Próbka BT-6200. Osiągnięto stabilność. Kod genetyczny zsynchronizowany. Obiekt zachowuje świadomość i kontroluje transformację.”

Podpis: „Dobrovsky V.A., Morozov A.K.”

— Cholera jasna… — mruknął Thiery, wbijając wzrok w tekst.

Cole przeszedł do archiwum wideo.

Horror w cyfrowym formacie. Ekran podzielił się na kilka okien.

Pierwsze nagranie:

Laboratorium. Człowiek w kaftanie bezpieczeństwa. Dobrovsky w kombinezonie ochronnym wstrzykuje strzykawkę z zielonkawym płynem.

— Rozpoczynamy protokół BT-6205. — Jego głos jest spokojny, niemal kliniczny.

Po minucie ciało ochotnika drga. Skóra żółknie i pęka, kości łamią się i zrastają na nowo. Człowiek krzyczy – ale to już nie krzyk, tylko wycie.

Kamera drży, gdy coś rozrywa kaftan.

Ekran czernieje.

Tekst: „Obiekt utracony. Protokół wstrzymany.”

Drugie nagranie:

Corso w mundurze stoi obok Morozova. Patrzą na ekran z danymi.

— Rozumiesz, co to znaczy? — Morozov się uśmiecha. — Możemy stworzyć żołnierzy, którzy nie czują bólu. Którzy się regenerują. Którzy nigdy nie przegrają.

Corso milczy, ale w jego oczach płonie ogień.

Trzecie nagranie:

Dobrovsky sam w pustym laboratorium. Wkłada dysk do komputera. Na ekranie – dziwne symbole, nieludzkie, kanciaste.

— To nie przypadek — szepcze, nagrywając dziennik. — Meteoryt to broń. Przesłanie. Oni… chcieli, żebyśmy go znaleźli.

Kamera przybliża się do jego twarzy.

— Przedchodźcy. Zmienili siebie. A teraz chcą zmienić nas.

Cole zamknął nagrania.

— Więc Corso wiedział — szepnęła Joan.

— Wiedział — potwierdził Cole. — I Dobrovsky też. Obaj zdawali sobie sprawę, że bawią się ogniem.

Jarek nagle uderzył pięścią w stół.

Thiery przewijał pliki, jego oczy biegały po linijkach tekstu.

— Jest tu coś jeszcze… — otworzył folder „Przedchodźcy”.

Obrazy. Schematy. Tłumaczenia.

Starożytne teksty, wyryte na ścianach ruin znajdowanych na całym świecie.

Jeden plik wyróżniał się:

„Ostatni zapis Przedchodźców”

Cole kliknął.

Na ekranie pojawiły się słowa, przetłumaczone przez Dobrovsky’ego:

„Zmieniliśmy kod. Staliśmy się doskonali. Ale doskonałość to śmierć. Nie zostawia wyboru. Nie zostawia… ludzkiego. Nie powtarzajcie naszego błędu.”

Cisza.

Nawet Jarek nie znalazł słów. Dane wylewały się na ekrany jak krew z przeciętej tętnicy.

Nagranie z monitoringu.

Dobrovsky, w furii uderza pięścią w stół przed Morozovem:

— Sprzedałeś nas wojsku! Zamieniłeś naukę w rzeźnię! Rozumiesz, że Corso nas wykorzystuje? Te eksperymenty to czyste szaleństwo!

Morozov, wysoki, w cienkich okularach, tylko się uśmiechnął:
— Szaleństwem jest kurczowe trzymanie się zasad, gdy świat umiera. Tworzymy przyszłość, Wasilij. Corso daje nam zasoby. Sam mówiłeś – meteoryt może wszystko zmienić.

Kolejny plik.

„MASZYNA WELLSA. FAZA III”

A pod nim – rysunki techniczne.

Ogromne urządzenie, hybryda tomografu i prasy przemysłowej. W środku – ludzka postać, opleciona mackami kabli, igłami, emiterami.

Thiery pochylił się, jego oczy rozszerzyły się.

— Mon Dieu… Dosłownie rozbierają ludzi na molekuły i składają od nowa…

Cole przewinął dalej.

Bezdomni, przykuci do foteli. Emiter warczy, niebieski promień przeszywa ich ciała. Skóra pęka, kości łamią się i składają na nowo. Ktoś eksploduje w krwawą miazgę. Ktoś przeżywa – ale to już nie człowiek.

Cole kliknął folder „NOTATKI DOBROVSKY'EGO".
Plik się otworzył.

Ekran zgasł, a potem wypełnił się szumem.

I głos. Dobrovsky.
— Jeśli ktoś to słyszy… zapasowe laboratorium jeszcze działa. Znajdźcie je.

Jego głos był złamany, jakby mówił, dusząc się.

— Corso i Morozov… Przejęli kontrolę. Używają meteorytu nie do ratunku… ale do tworzenia broni.

Nagranie przerywa się od szumu.

— Ja... skopiowałem wszystkie dane na dyski macierzowe. Wszystko, co rozszyfrowaliśmy. Być może... być może można to zakończyć. Ukryłem duży fragment w tajnej laboratorium rezerwowym, aby kontynuować badania poza kontrolą Corso...

Chwila ciszy. Szepot:

— Już idą. Spróbuję…

Cole przewinął dalej. Stało się jasne – ta zaszyfrowana wiadomość, którą dostał Lamar, wyszła od niego.

Plik pierwszy
Egzoszkielety serii „Chityn" – pancerz inspirowany biologią owadów, wzmocniony kryształami meteorytu.

„Broń oparta na genomie Przedwiecznych" – plany miotaczy strzelających skupiskami zjonizowanej plazmy.

Jarek ścisnął miotacz w dłoniach, jego oczy płonęły:
— Więc ta broń… to też część tego wszystkiego.

Cole nie odpowiedział.
Ujęcie się zmieniło. Teraz Morozow w luksusowym gabinecie ściskał dłoń Corsowi. Na stole między nimi leżał kontrakt z logo „Hyperion".

Plik drugi
Tajna korespondencja. Morozow → Corso:
„Dobrovsky stał się problemem. Proponuję przenieść go do kategorii 'Podmiotów Alfa'. Jego wiedza jest zbyt cenna, by po prostu go wyeliminować."

Odpowiedź Korsa była lakoniczna:
„Zrób to. BT-6213 – jego nowy identyfikator."

Plik trzeci
Najstraszniejszy zapis.

Kamera drżała, jakby operator bał się tego, co filmuje. Dobrovsky, już nie całkiem człowiek, przykuty do stołu. Jego włosy zbieleły, skóra pokryła się zmarszczkami – w kilka tygodni postarzał się o dekady.

„Faza transformacji się rozpoczęła" – stwierdził niewidzialny głos.

I wtedy…

Kość trzasnęła. Skóra naprężyła się, rozerwana. Z pleców wyrwały się chitynowe narośla. Szczęka rozdzieliła się na dwoje.

Mucha. Ogromna, obrzydliwa, ale z ludzkimi oczami pełnymi przerażenia.
Asystentka w kącie krzyknęła. Za późno.

Szpony przebiły jej klatkę piersiową, wyrywając serce jednym ruchem.

Kamera upadła, ale mikrofon jeszcze złapał łkania Dobrovskiego – znów człowieka – trzymającego w drżących dłoniach zakrwawioną masę mięsa.

„Co ja zrobiłem… Boże, co ja zrobiłem…"

Plik czwarty
Korso stoi przed trzema postaciami w klatkach.

Jet Elmer. Garcia. Lucy.

Nie są jeszcze potworami – ale już nie ludźmi.

Elmer (kod „Pancerz") – chitynowa ochrona, zintegrowana broń.

Lucy (kod „Kwiat") – hiperruchliwość.

Garcia (kod „Szczypce") – wzmocnione kończyny, regeneracja.

Notatka: „Wszystkie trzy podmioty wykazują skrajną agresję. Kontrola możliwa tylko przez chip-tłumik."

Nagrania z monitoringu
Data: 17.05.35. 23:47.

Ekran podzielił się na cztery ujęcia z różnych kamer.

Kamera 1: Główna hala. Dobrovsky – już nie całkiem człowiek, jego ciało zdeformowane, pokryte łuskowatymi narośla mi, ale oczy… oczy wciąż świadome. Rozrywa trzech ochroniarzy.

Kamera 2: Morozow w panice wali w przycisk alarmowy. Jego twarz wykrzywiona przerażeniem.
— On… on nie powinien tak mutować! — jego głos drży w nagraniu.

Kamera 3: Korso, odziany w taktyczny kombinezon (ten sam, jaki nosi teraz oddział), obserwuje z boku. Jego twarz jak maska. Nie pomaga, nie przeszkadza – tylko czeka.

Kamera 4: Emiter. Ogromna, pulsująca maszyna, otoczona szklanymi kapsułami z podopiecznymi.

Dobrovsky wpada do hali.
— Zdradziłeś nas wszystkich! — jego głos już nie ludzki, zgrzytliwy.

Morozow chwyta pistolet. Strzał. Kula wbija się w ramię Dobrovskiego, ale go nie zatrzymuje.

Macki wyrzynają się z jego klatki piersiowej, przebijają Morozowa na wylot, podnoszą w powietrze i ciskają nim w ścianę. Trzask kości.

A potem…

Odwraca się do emitera.
— Nie! — krzyczy Korso, ale za późno.

Dobrovsky chwyta panel sterowania, rwie kable, uderza w szkło.

Iskry. Warkot narastającego przeciążenia. Czerwone lampy błyskają.

Eksplozja.
Kamery zalewa biały blask. Gdy obraz wraca… To już nie laboratorium.
To piekło.

Kamera 1:
Podopieczni w kapsułach drgają, ich ciała pęcznieją, łamią się, przebudowują. Szkło pęka. Wyrzynają się.

Kamera 2:
Ochroniarze padają na kolana, ich skóra pęka, odsłaniając kości, które wydłużają się, skręcają, przekształcają w coś innego.

Kamera 3:
Korso cofa się, jego twarz wreszcie pokazuje emocję – strach.
Nagranie się urywa.

Epilog
W serwerowni panowała grobowa cisza.

Jarek ścisnął miotacz z całej siły. Thiery zakrył twarz dłońmi.
Joan stała nieruchomo, jej oczy były suche – za dużo horroru, by płakać.

Cole odchylił się powoli na oparcie krzesła.
— Więc tak to się zaczęło — jego głos brzmiał pustko.

Na ekranie migała ostatnia wiadomość:
„AKTYWOWANO ZAPASOWE LABORATORIUM. DANE ZACHOWANE.”

I podpis: „V. Dobrovsky”.

Twarz Cole’a w niebieskawym świetle wydawała się wyniszczona, ale twarda.
— Możemy zniszczyć meteoryt — powiedział w końcu, jego głos był ochrypły, ale pewny. — Te dane dają nam schemat jego struktury. Jeśli wysadzimy jego jądro, mutacje ustaną.

Thiery gwałtownie podniósł głowę. Jego oczy, zwykle spokojne, teraz płonęły fanatycznym blaskiem.
— Nie! — uderzył dłonią w stół, wprawiając klawiaturę w drżenie. — Widziałeś te same nagrania co ja! Korso forsował proces, działał jak rzeźnik! Ale genom Przedwiecznych to klucz do ocalenia ludzkości!

Chwycił jeden z matrycowych dysków, uniósł go przed siebie jak świętą relikwię.
— Jeśli dostarczę to do Onirique Industries, możemy przerobić genom! Uniknąć mutacji! Tak, zajmie to lata, ale nie mamy już innej szansy!

Jarek, do tej pory milczący, wybuchnął krótkim, twardym śmiechem – bez śladu radości.

— Ach, tak? — Zrobił krok do przodu, a jego głos stał się niski i niebezpieczny. — Widziałeś, w co zamienili się ludzie, co? Przypomnij sobie te "słoneczka", które rozrywały nas na strzępy. Przypomnij sobie Jana.

Wypowiedział to imię po raz pierwszy — prawdziwe imię Meduzy.

— Płonął żywcem od własnych mutacji! I chcesz to powtórzyć?!

Thiery nie ustąpił.

— Możemy to naprawić! — prawie krzyczał. — Nie jesteśmy jak Corso! Nie rzucimy się w eksperymenty jak ślepe szczeniaki! Jeśli zrobimy to ostrożnie, jeśli zbada—

— Jeśli, jeśli, jeśli! — przerwał mu Jarek, twarz wykrzywiona w grymasie wściekłości. — *A jeśli nie? Jeśli za pięć lat zamiast ratunku dostaniemy nowy Gorky-17? Jesteś gotów wziąć te śmierci na siebie?*

Thiery drgnął, ale się nie poddał:
— Jan... Meduza... Dostał surową, niestabilną wersję napromieniowania. Ale wyobraź sobie żołnierza, który regeneruje rany! Wyobraź sobie, że pokonamy ten wirus, który zabił twoją rodzinę, Cole!

To imię padło.

Cole zamknął oczy. W środku szalała burza. Przed oczami stanęły mu obrazy — żona śmiejąca się w kuchni; syn wyciągający do niego ręce; puste łóżka w opustoszałym domu. Jego szczęka zaciśnięta.

Zniszczyć — znaczy na zawsze odebrać ludzkości szansę. Zachować — znaczy zaryzykować miliony istnień.

Powoli wstał, palce przesunęły się po holograficznej mapie laboratorium.

— Dwieście metrów stąd — komora z fragmentami meteorytu — powiedział cicho. — Najpierw tam dotrzemy. A potem...

Nie dokończył. Bo sam jeszcze nie znał odpowiedzi.

...

Przedział z próbkami doświadczalnymi powitał ich martwą ciszą, przerywaną tylko cichym pluskiem wody pod nogami. Podłoga była zalana na kilka centymetrów, a każdy krok odbijał się głuchym echem, jakby laboratorium wzdychało od ich wtargnięcia.

Rozbite kapsuły sterczały ze ścian jak puste kokony, ich szklane odłamki migotały w świetle latarek. Coś śliskiego i bezkształtnego unosiło się w mętnej wodzie — szczątki nieudanych stworzeń. Woda zmieszana z chemikaliami pokrywała podłogę cienką warstwą, odbijając pulsowanie awaryjnych lamp — krwistoczerwonych, jak ostrzeżenie.

Cole szedł pierwszy, karabin mocno dociśnięty do ramienia. Nie widział zagrożenia. Ale je czuł.

— Ciszej... — szepnął, zastygając.

Thiery zamarł za nim, jego palce drżały na tablecie, próbując wychwycić sygnatury termiczne.

— Nic... — wyszeptał. — Ale one tu są.

Jarek powoli odwrócił głowę. Jego nowy blaster cicho wibrował, niebieskie diody pulsowały w rytm jego oddechu.

Powietrze drgnęło i Cole instynktownie odskoczył, ledwie unikając ciosu. Coś przemknęło obok i na sekundę się ujawniło — wysokie, wężowate, z ciemnozieloną łuską zlewającą się z otoczeniem. Ręce zrośnięte za plecami tworzyły giętki bicz z kostnym kolcem na końcu. Hybryda-Niewidka. Stwór znów zniknął.

— Ognia! — wrzasnął Cole, a oddział otworzył huraganowy ogień.

Woda spieniona od strzałów.

Nic nie było widać — tylko zmarszczki rozchodzące się same.

— Cholera — syknął Jarek, przywierając do ściany.

Zniekształcony, jak miraż na pustyni, cień rzucił się na nich ponownie.

Cole dał serię z automatu.

Trafienie. Stwór wrzasnął przeraźliwie — i na moment zmaterializował się przed nimi.

Joan krzyknęła:

— Jedna z nich... jedna z nich zabiła Alfę!

Jej głos drżał, oczy rozszerzyły się z rozpoznania. Niewidka znów zniknęła.

— W koło! — ryknął Cole.

Oddział przywarł plecami do siebie, lufy miotały się po pomieszczeniu.

Zatrzymany oddech. I wtedy —

Cios. Jarek zawył, gdy kolec drasnął jego kamizelkę, zostawiając rysę.

— Suka!

W tym momencie Joan zauważyła leżący gaśnik. Podjęła błyskawiczną decyzję – rzuciła się do przodu, zerwała plombę i nacisnęła dźwignię. Biała piana z sykiem wydostała się na zewnątrz, osiadając na niewidzialnym przeciwniku. Kontury potwora zaczęły wyłaniać się z chemicznej zawiesiny.

– Jarek, teraz! – krzyknęła, cofając się do schronienia.

Odwrócił się, blaster w jego rękach zawibrował, a niebieskie diody LED zabłysły.

Błyskawiczny promień blastera przebił powietrze, trafiając dokładnie w nabierającego kształtu hybrydę. Stworzenie zapaliło się, krzycząc nie swoim głosem, jego kamuflaż wyłączył się, odsłaniając wijące się ciało. Jarek nie dał mu szansy – drugi strzał rozerwał głowę potwora na kawałki plazmy i zwęglonego mięsa.

Trzecia hybryda zaatakowała z cienia. Kolec mignął w stronę Cole’a.

Thiery rzucił się do przodu, chwycił stół chirurgiczny —

BRZDĘK!

Ostrze wbiło się w metal, utknęło.

— Teraz! — ryknął Cole.

Strzelali z bliska, kule rozrywały łuski, czarna krew chlustała na ściany. Stwór runął, wciąż drgając.

Ale następny był mądrzejszy. Uderzył z wody. Kolec wbił się w ramię Joan. Nie krzyknęła. Tylko westchnęła, jakby uderzono ją w splot słoneczny. Niewidka cofnęła się, ale za późno.

Cole zawył. Rzucił się do przodu, ignorując wszelkie taktyczne zasady. Jego nóż wbił się w niewidkę, ale ta wiła się, wyrwała.

Wężowy pysk zasyczał, kolec zamierzył się do ciosu. Cole przechwycił go i z całej siły wbił w jej własną głowę.

Czaszka chrupnęła, jad zalał mózg.

Stwór zatrzepotał, zacharczał i zwalił się na ziemię.

Joan leżała na podłodze, jej oddech był urywany, krew spływała z oczu.

— Nie, nie, nie! — Thiery rzucił się do niej, wyciągając apteczkę drżącymi rękami.

— Nie... nie marnuj sił... — wyszeptała, ściskając dłoń Thiery’ego.

Jej skóra szybko ciemniała, pokrywając się czarnymi plamami.

— Żałuję... tej dziewczynki... — jej głos słabł. — W Muzeum... Żałuję...

A potem jej oczy zeszklily się.

Thiery cicho zapłakał. Klęczał, ściskając jej już zimną dłoń. Cole i Jarek stali nad nimi. Blaster Jareka dymił. Powietrze w przedziale przesiąkło ostrym zapachem plazmy i spalonego mięsa, a na podłodze, w kałużach mętnej wody, rozlewały się atramentowe plamy krwi.

Joan leżała na wznak, jej oczy, wciąż szeroko otwarte, wpatrywały się w pustkę. Krew sącząca się z kącików ust już ciemniała, mieszając się z wodą. Jej palce wciąż były zaciśnięte w pięść — ostatni wysiłek, ostatnia próba trzymania się życia.

Cole patrzył na nią i nie wierzył.
"Nie może być. Nie teraz. Nie ona."

Czekał, że nagle nabierze powietrza, jęknie, powie coś ostrego, jak zawsze. Ale jej klatka piersiowa się nie unosiła. Twarz stała się blada, niemal woskowa.

"Traciliśmy ludzi. Zawsze. Ale nie ją. Nie Joan."

Wyciągała ich z najgorszych strzelanin. Szyła rany pod ostrzałem, śmiała się przez ból, kłóciła z Jarkiem, była dobra dla tego biedaka Jana. Była...

"Nie. Nie myśl. Żołnierze giną. To prawo wojny. Albo idziesz dalej, albo się załamujesz."

Ale w środku wszystko w nim krzyczało. Stracili Joan. Cały oddział „Alpha” nie żył.

I wtedy Jarek zawył.

— SUKA! — Jego ryk rozdarł ciszę, odbijając się echem od metalowych ścian. Rzucił się do przodu, kopnąc z całej siły najbliższy stół operacyjny. Przewrócił się z hukiem, rozrzucając narzędzia po podłodze. Nie zatrzymując się, sięgnął po blaster i strzelił w już martwe ciało jednego z hybryd.

Ryk broni. Błysk.

Kawałki mięsa rozleciały się po ścianach, zwęglone szczątki stwora rozsypały się jak popiół.

— Corso zapłaci... — wyszczerzył zęby, jego głos był pełen wściekłości. — Zapłaci za wszystkich.

Ale wtedy opuściły go siły. Runął na kolana, chwytając się za głowę, palce wpijały się w jasne włosy. Dreszcz wstrząsnął jego plecami.

Cole to widział. Czuł tę samą wściekłość. Ale jego twarz pozostawała kamienna.

"Nie teraz. Nie tutaj. Ogarnij się, do cholery."

Powoli wyjął zegarek, zanotował czas w dzienniku polowym.

"Joan McFadden. 00:55. Koniec zapisu."

Jego palce ścisnęły długopis tak mocno, że kostki zbielały.

"Nie powinna była umrzeć. Mieliśmy stąd wyjść razem."

Thiery nie drgnął. Siedział przy jej ciele, jego dłonie spoczywały na jej piersi, jakby wciąż miał nadzieję wyczuć puls. Chciał pokazać jej Paryż, gdy tylko wydostaną się z tego piekła.

Przypomniał sobie ich rozmowę w archiwach komisariatu. Śmiała się, opowiadając, jak po raz pierwszy opatrywała ranę na szkoleniu i omal nie zemdlała.

"Ale postanowiłam — będę ratować ludzi. Nawet jeśli to ostatnia rzecz, jaką zrobię."

Ironia.

Ona ratowała ich wszystkich — w strzelaninach, w katakumbach, w tym piekle. Ale siebie — nie potrafiła.

Cole wiedział, że musi coś powiedzieć. Muszą iść dalej. Ale słowa utknęły mu w gardle.

— Musimy iść — w końcu mruknął, jego głos był cichy, obcy. Thiery nie odpowiedział. Tylko powoli przesunął dłonią po jej twarzy, zamykając jej oczy.

— Désolé... — wyszeptał.

Nie usłyszy. Nigdy.

Teraz zostało ich trzech. A meteoryt czeka.

Sala z meteorytem powitała ich zimnym blaskiem.

Okrągłe pomieszczenie, przypominające starożytną świątynię przerobioną na high-techowy koszmar, sięgało w górę ciemnymi ścianami, pokrytymi panelami sterowniczymi i popękanymi ekranami. Na środku, na masywnej platformie, spoczywał odłamek meteorytu Przedwiecznych — ogromny, czarny, jak wycięty z samej ciemności. Jego powierzchnia mieniła się niczym oliwna plama na wodzie, przelewając nienaturalnymi odcieniami. Pulsował — nie dźwiękiem, nie światłem, ale czymś innym, co sprawiało, że skóra cierpła, a zęby bolały od dziwnego rezonansu.

Cole postąpił naprzód, jego egzopancerz warknął, wzmacniając każdy krok. Czuł ciężar — nie fizyczny, ale ten, który gniótł umysł.

— Tu... — szepnął Thiery, jego oczy chciwie ślizgały się po cyfrowych panelach wokół kontenera. Formuły, kody dostępu, schematy — wszystko, co mogło ocalić ludzkość.

Nie wypowiedział swoich nadziei na głos. Ale jego palce mimowolnie się zacisnęły, jakby już trzymały te dane, jakby już wieźli je do bezpiecznego laboratorium, gdzie można naprawić błędy, przepisać los...

— Widzieliście już dość?

Głos dobiegł z ciemności, a wszyscy trzej drgnęli, natychmiast kierując lufy broni w stronę źródła dźwięku.

Z mroku wyłonił się Dobrovsky. Ledwo można go było rozpoznać.

Jego twarz była jeszcze bardziej wychudzona, skóra prześwitywała sino-czarnymi żyłami, jak gdyby pełzały pod nią atramentowe cienie. Oczy — zbyt jasne, zbyt świadome, przepełnione bólem. Chwiał się na nogach, jego ręce drgały, palce kurczowo zaciskały się i rozluźniały, jakby ciało go nie słuchało.

— Ty… — Cole nie opuścił broni. — Myśleliśmy, że nie żyjesz. Tam, w tunelach…

— Powinienem był umrzeć — Dobrovsky zakaszlał, a z kącika ust spłynęła strużka czarnej cieczy. — Ale nie mogłem… nie mogłem sobie na to pozwolić.

Machnął ręką w stronę meteorytu.

— Widzieliście zapisy. Wiecie, co zrobiłem. Meteoryt był nadzieją… Nadzieją na uzdrowienie.

— Jakim cholernym cudem nie zniszczyłeś go, skoro wiedziałeś, do czego jest zdolny?! — Jarek wystąpił do przodu, a jego głos dzwonił od wściekłości. — Sam widziałeś, co robił z ludźmi!

Dobrovsky powoli odwrócił ku niemu głowę. Jego oczy błysnęły.

— Ponieważ jestem naukowcem.

Zrobił krok naprzód, i teraz wszyscy widzieli, jak jego skóra falowała pod ubraniem, jakby coś pod nią żyło.

— Ponieważ wierzyłem, że naprawię błąd.

Czarna kropla spłynęła z jego nosa na brudny, szary sweter. Nie zatarł jej.

— Ponieważ… ponieważ się bałem.

— Bałeś się? — Cole wciąż trzymał broń uniesioną.

— A jeśli… to ostatnia szansa. — Dobrovsky wyciągnął drżącą dłoń w stronę meteorytu. — Co, jeśli zniszczę jedyną rzecz, która mogłaby uratować ludzkość przed zagładą…

Urwał.

Jarek prychnął:

— I co? Mamy ci teraz podziękować, że zostawiłeś nam to pierdolone gówno?

Dobrovsky gwałtownie zwrócił się w jego stronę:

— Nie! — Jego głos załamał się w chrypę. — Zostawiłem wybór. Taki, którego ja nie miałem!

Złapał się za pierś, jakby serce miało mu eksplodować.

— Korso… Morozov… Oni już podjęli decyzję za wszystkich. Przekształcali ludzi w broń! A ja…

Wskazał na meteoryt.

— Ukryłem go. By tylko ten, kto naprawdę jest gotów wziąć odpowiedzialność… mógł zdecydować.

— Bawiłeś się w Boga — Cole rzucił to jak oskarżenie. — I przez ciebie całe miasto zamieniło się w piekło.

Dobrovsky zamknął oczy, jego powieki drżały.

— Tak.

Jedno słowo. Przyznanie się. Otworzył oczy, a w nich płonęło coś, co sprawiło, że Cole się spiął.

— Ale oni nie chcieli, by ich technologią ktoś zarządzał. Stworzyli ją jako broń. Jako narzędzie… oczyszczenia.

Thiery postąpił naprzód.

— Nie! — Jego głos drżał z przekonania. — Możemy przepisać kod! Jeśli będziemy mieli czas, jeśli—

— Widzieliście, co się dzieje! — Dobrovsky nagle wrzasnął, jego głos załamał się w charkot. — Widzieliście cały ten koszmar na własne oczy! Trzymaliście za rękę umierających przyjaciół!

Pulsowanie meteorytu, martwe światło rozszczepiające się na metalu.

— Teraz wybór należy do was — Dobrovsky opuścił głowę. — Zniszczyć wszystko. Albo… zaryzykować.

Cole spojrzał na Thiery'ego, na Jareka, na meteoryt.

— Jak? — zapytał cicho.

Dobrovsky wskazał panel.

— W tych danych jest kod samozniszczenia. Wystarczy go wprowadzić.

— A jeśli zachować? — wtrącił Thiery.

— Wtedy nie będziecie lepsi od Korsa — Dobrovsky spojrzał na niego. — Bo ktoś będzie musiał decydować… kogo przemieniać, a kogo nie.

Jarek zaśmiał się — krótko, ostro.

— Więc tak naprawdę nie ma wyboru.

Dobrovsky nie odpowiedział.

Spojrzał na Cole'a.

— Decyduj.

Ich rozmowę przerwał metaliczny zgrzyt otwierających się drzwi.

Z ciemności wyszedł Corso, ale to już nie był ten sam człowiek, którego znali. Jego skóra zyskała trupioszary odcień, ciągnęły się po niej czarne żyły, pulsujące w rytm migotania meteorytu. Za nim — dziesiątka żołnierzy „Hyperiona", ich oczy puste, posłuszne, jakby już nie całkiem ludzkie.

— Nadal wierzycie, że możecie wygrać? — Głos Corso brzmiał jak zniekształcony sygnał radiowy. Wyprostował ramiona, a jego ruchy były nienaturalnie płynne.
— Ludzkość już przegrała. To, co się tu stało, to nie koniec — to początek.

Cole uniósł karabin, lecz Corso tylko się uśmiechnął.

— Kurczowo trzymacie się swojej kruchej cielesności jak ślepe szczenięta ciepłej legowiska. Postąpił krok do przodu, a jego cień rozciągnął się po ścianach.
— Jesteśmy słabi. Chorujemy. Umieramy. A oni... Skinął w stronę meteorytu. — Oni oferują nam siłę.

— Siłę? — ryknął Jarek. — Ty nazywasz to siłą?! Wskazał palcem na zrujnowane miasto za murami. Corso nawet nie drgnął.

— Gorky-17 był błędem. Ale nauka wymaga ofiar.

I wtedy wyciągnął strzykawkę wypełnioną gęstą, migoczącą cieczą.

— Przyszłość zaczyna się teraz.

Wbił igłę w swoją szyję. Kości zatrzeszczały. Mięśnie napęczniały, rozrywały się, przebudowywały. Skóra pękła, odsłaniając krystaliczną strukturę pod spodem. Wzrost — dwa metry. Trzy. Cztery. Ramiona — z dwóch stały się czterema, długimi, spiczastymi jak włócznie.
Twarz — rozszczepiła się, wydłużyła, przeobrażając w głowę owada z masywnymi żuwaczkami.

Incubus narodził się.

— ZABIĆ ICH.

Dobrovsky warknął i rzucił się do przodu. Jego ciało skręciło się w spiralę mutacji — pazury, skrzydła, pancerz — zmieniał się w locie, rozrywając żołnierzy Hyperiona z bestialską wściekłością.

Thiery otworzył ogień, jego kule rykoszetowały od krystalicznej zbroi Corso.

— W oczy! Celujcie w oczy! — wrzasnął Cole, omijając cios przypominający włócznię.

Jarek rzucił się w bok, jego blaster zawył, wyrzucając plazmowy ładunek. Incubus zaryczał, gdy promień wypalił dziurę w jego ramieniu, ale nie zatrzymał się.

"Incubus in my head is controlling my mind..." — fragment starego polskiego metalu przemknął przez myśli Jarka.

Było strasznie. Było wściekle. Nie dało się zatrzymać.

Corso poruszył się zbyt szybko jak na swoje rozmiary. Pierwsza z jego rąk wbiła się w podłogę tam, gdzie sekundę wcześniej stał Cole. Beton pękł jak szkło.

— Ognia! — krzyknął Cole, a oddział otworzył huraganowy ostrzał.

Kule odbijały się od krystalicznej zbroi, pozostawiając tylko drobne odpryski.

Dobrovsky znów się przeobraził.

Jego ciało rozdarło się, przebudowało, stając się hybrydą wilka i skorpiona — pazury, chitynowy ogon, paszcza pełna kłów. Rzucił się na Incubusa z furią skazańca.

Corso machnął ręką — energetyczny impuls przeszył Dobrovsky'ego, wypalając mięśnie. Ale ten się nie zatrzymał. Jego rany zabliźniały się, mutowały, adaptowały.

Jarek uklęknął, jego blaster zawył, wyrzucając błysk zjonizowanej plazmy.

— Pierdolić twoje eksperymenty! — wrzasnął i strzelił. Ładunek uderzył Incubusa w pierś, pozostawiając czarną spaleniznę, ale potwór tylko zaryczał.

— Jest za twardy! — Thiery odskoczył, sięgając po granat.

Cole i Ovitz kontynuowali ogień.

— W stawy! — krzyknął Cole, celując w spojenia pancerza. Kule odbijały się, ale niektóre przebijały — czarna ciecz trysnęła z ran. Jarek schronił się za osłoną, jego blaster ładował się z przeciągłym wyciem.

— Dawaj, dawaj...

Strzał trafił Corso w klatkę piersiową, eksplozja odrzuciła go do tyłu, ale potwór wstał, jego skóra regenerowała uszkodzenia.

— On się odradza! — wrzasnął Thiery.

— Cholera!

Corso obrócił się z błyskawiczną szybkością. Cios. Cztery szpony przebiły Jarka na wylot, odrzucając go przez całą salę.

— JAREK! — Cole rzucił się w jego stronę, ale Dobrovsky był szybszy.

Znów się zmienił — teraz był czymś pomiędzy zmutowaną gigantyczną osą a człowiekiem.
Jad trysnął z żądła, trafiając Incubusa w twarz. Ten zawył, oślepiony, ale nie powstrzymany.
Dobrovsky poderwał się, jego ciało znów się przeobrażało — teraz stał się czymś wężowatym, giętkim, owinął nogi Corso, ciągnąc go w dół.

— Teraz!

Cole ruszył do przodu, nóż błysnął w niebieskim świetle — wbił go w szyję Corso, przekręcając. Czarna krew chlusnęła. Ale Incubus uderzył go w klatkę, odrzucając o kilka metrów.

Thiery złapał go, ale obaj runęli na podłogę.

Dobrovsky już się nie powstrzymywał.

— Zabiorę go ze sobą.

Ostatni zryw. Kości trzeszczały, skóra pękała, macki wyrywały się z pleców, z piersi, z ust. Zmutowany Dobrovsky rozdął się, stając się lewiatanem z ciała i chityny, jego forma pulsowała, niestabilna, gotowa eksplodować.

— PRZYTRZYMAJCIE GO! — wrzasnął, a jego głos już nie był ludzki.

Cole zrozumiał.

— Ogień odwracający uwagę!

Otworzyli ogień, celując w oczy, w stawy. Incubus zaryczał, wymachując ostrzami, ale na sekundę się zawahał. To wystarczyło.
Dobrovsky runął do przodu. Jego macki oplotły potwora, wbiły się w pęknięcia pancerza, wdarły do środka.

— NIE! — ryknął Corso, jego głos zmieszał się z charkotem Dobrovsky'ego.

Energia zawrzała między nimi, niebieskie błyskawice tańczyły po kryształach, ciało Dobrovsky'ego zaczęło świecić od środka.

Oślepiający błysk rozdarł ciemność, fala uderzeniowa powaliła wszystkich na ziemię. Kryształy Corso pękły, rozpadły się w pył. Jego ciało eksplodowało od środka, strzępy mięśni rozleciały się po pomieszczeniu.

Światło migotało, na podłodze leżała tylko masa kości i odłamków. Ani Dobrovsky'ego. Ani Corso.

Krew Jarka rozlewała się po zimnej posadzce, mieszając z resztkami hybryd. Jego oddech był chrapliwy, urywany, ale usta wciąż układały się w krzywy uśmiech.

— No i jak, kapitanie... — charczał, będzie co opowiadać dzieciom na dobranoc. Nieźle się tu rozpędziliśmy...

Cole uśmiechnął się, ale w jego oczach nie było radości.

— Taak. Tylko najpierw nie zdychaj, bo nie będzie komu opowiadać.

Jarek zakrztusił się, a na jego wargach pojawiły się szkarłatne pęcherzyki.

Cole podszedł do głównej konsoli, palce zawisły nad klawiaturą. Sullivan czuł ciężar decyzji w każdej komórce swojego ciała. Kod autodestrukcji. Kilka cyfr — a ludzkość pozostanie taka, jaka była zawsze. Słaba. Śmiertelna. Ale sobą.

— "Pleasure, little treasure..."

Kliknięcie bezpiecznika.

— Nie ruszaj się, Cole.

Głos Thiery’ego brzmiał obco. Cole powoli się odwrócił.

Francuz stał pięć kroków dalej, jego pistolet wymierzony prosto w pierś Cole’a. Dłoń drżała, ale wzrok był stanowczy. Szkło w okularach było zbite, spod niego sączyła się krew.

Jarek próbował podnieść się na łokciu, jego twarz wykrzywiła się z bólu.

— Francuz... no, kurwa mać...

Thiery nawet nie spojrzał w jego stronę. Jednym gwałtownym ruchem odwrócił się i uderzył Jarka kolbą w głowę. Polak runął na ziemię, nieprzytomny.

— Nie możesz tego zrobić! — głos Thiery'ego załamał się, przechodząc w krzyk. — To nasza jedyna szansa! Widziałeś, co się dzieje na zewnątrz! Bez tych danych ludzkość jest skończona!

Cole nie podniósł broni. Patrzył Thiery'emu prosto w oczy.

— A jeśli się mylimy? Jeśli to się powtórzy w globalnej skali?

— Naprawimy błędy! — Thiery zrobił krok do przodu. Pistolet niemal dotykał już piersi Cole'a. — Ale jeśli teraz to wszystko zniszczysz, śmierć Joan będzie bez sensu. Zginęła za nic, rozumiesz? ZA NIC!

Ostatnie słowa zawisły w powietrzu jak nóż wbity między żebra. Cole zacisnął pięści.

— Myślisz, że o tym nie wiem? — jego głos był cichy, ale wrzał w nim gniew. — Każdej nocy widzę twarze mojej żony i syna. Ale jeśli to zachowamy... ilu jeszcze takich jak Joan zginie?

Thiery nerwowo oblizał wargi.

— Będziemy ostrożniejsi. Mamy wiedzę, której nie miał Corso.

— Wiedzę? — Cole zaśmiał się gorzko. — Widziałeś, co ta "wiedza" zrobiła z Dobrovskym. Z miastem. Z nami.

Stali tak — twarzą w twarz, dzieliło ich zaledwie kilka kroków, ale przepaść między nimi wydawała się nie do pokonania.

W sali zawisła napięta cisza, przerywana tylko cichym brzęczeniem meteorytu.
Dwie prawdy. Dwie ofiary.
Jeden wybór.

Epilog

Żuk. Zwyczajny, mały, czarny, z mieniącymi się skrzydłami. Siedział na popękanym asfalcie, czyścił czułki, beztroski, nieświadomy burzy, która przetoczyła się przez to miejsce.
A potem poderwał się w powietrze – tylko po to, by natychmiast zostać zmiecionym podmuchem wirników śmigłowca, zabierającego ostatnich ocalałych.

Cole siedział przy iluminatorze, jego twarz była nieprzenikniona. Gdzieś tam, w dole, przesuwały się ruiny miasta.
Jarek leżał na noszach, jego klatka piersiowa unosiła się ledwo dostrzegalnie. Thiery, ponury, wyciągnął pogniecioną paczkę papierosów, zatrzymał jednego między zębami. Płomień zapalarki migotał w podmuchu powietrza. Zaciągnął się, wypuścił dym, nie odrywając wzroku od Cole'a. W powietrzu wisiało pytanie. Czy naprawdę zniszczył dane? Czy może…
Coś jednak ocalało? Cole milczał. Wpatrywał się tylko w dal, gdzie horyzont rozpływał się w ciemności.

W nieznane.

DODATKOWY ROZDZIAŁ „OSTATNI DZIEŃ W PIEKLE"

Wydarzenia tego rozdziału rozgrywają się na kilka miesięcy przed główną fabułą nowelizacji, w momencie, gdy Dobrovsky urządził rzeź w laboratorium i wywołał falę uderzeniową Emitera.

Hotel „Versailles” nawet w najlepszych czasach nie zasługiwał na swoją nazwę. Wyblakłe tapety, skrzypiące podłogi, zapach wilgoci i tanich papierosów. Ale tego dnia jego właściciel — gruby, spocony Leszek Borowski — wyglądał wyjątkowo blado.

— Co do cholery? — Borowski dygoczącymi rękami poprawił okulary. — Przecież opłaciłem się w zeszłym miesiącu!

Jakub „Bekon” Sławski tylko się uśmiechnął, rozwalony na krześle, zapalając papierosa. Jego czerwono-niebieski dres rozciągał się na potężnych ramionach, a krótko ścięte czarne włosy lśniły w mdłym świetle lampy.

— Nowe stawki, Leszek. Inflacja, ja pierdolę.

Za jego plecami stali dwaj „kumple”: Marek „Głaz” Nierdziński — dwumetrowa góra mięśni z twarzą jak wyciosaną siekierą, i „Szczur” — chuderlawy, nerwowy typ z wiecznie biegającymi oczami.

Borowski coś zamamrotał, ale nagle…
Najpierw głuche warknięcie, jakby gdzieś daleko zawalił się dom. Potem wibracja, od której zadrżały szyby.

— Co za kurwa? — Szczur rzucił się do okna.

I wtedy zawyła syrena.
Nie cywilna obrona. Coś innego — przenikliwe, drażniące, jak sygnał końca świata. A potem zaczęły się krzyki. Najpierw na ulicy. Potem — w samym hotelu.
Ktoś zaczął wić się w konwulsjach na korytarzu.
Borowski nagle zacharczał, padł na kolana. Jego skóra zaróżowiła się, a potem pokryła pęcherzami.

— Kurwa! — Głaz odskoczył.

Palce właściciela hotelu wydłużyły się, paznokcie sczerniały, zamieniając się w szpony. Żebra trzeszczały, rozchodząc się, jakby coś próbowało się wydostać.

— Spadamy stąd! — Bekon rzucił się do wyjścia, ale drzwi już się otworzyły.

W progu stał pokojówka. A raczej to, co z niego zostało.
Jego szczęka opadła, przekształcając się w coś w rodzaju wężowego ryja. Ramiona nienaturalnie się wydłużyły, palce zrosły w błoniaste łapy.

— OŻEŹ SIĘ! — Szczur wyrwał pistolet i strzelił.

Głowa mutanta eksplodowała, ale ciało wciąż drgało.
Ulica zamieniła się w piekło.
Ludzie padali, ich ciała mutowały, przekształcały się. Niektórzy wyrastali dodatkowe kończyny, inni pokrywali się kolcami.

— DO BRYKI, KURWA! — Bekon dał serię z automatu w hybrydę z psią głową, ale ta tylko warknęła i odskoczyła.

Szczur zginął pierwszy. Zza rogu wypełzło coś masywnego — krzyżówka byka i człowieka, z przednimi łapami wrośniętymi w betonowe bloki.

— NIE! NIE! —

Betonna płyta zmiażdżyła mu czaszkę.

Sławski i Głaz wpadli do swojej starej fury z przyciemnianymi szybami. Głaz odpala silnik, Bekon osłania ogniem.

— Gazu, suko!

Samochód rusza z piskiem opon. Ale po kilkudziesięciu metrach bestia z kończynami jak u modliszki wylądowała na masce. Przednia szyba pęka.

— Zrzuć ją!

Głaz wciska hamulec. Stwór spada, ale auto wpada w poślizg. Uderzenie w słup.
Maska zgniata się, silnik charczy.
Bekon wali głową w szybę.

— Kuuuurwa…

Głaz już ciągnie go za kark:

— RUCHAMY, DALEJ! — Głaz złapał Bekona za rękaw. — TĘDY!

Wpadli do sąsiedniego budynku — starego meliny, gdzie kiedyś „pracowały" dziewczyny.
Ciemno. Smród dezynfekcji. Bekon zaryglował drzwi, oparł się o ścianę.

— CO TU SIĘ, KURWA, DZIEJE?!

Na zewnątrz słychać było krzyki.
Sławski przywarł do zaparowanej szyby, obserwując, jak ulica zamienia się w rzeźnię.

— To koniec… — wyszeptał, zaciskając pięści.

Na ulicy zmutowana kobieta w podartej sukience chwyciła ocalałego mężczyznę. Jej brzuch napęczniał, skóra pękła — i z wilgotnym chlupotem wyrwał się z niego gigantyczny robak, owinął ofiarę i rozerwał ją na pół. Wnętrzności opadły na chodnik, a kobieta zawyła — nie z bólu, ale z jakiegoś zwyrodniałego uniesienia.

Bekon patrzy na swoje dłonie. Ludzkie. Z jakiegoś nieznanego mu powodu — on nie mutuje.

— Zaraz się zrzygam… — Głaz odwrócił się, zieleniejąc na twarzy.

Pomknęli po chwiejnych schodach, gdzie śmierdziało pleśnią i moczem. I wtedy usłyszeli.
Ciężki, urywany oddech. Szurpienie dziesiątków kończyn. Z ciemności wypełzło coś.
Trzy głowy. Ojciec. Matka. Syn.

Zrośnięci w jeden potworny twór, ich ciała zlały się w masę, kończyny wykręciły się, przekształcając w długie, członkate łapy. Skóra mieniła się fioletem, na plecach pulsowały żółte wrzody.

— MAMO… TATO… BOLI… — zawyli w trio, ich głosy nałożyły się na siebie, tworząc przerażającą kakofonię.
Marek zastygł, oczy szeroko otwarte.

— Rusz się, debilu! — warknął Sławski, ale potwór już skoczył.

Głaz instynktownie chwycił krzesło — i walnął nim w centralną głowę (matkę).
Chrup. Czaszka zapadła się, ale bestia nie przystanęła.
— ROZJEBMY TO!
Rzucili się na nią, spychając monstrum w kierunku schodów. Zawyło, zatrzepotało się — ale runęło w dół, roztrzaskując się o stopnie.

Zaryglowali się w mieszkaniu, z którego wypełzła ta rzecz. Wnętrze to była nędza:
Rozpruty tapczan, puste flaszki, strzykawki na podłodze.

— Gdzieś tu musi być spluwa… — mruknął Sławski, przeszukując szafki.

Znaleźli pół pudełka zapałek, dwie niedopite wódki, stare szmaty.

— Koktajle Mołotowa sobie zrobisz? — Głaz wyszczerzył się.

— Lepsze to niż nic.

Sławski wyjrzał przez okno. Potężny gmach Muzeum, ceglany, z poddaszem. Wyglądał na bardziej solidny niż ten zgniły melin.

— Tam musimy. — skinął głową.

Za oknem — chaos. Ludzie wrzeszczeli, biegali, mutowali. Jeden mężczyzna runął, jego plecy rozdarły się, wypuszczając macki. Innego rozszarpała grupka hybryd, jak głodne psy.

Przejrzeli swoje skromne wyposażenie:

Sławski miał kałacha i metalową kij bejsbolowy.

Głaz — rewolwer i stępiony nóż. Plus dwa koktajle Mołotowa.

— Gotów? — spytał Marek, ładując rewolwer.

— Nie. Ale jedziemy.

Łomot w drzwi. BUM. BUM. BUM.
Drzazgi leciały z futryny, drewno trzeszczało pod uderzeniami.

Głaz cofnął się, żegnając się drżącą ręką.
— Boże, zmiłuj się nad nami, grzesznymi…

Sławski nie modlił się. Wpadł do kibla — nie by się wysikać, ale bo zauważył: podłoga była spróchniała.

— Głaz! Nie stój jak wół, kurwa, pomóż!
Podważył deskę kijem, zaczął dźwigać. Głaz dołączył, waląc ramieniem. Skrzyp. Chrzęst.
Trzask pękających rur.

I — bach! — sedes wyrwał się, zostawiając dziurę wprost do mieszkania na dole.

— Spadamy, kurwa!

W tej chwili drzwi wyleciały z zawiasów. Szuro-Rodzinka wpadła do środka, trzy głowy wrzeszczały na przemian:

— GDZIE JESTEŚCIE?!
— POBWIMY SIĘ!
— BOLIIII!

Głaz nie zawahał się.

— Spierdalaj! — ryknął, podniósł sedes — i cisnął nim w głowę ojca.
Fajansowy tron roztrzaskał się o zniekształconą czaszkę, mózg rozprysnął na ścianę. Potwór zachwiał się — i runął przez okno, rozbijając je na kawałki.

— Skok! — Sławski wślizgnął się w dziurę.

Marek za nim. Wylądowali w kałuży rdzawej wody i gówna.

— Kurwa… buty zasrałem — warknął Sławski.

Wypełzli z łazienki — i zobaczyli nowego mutanta. Były człowiek.
Jego głowa oddzieliła się od tułowia, wyhodowała sześć długich nóg — i zaczęła pełzać po suficie jak pająk.

— Wy się, kurwa, ze mnie nabijacie?! — Sławski wypalił serię.

Dwie nogi odleciały, ale stwór nie przestał. Skakał po ścianach, darł tapety, łamał meble.

— SPŁOŃ! — Głaz rzucił koktajl Mołotowa.

Błysk. Ogień objął bestię, sufit, zasłony. Mieszkanie stanęło w płomieniach. Wrzask mutanta ucichł dopiero, gdy czaszka pękła od żaru.

— To kara… za nasze grzechy… demony przyszły…

Sławski walnął go w ramię:
— Przestań pierdolić. Ogarnij się! Musimy dotrzeć do Muzeum…

Zaledwie zrobili krok — z cienia wyskoczyła bestia:

Człowiek z wykręconymi stawami i żądłem jak u skorpiona. Nie zdążyli zareagować — rozległ się strzał. Głowa mutanta rozleciała się. Za rogiem stał mężczyzna w zniszczonej skórzanej kurtce, z pistoletem w dłoni.

— James Sashmon. Glina. — przedstawił się. — Mieliśmy was z chłopakami przycisnąć… ale chyba plany się zmieniły.

— Kurwa… — Sławski jęknął.

— Moi ludzie… część oszalała, część zamieniła się w TO. — James machnął lufą w stronę ulicy, gdzie rozgrywał się koszmar. — Łączymy siły, żeby przeżyć. Dogadane?

Sławski splunął, spojrzał na Głaza.
— No dobra… nigdy nie myślałem, że będę współpracował z glinami.

James skinął głową. Gdzieś w pobliżu zawył nowy mutant — nie było czasu na dyskusje.

CIEMNOŚĆ I KREW
Sławski szedł pierwszy, kałach gotowy do strzału. Marek dyszał za jego plecami, ściskając w spoconych dłoniach rewolwer. Sashmon zamykał pochód, jego pistolet metodycznie skanował każde drzwi, każde okno.

— Hej, glina — zachrypiał Głaz, nie odrywając wzroku od zaułka. — Ty w ogóle wiesz, co tu się odpierdala? Czy wy, mundurowi, też nie ogarniacie?

Sashmon uśmiechnął się ponuro.
— Nie mam pojęcia. Ale widziałem wojskowe fury na wjeździe. Nie stali tam dla picu.

— No i? — warknął Sławski, nie odwracając głowy.

— Kilka miesięcy temu w morzu spadł ten meteoryt. Pamiętacie? Plotki chodziły. A teraz… to. — Wskazał na płonący budynek, z którego okien dobiegały nieludzkie wrzaski.

Sławski prychnął.
— Ja pierdolę, „Z Archiwum X" się odpierdala. Tylko bez Muldera i Scully.

Głaz zamyślił się, ciężko stawiając kroki.
— A może to nowy wirus? Jak te psychole z „Nowej Ziemi", o których w telewizji gadali?

Sashmon pokręcił głową.
— Wirusy tak nie działają. Nie zmieniają ludzi w zombie. To…

Ryk z zaułka przerwał mu. Wszyscy zastygli.
Z mgły wyłoniło się coś długiego, śliskiego, zrośniętego z dodatkowymi kończynami.

— Kurwa… — wyszeptał Głaz.
— Cicho — syknął Sławski, powoli podnosząc broń.

Bestia zawahała się, węsząc. Potem ruszyła w ich stronę.

OGIEŃ I ŻĄDŁO

Rozległy się strzały. W tej samej chwili z mostu jakby niewidzialna ręka wyrzuciła cysternę z paliwem. Przeleciała przez barierki, uderzyła w asfalt kilka metrów od nich — i eksplodowała.

Beczki z benzyną poszybowały jak pociski. Fala ognia uderzyła w twarze, zmuszając wszystkich do instynktownego rozskoku. Sławski runął na plecy, ogłuszony. W uszach dzwoniło, przed oczami tańczyły czarne plamy.

Próbował wstać — i ujrzał.

Kobieta-pająk wypełzła z dymu, płynąc w powietrzu jak mara. Dół ciała — opancerzone odwłokiem pokrytym czarnymi szczecinami. Góra — kobieta, ale twarz…

Twarz była zniekształcona mutacją. Usta rozciągnięte do uszu, w środku — długie żądło ociekające jadem. Oczy — wielkie, szklane, obłąkane.

— Marek! Wstawaj, kurwa! — ryknął Sławski, ciągnąc go za kurtkę.
Tamten mamrotał coś o karze bożej, żegnał się, trząsł jak galareta.

— On… On nas karze… za grzechy…
— Zamknij się! — Sławski wlókł go w stronę ruin.

Głaz nagle chwycił go za ramię:
— Sashmon!
Sławski warknął:
— Jebany glina! Jak tylko się uspokoi — pierwsze co zrobi, to nas w kajdanki zakuje!

Głaz potrząsnął nim, oczy płonęły:
— Sławski, spójrz dookoła! Jebane kajdanki?! Tu już jest piekło!

Sławski zaciął usta. Spojrzał na Sashmona.
— Dobra… ale jak nas potem spróbuje wsadzić — to mu łeb urwę.

OSTATNIE SCHRONIENIE

Glina leżał pół metra od ognia, dźwigając się na rękach. Kobieta-pająk sunęła w jego stronę, żądło drżało w oczekiwaniu.

— Czekaj… — warknął Sławski, celując.
Głaz potoczył w jej stronę beczkę. Bestia przewróciła się, sycząc w kałuży paliwa.
Sławski pociągnął za spust.

Wybuch. Płomienie pochłonęły mutantkę. Jej pisk wbił się w mózg jak świder.

— Uciekamy!
Sławski złapał Sashmona pod pachy, wlokąc go w stronę Muzeum.

Masywne drzwi stanęły przed nimi jak mur. Walili w nie pięściami, wrzeszczeli:
— Otwieraj, do cholery!

Zza drzwi — drżący głos:

— Ja… ja próbuję! Ten jebany elektroniczny zamek nie działa!
— Pieprzę twój zamek! — ryczał Sławski.

Za nimi — kroki. Ocalały mężczyzna w podartej koszuli biegł w ich stronę:
— Pomóżcie! Prosz—

Zza rogu wyskoczyła bestia z paszczą na brzuchu. Schwytała go. Rozdarła. Krew obryzgała ściany.

Drzwi wreszcie ustąpiły. Wpadli do środka. Głaz padł na kolana, żegnając się ślinącym się szeptem.

Mężczyzna przed nimi — Jan Kurats, pracownik muzeum. Jego skóra zieleniała, pokrywając się łuskami. Czarne żyły pełzły po twarzy.
— Dzięki Bogu… żywi… — jęknął.

Sławski cofnął się:
— Nie podchodź! Ty… ty zarażasz?

Jan potrząsnął głową:
— Nie wiem… ale coś ze mną nie tak…
Sashmon, otrząsając się, rozgląda się:
— Tu jest bezpiecznie?

Jan kręci głową:
— Nie. Ochraniarz… stał przy eksponacie z Krzyżowcem… zbroja… zlała się z nim…

Głaz podskakuje, wali palcem w pierś Sławskiego:
— Jakim kurwa cwem pomyślałeś, że tu będzie spokój?! To nie schron przeciwatomowy, debilu!

Sławski, wciąż drżący od adrenaliny, odwraca się gwałtownie:
— Ja ci wyglądam na stratega?! Myślałem, że tu będzie bezpiecznie, to jebane muzeum! Ludzie tu nawet nie chodzą! Jego palce wpijają się we włosy, zostawiając brudne smugi na czole.

Sashmon tymczasem wbija wzrok w Kuratca:
— Są tu jeszcze jacyś ludzie?

Jan nerwowo przełyka ślinę, jego zielonkawe palce drżą:
— Byli… Kilka osób z personelu… Ktoś wbiegł przed wami… Ale nie wiem… Głos mu się załamuje. Boję się sprawdzać…

Sashmon kiwa głową, oceniając salę:
— Musimy na dach. Strych może być bezpieczny.

— Przez salę Wikingów — natychmiast odpowiada Jan, wskazując na masywne dębowe drzwi. Na drugie piętro.

Głaz ponuro ogląda swój rewolwer:
— Jakaś broń tu w ogóle jest?

Jan niespodziewanie sięga do kieszeni i wyciąga paralizator:

— To… wziąłem, gdy ochraniarz… no, stał się częścią tamtego Rycerza. Jego dłoń drży, podając broń Sashmonowi.

Ruszają naprzód. Muzeum jeszcze trzymało pozory porządku, ale ślady chaosu już się uwidaczniały — rozbite gabloty, przewrócona statua jakiegoś urzędnika z odłupaną głową, krwawe smugi wiodące w ciemność. Kurats, idąc obok Sashmona, nagle pyta:
— Kogo… kogo wezwać na pomoc? Wojsko? Rząd? Naukowców?

Sashmon gorzko się uśmiecha:
— Wygląda na to, że to oni właśnie to odwalili. Cisza po jego słowach ciąży ciężej niż mgła.

Korytarze muzeum oddychały cieniem. Ściany, które niedawno przechowywały historię, teraz wchłaniały horror.
Usłyszeli ją, zanim zobaczyli — ciche szlochy, przechodzące w histeryczny szept.

— Lilit… Lilit, gdzie jesteś? Nie patrz na mnie…

Za zakrętem stała Natalie. Jej skóra już szarzała, pękając jak wyschnięta glina. Lewa ręka wydłużała się, kości łamały się, przekształcając w kostne macki. A z pleców — wystawało coś żywego, pulsującego, jak pasożyt powoli pożerający ją od środka.

Zobaczyła ich — i wrzasnęła.

— NIE! ODEJDŹCIE! NIE CHCĘ, ŻEBY MNIE TAKĄ WIDZIAŁA!

Sashmon się nie wahał. Strzał. Cichy trzask spustu — i huk w zamkniętej przestrzeni.
Natalie runęła jak porzucona marionetka. Kurats zamyka oczy, jego palce wpijają się we włosy.

— Boże… Boże, to nie może być prawda…

Następna sala wydawała się bezpieczna — manekiny w historycznych strojach, zastygłe w wiecznej ciszy.

Ale zapach — ostry, metaliczny — zdradzał prawdę. I cień poruszający się między nimi.

Krzyżowiec. Ogromny, w sczerniałej zbroi, z ciężkim mieczem. Jego głowa — obdarty czaszek z płonącymi czerwonymi ślepiami. Obrócił się ku nim, zbroja zgrzytnęła.

— WŁAMYWACZE… NIE MIEJSCE WAM TU…

Kurats robi krok naprzód, głos mu drży:
— Stój! To ja, Kurats! My swoi!

Sashmon chwyta go za ramię:
— On już nie rozumie…

Krzyżowiec warczy — i rzuca się do ataku. Głaz nie zdążył odskoczyć. Miecz wznosi się — i spada. Cios. Ciało rozcina na pół, krew obryzguje manekiny, barwiąc je na purpurowo.

— NIE! MAREK! — Sławski podnosi kałacha.

Kule odbijają się od zbroi, zostawiając tylko rysy. Sashmon strzela metodycznie, celując w szczeliny — ale Krzyżowiec nie ustępuje. Kurats nagle zgina się w pół, wijąc z bólu.
Jego skóra zielenieje w oczach, żyły czernieją, kręgosłup wygina się nienaturalnie.

— Co… co się ze mną dzieje…?

Patrzy na Sławskiego i Sashmona — i rozumie.

— UCIEKAJCIE! — jego krzyk rozdziera ciszę.
— ODWRÓCĘ JEGO UWAGĘ!

Rzuca się naprzód, wrzeszcząc, wymachując rękami.
— HEJ, POTWORZE! TUTAJ!

Krzyżowiec odwraca się, zapominając o reszcie. Kurats biegnie — w dół schodów, w ciemność.
Jego plecy pękają — coś rośnie, rusza się pod skórą. Nie ogląda się. Sławski patrzy, jak Krzyżowiec znika w mroku, ścigając Kuratca.

— Kurwa… kurwa… — Sławski łapie się za głowę.

Sashmon pcha go do przodu:
— Ruszaj się! Zanim wróci!

Pędzą w stronę schodów, ku dachowi.

Drzwi zatrzaskują się z głuchym stukiem, jak wieko trumny. Sławski osuwa się po ścianie, ściskając broń.

— KURWA! SUKA! MAREK! — jego wrzask rozdziera ciszę, odbija się od ścian, wraca do niego echem — pustym, bezsilnym.

Sashmon opiera się o gablotę, jego oczy biegają po pęknięciach w podłodze, szukając jakiejkolwiek nadziei.

— Współczuję twojemu kumplowi — mówi cicho, ale wyraźnie, jakby przebijał się przez wściekłość Sławskiego.

Tamten warczy, wyszczerzając zęby w zwierzęcym grymasie:
— Znaliśmy się od dziecka. Razem biliśmy się, razem siedzieliśmy. A teraz rozjebała go jakaś pojebana zmutowana zbroja!

Sashmon wzdycha, przeciera nos.
— Jeśli wyjdziemy stąd żywi — rozejdziemy się. Przeszłość już nie ma znaczenia. Ale teraz — trzymamy się razem.

Sławski zastyga, oczy mu się zwężają.
— Nie cierpię gliniarzy — syczy. Wysysaliście krew z mojej rodziny. Jak miałem 14 lat, ojca wsadzili za nic…

Sashmon nie odwraca wzroku.

— Współczuję. Wśród gliniarzy naprawdę jest pełno śmieci.

Kruche zawieszenie broni.

Ruszyli dalej, przeciskając się przez salę eksponatów — rozbite gabloty, przewrócone stojaki, szkło pod butami chrzęszczące jak kości. I wtedy — ruch. Zza rogu wypełzło coś.

Dwie kobiety.

Grube, obrzmiałe, zrośnięte w jeden potworny twór. Ich górne części ciała stopiły się z jakimś mechanizmem — metalowymi trybami, rurami, tłokami. Twarze wykrzywione w wiecznej agonii.

— My... nas... połączyli... — zasyczała jedna z głów.

Mechanizm zgrzytnął, zakręcił się — i wystrzelił. Rozżarzone śruby przemknęły przez powietrze, wbijając się w ścianę obok Sashmona.

— KRYĆ SIĘ! — wrzasnął, odskakując za rozbity stojak.

Sławski przykucnął za przewróconym stołem, kałach gotowy do strzału.

— Kurwa, ależ ta grubaska...

Sashmon rozejrzał się, szukając słabego punktu.

— Mechanizm jest zasilany z tego generatora! — krzyknął, wskazując na trzaskającą maszynerię za plecami hybrydy. Sławski uśmiechnął się.

— To walimy w niego!

Wymienili spojrzenia. Plan narodził się w sekundę.

— Ja odwracam uwagę, ty strzelasz! — Sashmon wyskoczył, oddając serię z pistoletu.

Śruby poleciały w jego stronę, ale wykonał unik, tocząc się po podłodze. Sławski wycelował — i pociągnął za spust. Generator eksplodował, płomienie pochłonęły mechanizm. Kobiety zawyły, ich ciała wiły się, topiąc. Bestia runęła na rozbite szkło, drgając w ostatnich konwulsjach.

Sławski ciężko oddychał, ocierając pot z czoła. Sashmon podniósł się, sprawdzając magazynek.

— Mało amunicji. Dalej ostrożnie.

Sławski skinął głową.

— Spadajmy, zanim się wykitujemy.

Dach muzeum okazał się wyspą na morzu piekła.

Sławski oparł się o parapet, oczy zwężone od dymu walącego się z ulic. W dole szalały pożary, eksplodowały samochody, krzyczeli ludzie — ci, którzy wciąż jeszcze byli ludźmi.

— No i dotarliśmy — mruknął, wycierając pot rękawem. — Teraz tylko przeczekać, aż przyślą po nas ratunek.

Sashmon nie odpowiedział. Powoli obchodził dach, latarka w jego dłoni wyłapywała z mroku rdzawe rury wentylacyjne, rozbite skrzynie, zaschnięte kałuże.

— Ty w ogóle słuchasz? — warknął Sławski.

— Coś tu jest — cicho odezwał się Sashmon.

Podszedł do mechanizmu windy, ogrodzonego siatką. Snop światła prześlizgnął się po zardzewiałej kracie — i nagle...

Warknięcie. Głośne, zwierzęce, przepełnione nienawiścią.

Z ciemności wyłoniły się dwie ogromne, czerwone ślepia.

— CO DO CHOLERY?!

Bestia uderzyła w siatkę, pazury wczepiły się w metal, ciało wyginało się, łamiąc pręty.

Glina odskoczył, pistolet gotowy, ale stwór był szybszy. Wdrapał się na ogrodzenie i skoczył na dach, lądując z głuchym łomotem.

Był przerażający. Dwie ostre szczypce wyrastały z wykrzywionego grzbietu, stawy wyłamane w przeciwnych kierunkach, zielona skóra pulsowała, pokryta wrzodami.

Ale głowa... Głowa była najgorsza. Szczęka rozdarta, zęby sterczące na wszystkie strony, oczy — ogromne, krwiste, płonące obłędem. Sashmon zastygł.

Bazyliszek.

Stare mity powróciły — stworzenie zabijające wzrokiem. Bestia zawarczała, grzbiet wygiął się łukiem — i nagle plunęła ogniem. Płomień przepalił powietrze, o centymetry od Sashmona.

Dach muzeum zamienił się w arenę śmierci.

Bazyliszek ryczał, jego masywne ciało trzęsło się z wściekłości. Szczypce skrzypiały po betonie, zostawiając głębokie rysy. Oczy – dwie krwawe kule nienawiści – śledziły każdy ich ruch.

— Kurwa, czemu to ścierwo nie zdycha?! – Sławski wpakował kolejną serię z kałacha. Pociski wbijały się w grubą skórę, z ran sączyła się lepka krew, ale potwór tylko zawył jeszcze głośniej.

Sashmon wycelował w lewe oko – strzał.

Bestia zawyła, zasłoniła pysk szczypcami, ale nie ustąpiła.

— Oczy to jej słaby punkt! – wrzasnął Sashmon.

— No, zajebiście! A mi się kończy amunicja! – Sławski wyrzucił pusty magazynek, sięgając po ostatni.

Bazyliszek plunął ogniem.

Płomienie liznęły beton, o centymetry od Sashmona.

— Cholera!

Sashmon rozejrzał się – i zauważył łańcuch walający się przy szybie wentylacyjnym.

— Sławski! Odwróć jego uwagę!

— CO?!

— Oplączę mu łańcuch wokół szyi!

Sławski przeklął wszystko pod słońcem, ale skinął głową.

— No dobra, kurwa! Ale jak zdechnę – znajdę cię w piekle!

Rzucił się w bok, wrzeszcząc, strzelając w ślepia bestii.

Bazyliszek warknął, odwrócił się do niego – a Sashmon skoczył z tyłu. Łańcuch wpił się w szyję potwora. Bestia zatrzęsła się, zasyczała, szczypce miotały się, próbując dosięgnąć gliniarza.

— Ciągnij go do krawędzi! – ryczał Sławski.

Sashmon naprężył się do granic, łańcuch dławił bestię, jego nogi wbijały się w beton. Bazyliszek walczył rozpaczliwie, ale krok za krokiem zbliżał się do przepaści.

Amunicja się skończyła. Sławski cisnął kałacha, chwycił leżącą na ziemiu łom – i walnął potwora w łeb, roztrzaskując czaszkę. Bazyliszek ryknął – i wbił szczypce w pierś Sashmona, przebijając go na wylot. Krew buchnęła z ust gliniarza.

Sławski rzucił się ku niemu – ale drugie szczypce rozpruły mu brzuch.

— A-aaargh!

Ból przeszył całe ciało. Krew. Mnóstwo krwi.

Ale Sławski się nie poddał. Drżącą dłonią wyciągnął ostatni koktajl Mołotowa, potarł zapałką.

— Zadław się, gnido...

Butelka poleciała, rozbiła się o głowę bestii. Ogień buchnął. Bazyliszek zatrzepotał się, zawył, cofnął – i runął z dachu. Łańcuch naprężył się, rozległ trzask łamiącej się szyi. Ciało potwora zwaliło się na wystające z gruzów pręty. Sławski pełzł. Krew ciągnęła się za nim po betonie. Dopchał się do schowka, wwalił do środka, zatrzasnął drzwi.

Ciemność. Cisza. Ból.

Drżące palce znalazły papierosa, potarły zapalniczkę. Światełko oświetliło jego twarz – bladą, spoconą, zakrwawioną. Zaciągnął się, zakrztusił, wypluł krew.

— Wesoły dzionek, co nie?

Ognik migotał w ciemności. Na zewnątrz miasto płonęło. Ale tu, w tej ciasnej klitce, nagle zrobiło się cicho.

Posłowie od autora

Gdy w 2018 roku zabrałem się za nowelizację, stanąłem przed prawdziwym labiryntem niespójności. Oryginalna fabuła gry była poszatkowana: różne wersje (w tym adaptacje Snowballa i Goblina) proponowały własne interpretacje wydarzeń, a wycięta zawartość i wczesne szkice tylko pogłębiały zamęt. Jak połączyć rozrzucone elementy w spójną całość? Przerzuciłem się przez kilka wersji, ale obraz nie chciał się ułożyć – aż w końcu w moje ręce wpadł oryginalny dokument projektowy gry, udostępniony przez samego Adriana Chmielarza, głównego game designera «Gorky-17».

Ten dokument stał się kluczem. Opisywał nie tylko pierwotny zamysł (znacznie bardziej ambitny niż ostateczna wersja), ale też odsłaniał plany dotyczące całej franczyzy. Szczególnie zaintrygowały mnie wzmianki o pozaziemskiej ingerencji – twórcy inspirowali się Z archiwum X, więc postanowiłem rozwinąć ten wątek. Co więcej, wczesne koncepty obejmowały znacznie bardziej złożonych antagonistów, a Dobrovsky pierwotnie miał być postacią tragiczną, a nie po prostu „szalonym naukowcem”.

Ale sama gra nie wystarczyła. Szukałem inspiracji w innych dziełach: Children of Men z jego poczuciem beznadziei, Dog Soldiers z krwawymi walkami, gdzie oddział żołnierzy stawia czoła nadprzyrodzonym istotom, Dystrykt 9 z motywem mutacji i utraty człowieczeństwa, a nawet Stalker Tarkowskiego z jego filozoficznym podtekstem. Głównym tematem nowelizacji stał się dla mnie wybór: co czyni nas ludźmi, gdy granica między ocaleniem a szaleństwem się zaciera? Czy powinniśmy się zmienić, by przetrwać, czy zginąć, pozostając sobą?

W efekcie powstała nie tylko adaptacja, ale alternatywna wersja *Gorky-17* – mroczna, filozoficzna i, mam nadzieję, wciągająca.

Dziękuję, że dotrwaliście do końca tej podróży.

2025